

R

G

B

WH

GR

BL

Grey Scale #13

C

M

Y

K

Part Code
ST1316

DANES
-PICTA
.COM

A

1

2

3

4

5

6

M

8

9

10

11

12

13

14

15

B

17

18

19

D^{ca} TURZYMA PRUS

Do traktacie bzeskim
(przeprawy gen. Hallera)

Jossé P.



D^{ca} TURZYMA PRUS

o traktacie brzeskim
(przeprawa gen. Hallera)

Jossé P.

D. A. TURZYMA PRUS.

PO TRAKTACIE BRZESKIM



(WYPRAWA BRYGADYERA HALLERA)

Dr. A. TURZYMA PRUS.

PO TRAKTACIE BRZESKIM

(Wyprawa Brygadyera Hallera).



1919 R. — NAKŁADEM KSIĘGARNI ZIENKOWICZ & CHĘCINSKI,
(WŁAŚCICIEL ST. REHMAN) WE LWOWIE. — Z DRUKARNI
KRAJOWEJ SZ. BEDNARSKIEGO WE LWOWIE, RYNEK L. 9.

884-3. 2/355

31127/2



JENERAŁOWI WOJSK POLSKICH,
JÓZEFOWI HALLEROWI

w pierwszą rocznicę wiekopomnego czynu

pracę tę poświęca

AUTOR.

ERHARDT W. B. 1871

JOSEPH HALL BLOW

W. B. 1871

JOSEPH HALL BLOW

1871

W niedługi czas po zawieszeniu broni między Rosją, a państwami centralnymi wycofano Legiony z linii bojowej. Co było tego powodem, różnie mówiono. U nas chodziły pogłoski, że na skutek zbratania się Legionistów z Moskalami.

Nasi bowiem i Moskale, stojąc od siebie w odległości za ledwie kilkudziesięciu metrów, nawiązali ze sobą przyjazne stosunki, odwiedzali się nawzajem, grali w karty, — kilku naszych żołnierzy bawiło po 2 do 3 dni u Moskali. Zaszedł nawet wypadek, że oficer rosyjski, zastawszy Legionistów pośród swych żołnierzy, chciał ich zabrać „w plen“, lecz żołnierze wyrzucili oficera z ziemianki, oświadczając mu, że Legioniści są ich gośćmi i jako takich traktować ich powinien. Obdarowawszy naszych wódką i herbatą, pozwolili im wrócić do ich okopów.

Ekscesy te nie ukryły się jednak długo. Doszły do wiadomości wyższych austr. władz wojskowych, skutkiem czego zarządzono wycofanie nas z frontu.

Na zakwaterowanie dla poszczególnych oddziałów przeznaczono Kocmań, Sadagórę, Żuczkę Starą i Nową, Orzechlib, Szubraniec, Walawę, Łużany, Berchometh, Iwankowce, Mamałowce i inne mniejsze miejscowości, które Niemcy, odjeżdżając z frontu albo już opuścili albo wkrótce mieli opuścić.

Dowództwo nasze wysłało kwatermistrzów dla oglądnięcia kwater. Wracali z raportami, że za miesiąc lub dwa da się przeprowadzić adaptacje, o ile będą deski, szkło i pieniądze. Znowu pisano do P. K. P. w Przemyślu obszerne raporty, z których wynikało, że na rozkwaterowanie trzeba przeznaczyć inne miejscowości, lub czekać i czekać.

Gdy sprawa ta przedłużała się w nieskończoność, rozkazano stanowczo — i musiało być.

Wywołało to niezadowolenie. Zielińskiemu zarzucano, że nie dba o Legiony, z tego też powodu jesteśmy zawsze osta-

tni i wszędzie lekceważeni. Twierdzono, że nie jest dobrym Polakiem, że posiada dążności austrofilskie, że ostatnie przesilenia odebrały mu resztę energii żołnierskiej. Nazywano Zielińskiego „analfabetą politycznym“, który biernością swoją, zwłaszcza w tym tak ważnym czasie, bardziej szkodzi sprawie polskiej, niż inny złą wolą.

Już nawet i ci, co Zielińskiego bliżej znali, co byli jego zwolennikami, korzystając, że Jenerał długo siedzi w Przemyśle, siali teraz inwidyę przeciw niemu. Oczekiwano też, że powiadomiony o tej niechęci względem siebie, ustąpi z zajmowanego stanowiska.

Tymczasem Brygadyer Haller pogłębiał swą popularność u oficerów i żołnierzy. Jakby w przeciwstawieniu do Zielińskiego, człowiek czynu, żelaznej woli, dobry Polak, nie ufający obietcom, nie bawiący się w sentyment, zajmował się polityką i śledził pilnie każdy jej odruch, każde niemal drgnienie, a przytem nie przestawał być dobrym żołnierzem.

„Nie uznaję sympatyi do tego lub owego, gdy chodzi o wolność naszą. Niech nas i dyabeł bierze, byle razem; wtenczas damy sobie radę sami!“ — mawiał częstokroć Haller, a mówił z taką siłą i przekonaniem, że nikt nie wątpił, iż to mógł być tylko frazes.

Widząc bierność Zielińskiego, sam na własną rękę, niekiedy nawet odmiennie od rozkazu P. K. P. — czynił niektóre zarządzenia i wydawał polecenia. O Zielińskim prawie nigdy nie mówił, a tam gdzie koniecznie trzeba było się wypowiedzieć, uśmiechnął się lub zrobił ręką gest, jakby chciał powiedzieć: dajcie mu spokój, on już innym nie będzie.

I faktycznie Zieliński, komendant dawniej tak ubóstwiany i kochany tracił sympatyę z dnia na dzień. Twierdzono już nawet, że jest szkodliwy. „Wychowany bowiem w duchu austrofilskim, w austriackich szkołach wojskowych kształcony, pozostający długo w służbie austriackiej — czyż mógł się teraz nagle zmienić?“

* * *

Już się pułki rozkwaterowały w Mamajowcach, komenda P. K. P. urządziła się w Łużanach — (za parę dni miał Zieliński przyjechać) — artyleria stanęła w Walawie; kompania saperów w Sadagórze.

Dowództwo taborów przeniesione do Berchomethu, a jego pododdziały do Szubrańca i Iwankowic — pozostało narazie w Sadagórze. Było tam mianowicie doskonale zakwaterowane, zajmujący bardzo obszerny piętrowy budynek szkolny, utrzymany w dobrym stanie. Por. Fluss, komendant austriackiej kompanii technicznej, kwaterującej w Sadagórze, młody sympatyczny Wiedeńczyk, jadał w naszej menaży oficerskiej. Jemu zawdzięczaliśmy zaprowadzenie oświetlenia elektrycznego. Mieliśmy więc wszelkie wygody i nie spieszyło się ruszać z miejsca, tembardziej, że zbliżały się święta Bożego Narodzenia.

Tak zwaną „Gwiazdkę“ obchodzono w Legionach zawsze uroczyście. I teraz chcieliśmy żołnierzom sprawić możliwie najprzyjemniejsze święta.

Były jakieś oszczędności pieniężne w Dowództwie Taborów, pochodzące z robocizn koni i ludzi — użyto więc tych funduszy na sprawienie żołnierzom sutej wili.

Chor. Charzewski, „magister coereoniarum“, krzątał się już od dwóch! dni, by wilia wypadła dobrze i w warunkach, wśród których żyliśmy estetycznie i uroczyście. Ponieważ wszyscy żołnierze nie mogli pomieścić się w jednej sali, przybrano zielenią i emblematami dwie sale i nakryto w nich stoły. W sali, gdzie mieliśmy przyjąć gości, przykryto stoły obrusami, ustawiono talerze i szkło stołowe. Zaproszono proboszcza i wielce sympatyczną i oddaną nam p. Okuniewską, obywatelkę tamtejszą, która nie szczędziła trudów i dobrej woli, aby wilia nasza wypadła jak najświetniej, — oraz kilka innych osób. Ksiądz i komendant nasz, major Passella, z oficerami obszedł sale, a składając i odbierając nawzajem życzenia, łamał się opłatkiem. Kilku żołnierzy wystąpiło z przemowami, dziękując oficerom i gościom za zajęcie się nimi na obcej ziemi — zdala od rodzinnego domu. Następnie zasiedliśmy wraz z gośćmi do stołu, do którego zaproszono dwudziestukilku żołnierzy. Przy dźwiękach mandolin, gitary i skrzypiec śpiewano kolendy i piosenki legionowe. Żołnierze rozbawili się, a dobry humor świad-

czył, że im tu nieźle, choć zdala od rodzinnego ogniska — bo i poza rodziną ktoś o nich pamięta i garnie do siebie.

Po świętach mieliśmy zaraz przenieść się do Berchomethu. Odciągano jednak wykonanie tego zarządzenia, aby przynajmniej „Sylwestra“ obchodzić jeszcze w Sadagórze. Nie udało się jednak — za kilka dni maszerowaliśmy już do Berchomethu.

Małą, biedną choć schludną wioskę uchroniła od zniszczenia groza wojny. Tylko rekwiwizycje wyczerpały tamtejszą ludność — nieliczną, niezamożną, przeważnie ruską. Doszła tu już kultura. Domy i koło domów wzorowa czystość. Chaty poszycie słomą, zewnątrz bielone, u dołu zaopatrzone ciemną lamperyą. Nad zgrabnemi okienkami, jakoteż i nad drzwiami wchodowemi pozawieszano wianki z różnych ziół i girlandy z kukurudzy, z zamiłowaniem kultywowanej przez tamtejszą ludność. W izbach przy dwóch ścianach stoją malowane ławy, na środku stół przykryty serwetą lub ceratą, przy innej ścianie łóżko drewniane, pokryte czystą bielizną i zaścielone kilimem własnego wyrobu. Sufit z heblowanego drzewa zapuszczony olejem. Ściany dokoła obwieszane obrazami świętych — oto typ chaty wieśniaka z Berchomethu. O zakwaterowanie łatwo. Ludność naogół życzliwa i przychylna. Urządziliśmy się szybko i dość wygodnie.

Za parę dni powrócili z urlopu świątecznego oficerowie nasi, rotm. Torma, por. Czaczka-Ruciński i chor. Załęski; kwatery jednak nasze, porozrucane po różnych częściach wioski, utrudniały koncentrowanie się i rozwój życia towarzyskiego. Poza zajęciem służbowem każdy z nas wracał do swej kwatery i tylko na obiad i przy kolacyi zjawialiśmy się „in corpore“.

Niekiedy zajrzał do nas jakiś oficer z Dowództwa Korpusu lub ktoś z naszych pojechał do Łużan — poza tem życie płynęło monotennie.

Wtem rozeszła się wieść o oderwaniu Chełmszczyzny od Polski. Nie chciało się wierzyć, by Austria zdolna była popełnić na nas takie bezprawie — lecz niestety — dzienniki przyniosły potwierdzenie i bliższe szczegóły.

A więc ten kraj, gdzie Ojcowie i Dziadowie nasi walczyli o wolność narodu i języka, gdzie w jego obronie tyle ofiar padło, tyle łez popłynęło i krwi się polało, gdzie i mnie, ośmioletnie, tam na Podlasiu urodzone chłopię, smagał kozak naha- jem za to, że mówiłem po polsku, gdzie mój ojciec cierpiał za nauczanie mnie języka polskiego — odtąd ziemia ta miałaby nie należeć do Polski?!...

Dlatego że tak postanowiła Austria? ...

Jest jeszcze sprawiedliwość? A o krzywdę upomną się miliony ludzi i potępią podstępного obłudnika. I ty Czerninie nie zbawisz swej ojczyzny ukraińskiem zbożem...

Znakomitsi polscy mężowie stanu odesłali do Wiednia medale, tytuły, i odznaczenia austriackie, naród podniósł protest. I u nas w Legionach burzyła się obrażona duma narodowa. Przed sobą i przed społeczeństwem wstyd nam było pozostawać nadal na dotychczasowem stanowisku. Za kampanię karpacką, za stoczonych tam przeszło sto bitew i potyczek w obronie Galicyi i za przyrzeczone nam poparcie w odzyskaniu bytu narodowego, nietylko że nic Polsce dotąd nie dano — lecz przeciwnie, oderwano od niej kawał ziemi drogiej nam wszystkim. Takie zlekceważenie naszych zasług bolało nas bardzo.

Zebrali się oficerowie na naradę. Debatowano już nie nad potrzebą, lecz tylko nad formą protestu. Jedni radzili wnieść go na piśmie, drudzy z bronią w rękę; największa jednak część oficerów była za tem, by opuścić zdradziecką, obłudną Austrię i przejść do Muśnickiego. Protest pióra uznano za nieżołnierski.

Upłynęło kilka dni, a wzburzenie nie uspakajało się — rosło coraz bardziej. Wyższym oficerom zarzucano indyferentyzm, domagano się przyspieszenia czynu, godnego tak poważnej chwili, żądano wyjaśnień, co dotąd zrobili i co dalej w tej sprawie zamierzają czynić.

Na powtórne zebranie zaproszono także Jenerała Zielińskiego. Jenerał nie godził się na żaden z tych planów, upomniał, że jesteśmy żołnierzami, że nam nie wolno politykować i że odpowiednie czynniki już pomyślały nad honorowem wyjściem z tej bolesnej sytuacji.

„Cokolwiekbyśmy teraz zrobili“ — mówił Zieliński, „byłoby głupstwem“ i niczem innym, jak tylko głupstwem. Należy

jeszcze czekać, oddaliśmy się pod rozkazy Najdostojniejszej Rady Regencyjnej, od Niej oczekujemy rozkazów. Bez wiedzy naszej Najwyższej Władzy nic nam czynić nie wolno.

A więc rozkazuję Panom wpływać uspakajająco na żołnierzy. Ja niczego nie zaniechałem, abyśmy z tej sprawy wyszli z honorem, godnym dobrego Polaka. Tymczasem miejcie cierpliwość i nie róbcie głupstwa.

Tak przekonywał Jenerał Zieliński, lecz wzburzenia nie uspokoił.

Znano od dawna „dziwne“ zapatrywania Zielińskiego i jego obawę przed jakimkolwiek czynem politycznym. Polityki, a raczej jak się wyrażał „politykowania“ nienawdził w wojsku. Był przyzwyczajony słuchać i pod tym względem byłby swej Władzy przełożonej nigdy nie zawiódł. Przez swoją bierność stał się w ostatnich czasach w wojsku nie lubianym.

Zieliński wierzył w zwycięstwo Austrii i załatwienie sprawy polskiej po tej stronie widział. Nie była to jednak sympatya do Austrii, lecz silna wiara w przewagę państw centralnych. Nigdy się nie krył z tem przekonaniem. Nie rozumiano go jednak, i posądzano o rzeczy, na które absolutnie nie zasługiwał. Był to człowiek szlachetny, czysty i sprawiedliwy, przy tem dobry Polak, nie goniący za zaszczytem, nie lubiący drobiazgowości.

Żył w czasach, w których umysł musiał się naginać do zdarzeń wyłaniających się nagle, kiedy działać trzeba było szybko, a niekiedy uprzedzać fakta — on zaś, nie orjentujący się politycznie i stroniąc od „politykowania“, odosabniał się, stawał się obcym społeczeństwu. Stąd nie posiadano zaufania do jego programu i przekonań.

Dnia następnego odbyło się drugie zebranie oficerskie, później jeszcze jedno, ale już bez Jenerała. W obradach wzięli udział tylko starsi oficerowie z brygadyerem Hallerem na czele. O treści obrad dostawały się na zewnątrz tylko szczupłe i niejasne wiadomości, osnowę główną trzymano w tajemnicy.

Czternastego lutego zostaliśmy rozkazem Dowództwa P. K. P. wezwani do Łużan na odbyć się inające nabożeństwo za śp. majora Mężyńskiego.

W cerkwi wołoskiej tuż obok Łużan, zamienionej na kościół garnizonowy Leg. Pols. ustawiono katafalk, okryty żało-

bnem suknem, przybrany w insignia i emblemata legionowe. Na improwizowanej trumnie złożono liczne orderzy Majora Mężyńskiego. Mszę celebrował Superior L. P. ks. Panaś. Po skończeniu zwrócił się do obecnych z krótką przemową i wspominał o cnotach i zasługach naszego kolegi, który tak wcześniej nas opuścił..

„Może to i lepiej dla Ciebie, że nie musisz razem z nami przeżywać tej tragedji, którą my teraz przeżywamy“ — mówił Ks. Panaś. „Byłeś dobrym synem Polski, to też Twa dusza szlachetna bolałaby na tę wieść hiobową, z powodu której i nasze serca się krwawią. Ale jakkolwiek ciężkie są dla nas te chwile i chociaż horyzont naszej przyszłości znowu się zachmurzył, my tu, przed Tobą kolego nasz drogi, uroczystą składamy przysięgę, że nie rzucim ziemi, skąd nasz ród“: słowa Roty Konopnickiej zaintonował ks. Panaś. Z tysiąca piersi rozległa się potężna pieśń, śpiewana głosem żalu i rozpacz, przejmująca do głębi duszy. Gdy pieśń skończono, ks. Panaś, zgarbnawszy insignia austriackie Majora Mężyńskiego z katafalku, rzucił na ziemię. Upadły z brzękiem i rozsypały się po posadzce. Wzruszenie ogarnęło wszystkich. Zieliński miał łzy w oczach...

Ks. Panaś odczytał następnie kilka modlitw za duszę św. pamięci Majora Mężyńskiego, głosem zdławionym, jakby martwym, potem wyszliśmy z kościoła i zatrzymali się na cmentarzu.

Generał wezwał wszystkich oficerów i jeszcze raz upominał, by się zachowali spokojnie, nie robili żadnego „głupstwa“ i czekali cierpliwie na odpowiedź „Rady Regencyjnej“.

„Przed paru dniami wysłałem do Warszawy Szefa sztabu“ — mówił Zieliński, „aby się tam zapytał, co mamy robić i czy nas wogóle chcą, czy nie chcą. Jeżeli tam nas nie chcą, to się rozwiążemy. Racya naszego trwania traci podstawę z chwilą zawarcia pokoju z Rosyą, z którąśmy dotąd walczyli. A więc jeszcze raz rozkazuję Panom wpływać uspokajająco na żołnierzy. Gdy tylko przyjedzie z Warszawy Major Nieniewski, a spodziewam się go jutro, lub po jutrze, natychmiast Wam zakomunikuję odpowiedź Rady Regencyjnej.“

„Cokolwiekbyśmy teraz zrobili, byłoby głupstwem. Nam pozostaje teraz tylko czekać i nic więcej, jak tylko czekać:“ — zakończył z naciskiem...

„To za mało“ — odezwał się półgłosem któryś z wyższych oficerów. Czy usłyszał Zieliński, nie wiadomo.

Rozeszli się wszyscy. I ja wróciłem z kolegami do Berchomethu. Widzieliśmy dowodnie, że wzburzenie uspokoić się nie da, że nastąpi wkrótce wybuch o skutkach nieobliczalnie wielkich.

Podczas obiadu i kolacyi prowadziliśmy tegoż dnia ożywioną dyskusję na temat ostatnich zajść. Po kolacyi odszedł nasz komendant, rotm. Torma, wcześniej do domu niż zwykle. Nie zdziwiło nas to jednak; może był zmęczony, może do domu chciał list napisać, uspokoić rodzinę na wypadek dłuższej przerwy w pisaniu?..

Ja i czterej koledzy zostaliśmy dłużej i dyskutując o różnych sprawach, zabawiliśmy do godziny pół do pierwszej w nocy. Następnie rozeszliśmy się do swych kwater.

Moja leżała w odległości kilkudziesięciu kroków od lokalu menaży oficerskiej. Miałem mały pokój jasny i zimny, schludny i ubogo umeblowany. Lecz lepszego nie wymaga się tuż pod frontem.

Położyłem się na twarde łóżko, przykrywając się kilku kocami i zasnąłem wkrótce. Po jakimś czasie silne pukanie w szybę okna zbudziło mnie ze snu.

„Kto tam?“ zapytałem.

„Niech się Doktor prędko ubiera i natychmiast wyjdzie. Czaczka zachorował! Ja tu czekam“.

Poznałem głos naszego Rotmistrza. Za chwilę byłem już ubrany i wyszedłem przed dom.

„Klamka zapadła“ rzekł poważnym głosem.

Nie rozumiałem Rotmistrza. Wydał mi się dziwnym, był niezwykle zdenerwowany, niespokojny, ten stan jego i mnie się udzielił i jakimś dziwnym lękiem i niemiłym przecuciem mnie ogarnął. Nie pytałem o szczegóły, starając się sam odgadnąć, co zajść mogło. Wezwanie mnie o tak późnej godzinie nie było z błahych powodów.

„Cóż się stało, panie Rotmistrzu?“ zapytałem wreszcie, nie mogąc się doczekać wyjaśnienia. — Znowu milczenie.

„Czy już nie żyje?“ — miałem na myśli porucznika Czaczkę, który w ostatnich czasach był chory i nadmiernie zdeenerwowany.

Ależ nie o porucznika Czaczkę tu chodzi.

„Tak, Doktorze, już klamka zapadła. Zbudziłem Pana, bo sprawa pilna, musimy się naradzić. Ja się zdecydowałem. Opuszczamy Berchometh, Doktorze“.

„Kiedy?“

„Dziś, odrzekł Rotmistrz“.

„Dokąd odchodzimy?“

— To rzecz naszego Dowództwa. Bliższych szczegółów sam nie posiadam. Mam je dostać dopiero w drodze. Chodźmy do Chor. Załęskiego, tam pomówimy spokojnie. Trzeba wezwać Seredyńskiego i Misiaka. Charzewskiego zawiadomi się dopiero później. Mieszka ze swym bratem podoficerem, zwierzy się zaraz przed nim, tamten przed kolegami, a sprawa nie może wyjść na jaw do czasu naszego odmarszu.

Weszliśmy do Załęskiego; w pokoju paliła się świeca, okno było zasłonięte kocem. Dookoła panowała głucha cisza. Rotmistrz w krótkich słowach wyjaśnił sytuację.

„Tam zapadła uchwała“, mówił abyśmy opuścili Berchometh. Dokąd pójdziemy, co z nami dalej będzie — nie wiem. Ja się zdecydowałem, bo tego honor nasz wymaga Panów mam tylko zapytać, czy się poddajecie pod moje rozkazy. Kto się pod moje rozkazy nie podda, ten zostanie. Daję Panom chwilę czasu do namysłu“.

Nastało milczenie. Rotmistrz, pochyliwszy ku ziemi głowę, przechadzał się nerwowo po ciasnym pokoju.

„Panie Rotmistrzu“ zapytałem, od kogo pochodzą rozkazy?“

„Od naszego Dowództwa“, odrzekł.

„Czy bliższych szczegółów Rotmistrz udzielić nie może?“

„Sam nie wiem wiele. W drodze mam otrzymać dalsze rozkazy, wtenczas zakomunikuję tym Panom, którzy się teraz poddadzą pod moje rozkazy“.

„A więc, o ile to są rozkazy od naszej Władzy, nie mamy nad czym dłużej się namyslać. Ja się zdecydowałem, Panie Rotmistrzu“.

Uściskał mi rękę. Bezpośrednio po tem zgłosił oddanie się pod komendę Rotmistrza chor. Załęski, chor. Seredynski i chor. Misiak. Por. Czaczka już przed nami był o wszystkim poinformowany i również poddał się pod rozkazy Rotmistrza Tormy.

„— Panowie! Musimy być przygotowani na wszystko“ — mówił dalej Rotmistrz, nawet na najgorsze. Ufajmy jednak, że nas los nie opuści. Idziemy daleko stąd połączyć się z naszymi. Wszystko jest dobrze obmyślane i przygotowane. A co potem? nie traćmy nadziei

Zabłyśły mu oczy — powiódł wzrokiem po obecnych i urwał przemowę. „Dziękuję Panom za zaufanie“, rzekł wzruszonym głosem i uściskał każdemu z nas prawicę.

Znowu chodził nerwowym krokiem po pokoju, zmarszczywszy czoło, wpatrzony w ziemię.

„Kiedy odmarsz?“ ktoś zapytał.

„Dziś wieczorem“, odrzekł Rotmistrz.

„Nie mamy więc wiele czasu na dyskusye. Niech się każdy z Panów przygotowuje do odmarszu. Brać jak najmniej — ile każdy niezbędnie potrzebuje“, a potem, zwracając się do chor. Załęskiego: „Wozów nie brać wszystkich, tylko kilka — i to na rzeczy najpotrzebniejsze. Na bagaż oficerski przeznaczam tylko jeden wóz! Resztę zostawić na miejscu. Prowiant wydać żołnierzom na trzy dni. Do pilnowania pozostałych rzeczy, koni, oraz magazynów, zostawi się starych i inwalidów, nadto tych, którzy pójść nie zechcą, lub nie są pewni! Broń i amunicję zabrać wszystką. Rachunki zostawić w najlepszym porządku“.

„Rozkaz, Panie Rotmistrzu!“ odpowiedział Załęski, adjutant Tormy.

„Teraz zastanówmy się, czy zawiadomić o naszym odmarszu majora Passellę“.

Major Passella był dotąd komendantem Trenu Dywizyjnego — obecnie od niedawnego czasu zastępował go rotmistrz Torma.

Major cierpiał moralnie z powodu usunięcia go od służby oraz z powodu opuszczenia go przez kolegów.

Powinien był mieszkać w Kołomyi, uzyskał jednak pozwolenie na pozostanie w Berchomecie i tu się zakwaterował.

Major Passella często szukał mego towarzystwa. Przychodził do mej kwatery, odprowadzał mnie po obiedzie i kolacyi do domu, zapraszał na przechadzki i przy takich okazjach otwierał przedemną całą swą duszę i całą przeszłość swoją, pytał o radę i szukał w rozmowach „ulgi i ukojenia“.

Obszernie opowiadał mi o swym stosunku do matki i sióstr i o swem pożyciu małżeńskim.

„Pracowałem wiele by zrobić wojskową karierę, bo do tego byłem przeznaczony. Jak każdy młody „Leutnant“, a potem „Oberleutnant“, klepałem biedę. — A miałem jeszcze obowiązki względem sióstr, które wychowałem, dając im warunki kształcenia się. Wreszcie ożeniłem się — i odtąd nie wiedziałem, co znaczy bieda. Opływałem we wszystko; ale nie było zrozumienia między nami.

Bóg nam dał dziecko. Myślałem, że to nas bardziej zbliży duchowo do siebie, — ale ona nie kochała dziecka. Całem jej szczęściem byli jej rodzice, którym ulegała we wszystkim aż do przesady. I z tego powodu przychodziło między nami do częstych nieporozumień.

Zajęcia wojskowe nie pozwalały mi bywać często i długo w domu. Przyszedłszy wieczorami do mieszkania, najczęściej nie zastałem żony. To wytworzyło separatyzm między nami, jednak pozornie panowała harmonia i zgoda“.

Przyszła inwazyja rosyjska. Major był naówczas przydzielony jako kapitan do Leg. Polskich i odkomenderowany do Królestwa, żona zaś pozostała z dzieckiem we Lwowie.

W międzyczasie zachorowała córeczka i umarła. Przy cofaniu się Moskali z Galicyi wyjechała żona do Rosyi.

O tem wszystkim opowiadał mi Major obszernie, a z jego wynurzeń wiała szczerść i ból.



W pracy szukał zapomnienia. Otrzymał Dowództwo Taborów L. P., postanowił treny zreformować i postawić je na wyżynie strategicznej i administracyjnej. Wiele włożył w to pracy. Otoczył się jednak ludźmi przeważnie bez wyższego wykształcenia. Nadto szorstkie obchodzenie się z oficerami i żołnierzami podkopało mu mir i powagę — to też wkrótce stracił sympatyę i pozostał na uboczu, jakby po za nawiasem korpusu oficerskiego. Stał się niewiele znaczącym, niektórzy postanowili wyzyskać ten moment dla odwetu za różne doznane osobiste krzywdy od Majora. Ośmieszali go, denuncywali i psuli reputację w kołach wojskowych i pozawojskowych.

Major jednak lekcewał to wszystko i był pewien, że stoi za silnie i za wysoko, by go mogła dosięgnąć i obalić zawzięść pionków, które dotąd wedle swego kaprysu i widzimisie przesuwiał z miejsca na miejsce.

Gdy był już u szczytu uznania za swoją pracę, pośliznął się. Wprawdzie natychmiast naprawił zło, lecz Jenerał Schilling, na którego ręce szczegółową denuncjację wniesiono, wywiódł sprawę ad forum. Przeklina tę chwilę i tych co go w aferę wciągnęli, a teraz bronią się kosztem jego czci i honoru. I matka staruszka cierpi pod tym ciężarem. Chciał jej oszczędzić żmartwień, lecz matka wyczuła troskę syna, a nieszczerłość gnębiła ją jeszcze bardziej. Postanowił więc wyznać całą prawdę i przełamawszy fałszywy wstyd, wyznał.

Z końcem stycznia otrzymał urlop. Ponieważ jechałem przez Przemysł, gdzie mieszkała matka Majora, prosił mnie, bym się dowiedział o jej zdrowie, ewentualnie uspokoił.

Pochylona wiekiem staruszka niezmiernie się ucieszyła, ujrzawszy mię w mundurze legionowym. „To pewnie od Aurelka!“, zawołała uradowana.

Rozmawiałem z nią przez dłuższy czas.

„Nie pojmuję“, mówiła, „co się stało Aurelkowi. Przecież to taki dobry syn i brat, że nie umiem sobie wyobrazić lepszego. Jego poczucie honoru sięgało aż do przesady; musiał go ktoś umyślnie do złego namówić lub użyć jego autorytetu do swoich spraw. On zawsze żył skromnie, nie palił papierosów, nie uży-

wał alkoholu, nie uczęszczał do kawiarni ani cukierni. Jako leutnant przynosił do domu zaoszczędzone z pensyi pieniądze; — siostry wychowywał, łożąc na ich wykształcenie, choć sam miał bardzo mało.

„Pan niema pojęcia co to za dobry syn“ — i w oczach staruszki zawisły łzy. „Niech go Pan nie potępia i nie sądzi tak źle, jak inni. On zapewne padł ofiarą zemsty za swe szorstkie obchodzenie się z podkomendnymi — ale takie odnoszenie się wyniósł ze szkoły wojskowej“.

Major istotnie nie był złym człowiekiem, lecz owa sprawa honorowa stawiała go przed ruiną życia, bo prócz wojskowej — obecnie silnie zachwianej — nie miał przed sobą innej karyery.

Wracając z urlopu, wstąpiłem również do Matki Majora, zapytaniem, czy nie ma jakich poleceń dla syna. Podziękowała mi serdecznie za uprzejmość okazywaną synowi. „Niech mu Pan powie, że czynimy wszystko, aby mu pomódz w oczyszczeniu się od tej niesłusznej na niego napaści.. Bóg nas przecież nie opuści“.

Po przybyciu do Berchomethu zastałem Majora niezmiernie zdenerwowanego. Ucieszył się mym powrotem, wyjechał nawet na dworzec kolejowy — i znowu odtąd, jak poprzednio — towarzyszył mi na każdym niemal kroku, przepraszając często, że jest tak „naprzykrzony“.

Wiedzieli o tem i patrzyli na to — moi koledzy — a Rotmistrz Torma był nawet niezadowolony. I teraz, zapytawszy wszystkich, jak wobec tak ważnej sprawy postąpić z Majorem, zwrócił się do mnie i dorzucił: „Pan najlepiej zna Majora; jakie jest Pańskie zdanie, Panie Doktorze?“

„Major nie pójdzie z nami“ odpowiedziałem. „Lepiej będzie nie wtajemniczać go wcale“.

„Przecież jest naszym kolegą“ przekonywał Załęski — „i przez trzy lata zżył się z nami, nie powinniśmy go zostawiać. Mojem zdaniem należy go wtajemniczyć, a gdy pójść z nami nie zechce, wziąć od niego słowo oficerskie, że o tej sprawie nikomu nie powie przed naszym odmarszem“.

Inni koledzy podali wniosek, by dopiero po południu powiedzieć Majorowi o odmarszu.

* * *

Już brzask dnia zaglądał w okna. Adjutant Załęski pakował swoje rzeczy — zdecydowany, milczący, trochę podniecony. Reszta nas przeszła do przyległego pokoju, gdzie mieliśmy swoją menaż oficerską. Ktoś zaproponował, by podać koniak i jakąś przekąskę, ponieważ byliśmy zziębnięci i zmęczeni nieprzespaną nocą. Gdyśmy jeszcze siedzieli przy stole, dało się słyszeć energiczne pukanie do drzwi od pokoju Załęskiego, poczem drzwi się otwarły i przed Załęskim stanął Major Passella.

„Cóż wy tu robicie? Dokąd się wybieracie? Cóż to za pakowanie o tak wczesnej godzinie?“..

„Odchodzimy stąd“, rzekł zakłopotany Załęski.

„Dokąd odchodzicie?“

„Na ćwiczenia“.

„Ej, coś mi się to nie podoba. A kiedy macie odejść? Dziś?“

Załęski nic nie odpowiedział.!

Tymczasem zauważył Major, że więcej nas jest w przyległym pokoju — i wszedł do nas.

„Co wy przedemną kryjecie!? czy jestem dla was obcym? ... Ja o niczem nie mam wiedzieć?“

Cóż ze mną zamierzacie zrobić?“

..... „Możesz także pójść z nami“ — odpowiedział Rotmistrz.

„Mówcie wy sobie. To coś jest innego, tylko nie chcecie powiedzieć prawdy. Dla czegoż się mnie boicie?“ ...

Na to wyjaśniono Majorowi ogólnie cel odmarszu.

„Więc Wybyście byli mnie zostawili. Wątpiliście, czy z Wami pójdę?“ ...

„Nie moglibyście większej wyrządzić mi krzywdy, jak odejść i zostawić mnie tu samego“.

„Przecież ja żyłem się z Wami“ — i patrzył nam kolejno w oczy, jakby chcąc wyczytać, kto za nim, a kto przeciw niemu.

„Któż to zarządził?“ pytał dalej.

„Nasze Dowództwo“.

„Ja się muszę poinformować, dlaczego mnie pominięto“.

„Tego Ci nie wolno“ odrzekł Rotmistrz. Masz się poddać pod moją komendę“.

To zachwiało decyzję Majora. Zamyślił się, czuł się upokorzonym. On, rangą starszy — zresztą właściwy Dowódca tego oddziału, dziś ma stać pod rozkazami swego podkomendnego? . . .

„Więc pójdiesz z nami?“ zapytał dalej Rotmistrz.

„Pójdę — ale — ja obejmę komendę“.

„Nie możesz objąć!“ — rzekł sucho i stanowczo Rotmistrz. „Mnie dano rozkazy i oddano Dowództwo.“

„Jeśli chcesz pójść z nami, musisz się poddać bezwzględnie pod moje rozkazy. Gdy przybędziemy na miejsce naszego przeznaczenia, wtenczas może ureguluje się sprawa na Twoją korzyść; teraz inaczej być nie może“.

Major stał jak przykuty do ziemi — nieruchomy, milczący i tylko czarne, żywe jego oczka biegały po naszych twarzach, szukając rozwiązania tej trudnej sytuacji.

Zapytany raz jeszcze, czy się decyduje pójść jako podkomendny, odpowiedział: „pójdę, przecież tu nie zostanę — i odszedł do domu, zapewne by swoje bagaże pakować“.

„Widzi Doktor, że pójdzie z nami“ tryumfował Załęski. „Byliśmy wyrządzili mu krzywdę“.

„Ja mam wrażenie“ odrzekłem, „że nie pójdzie. Miałem sposobność w ostatnich czasach bliżej go poznać“.

„I ja sędzę, że pójdzie“ dodał Rotmistrz, choćby dla uniknięcia niemiłych dlań następstw, które go przecież i w austriackiej armii ścigać nie przestaną“.

Dyskusya się urwała; każdy z nas poszedł do swej kwatery, by zapakować rzeczy najpotrzebniejsze do odmarszu.

Na kwaterze zastałem swego ordynansa, Zygmunta Węgrzyckiego. Palił w piecu.

„Niema drzewa, Panie Doktorze“, usprawiedliwiał się.

„I nie umiesz postarać się?“

„Czyż wciąż będziemy zabierać drzewo z obcych stodół i płotów? Mogłaby się postarać wreszcie o drzewo nasza Komenda“.

„Tak postara się, tymczasem ty się staraj na własną rękę i nie melduj mi nigdy, że drzewa niema. Ja cię zresztą o to nie pytam. Ma być w piecu napalone, rozumiesz?“

„Tak jest!“

„Potem spakujesz rzeczy najpotrzebniejsze“.

Wypatrzył się na mnie, jakby w coś wątpił i chciał pytać o wyjaśnienie, widząc jednak, że niechętnie rozmawiam, zabrał się do pakowania rzeczy, pytając tylko od czasu do czasu, co zabrać, a co zostawić.

„Czy my choć zastaniemy to wszystko tak, jak zostawiamy?“...

Nic nie odpowiedziałem.

Był to 17-letni chłopiec, przed wstąpieniem do Legionów student czwartej, czy piątej klasy wydziałowej. Piotrkowianin, syn urzędnika kolejowego. Posiadał wrodzoną inteligencję, spryt i wiele temperowanej bezczelności. Mina pewna siebie, grzeczne obejście i iście żołnierska karność względem przełożonych zjednywały mu sympatyę. Był nadto bardzo uczciwym.

Lubiłem tego chłopaka. Był do mnie przywiązany i nie wyobrażał sobie, że kiedyś będzie musiał mnie opuścić. Podałem go do awansu na patrolowego, by nie narzekał, że będąc ordynansem, niczego się przez czas wojny nie dosłużył. Zasmucił się tą nominacją, przypuszczał bowiem, że przez to będzie musiał odejść ode mnie.

Teraz krzątał się po pokoju i od czasu do czasu przerywał milczenie jakimś pytaniem.

„Czy my może na ćwiczenia idziemy?“

„Tak“

„A to zabrać?“

„Tak jest“.

„A tamto naturalnie zostawić?“

„To zostaw“.

„Przecież tego szkoda zostawiać!? Jak zginie?“

„Ma zostać!“ powiedziałem stanowczo.

„Mnie się zdaje, Panie Doktorze, że my nie na ćwiczenie idziemy“ — i patrzył mi w oczy, czekając na odpowiedź lub chcąc wyczytać prawdę, — a gdy nic nie odpowiadałem, mówił dalej: „Coś u nas wiele rozmawiają o Muśnickim“ — i dalej patrzył na mnie, jakby prosząc o odpowiedź.

Wiedziałem, że jest dobrym Polakiem. Przykro mi było zbywać go pustym frazesem, więc zapytałem:

„Zygmunt; jesteś Polakiem?“

Trzasnąwszy obcasami, stanął przede mną na „baczność“ i odpowiedział stanowczym głosem:

„Tak jest!“

„Umiesz dotrzymać tajemnicy?“

„Umiem!“ odrzekł szybko i z naciskiem.

„Dasz słowo honoru?“

. . . „Nie dam słowa!“ — a po chwili namysłu dodał, „ale tajemnicy nie zdradzę“ — i ogniem płonęły mu oczy. Stał dalej na „baczność“, oczekując, co teraz usłyszy.

„Odmaszerujemy dziś do Muśnickiego“

„Ja się tak domyślałem“ — odpowiedział.

„Nikomui nie wolno o tem mówić, aż do odmarszu!“

„Rozkaz!“ — znowu trzasnął obcasami, aż się echo rozległo. Zabrał się do pakowania rzeczy i już wiedział teraz, co zabrać, a co zostawić.

Byłem najzupełniej pewny, że tajemnicy dotrzyma. Za chwilę odszedłem do kancelaryi Dowództwa Taborów. Sortowano tam papiery, palono księgi ewidencyjne i różne meldunki, by jak najmniejszy ślad pozostawić po Legionach. Z kancelaryi udałem się przez kurytarz do „Izby Chorych“. — Sanitariuszowi Rehmanowi kazałem za chwilę przyjść do siebie. Był to bardzo inteligentny dwudziestoletni mężczyzna, Krakowianin i dobry Polak. Służył pierwotnie przy artyleryi. Żadnej rangi się nie dosłużył i nie czuł się tem pokrzywdzony. Wtajemniczyłem go także w cel naszego odmarszu, zalecając milczenie. Zapytany, czy się decyduje odrzekł bez chwili namysłu „tak“.

Innego sanitariusza posłałem do pododdziałów opodał Berchomethu stojących, celem obdzielenia ich materiałem sanitarnym.

Około godziny 12-ej poszliśmy na obiad. Przybył też Major Passella. Obiad nam nie smakował. Byliśmy podnieceni tem, co nas dziś czekało.

Major Passella, wsparłszy głowę na dłoniach, siedział przy stole, pogrążony w myślach.

„Cóżeś tak zamyślony?“, zapytał Rotmistrz.

„Wiesz Torma, ja nie mogę pójść z wami. Wiele rzeczy się na to składa — a najboleśniejse jest to, że muszę się poddać pod Twoją komendę. Takiego upokorzenia znieść nie potrafię. Zresztą i z innych powodów muszę pozostać. Mam matkę staruszkę . . . tam . . . może mi nie dowierzają, lub mną gardzą — kaucyę żony stracę — no i inne drobiazgi, jak meble i różne rzeczy nieuporządkowane — ale z tego wszystkiego najboleśniejse dla mnie to, że się muszę poddać pod Twoją komendę“. A po chwili dodał: „Oddaj mi komendę, to pójdę z Wami!“

Zapanowało milczenie. Czuliśmy teraz, że ten człowiek jest dla nas ciężarem.

Po obiedzie odwołał go Rotmistrz do przyległego pokoju, następnie wezwał adjutanta i mnie, a zapytawszy Majora jeszcze raz o powody, dla których z nami pójść nie mógł, i otrzymał od niego kategoriyczną odpowiedź, że się rozmyślił,

zażądał od Majora słowa honoru, że do rana dnia następnego nie wspomni nikomu o naszym odmarszu i uda, że nic o tem nie wiedział; nadto, że przed upływem wspomnianego czasu nie opuści Berchométhu. Major złożył słowo honoru w ręce Rotmistrza, adjutanta i moje. Tłumaczył przy tem, że taki plan zawadyacki udać się nie może, a on wtenczas niema odwrotu. Po niejakiem czasie wrócił do swej kwatery.

Uchwaliliśmy mieć go na oku i nie dopuścić do wyjazdu z Berchométhu przed naszym odmarszem. Charzewskiego, Misiaka i mnie przeznaczył Rotmistrz do pilnowania Majora Passelli.

Major mieszkał od kilku dni stale w tej samej kwaterze. Przed tem bardzo często zmieniał mieszkanie. Dowiedziawszy się, że któryś z oficerów ma lepszą kwatere, proponował mu, że się doń wprowadzi, a ponieważ nikt nie chciał wspólnie mieszkać z Majorem, godził się na propozycję, lecz z mieszkaniem swego ustępował, szukając sobie innej kwatery. Takie wysiedlanie drugich dotknęło niektórych oficerów po kilka razy, aż wkońcu natrafił Major na otwartą niechęć i energiczny protest ze strony pewnego oficera. Siedział więc odtąd w swej ostatniej kwaterze i narzekał przy każdej sposobności, że inni lepsze znaleźli kwatery.

Tam mieliśmy Majora pilnować. Wróciwszy po obiedzie do swego mieszkania, nie zabawił w niem długo. Po kilkudziesięciu minutach wyszedł do stajni, gdzie stały dwa jego konie i polecił je osiodłać. Spostrzegliśmy to w czas i zmusili ordynansa, by natychmiast konie rozsiadła.

Około godziny 3-ciej po południu, usiłował Major dostać się do telefonu w naszej centrali telefonicznej. Dwukrotnie mu przeszkodzono. Nieco później dostał się jednak do telefonu i poprosił na rozmowę Brygadiera Hallera. Czy Brygadyer, czy też kto inny był przy telefonie — niewiadomo.

Major zapytał, czy może wziąć udział w „ćwiczeniach nocnych“ — tak bowiem nazywała się nasza wyprawa. Świadek rozmowy słyszał podobno odpowiedź „nie“, poczem natychmiast przerwano połączenie i Major, mimo długiego dzwonięcia nie mógł się do telefonu nikogo doprosić. Od tej chwili zgubił się gdzieś — przez dłuższy czas nie mogliśmy go odszukać. Dopiero po upływie mniej więcej godziny zauważyliśmy Majora idącego do wsi od strony pół. Wyszliśmy naprzeciw i wrócili

z nim razem do jego kwatery, prosząc by tam pozostał, ponieważ zapewne on jak i my jesteśmy zmęczeni.

Na ławach i na stole leżały spakowane już rzeczy. Przypomnieliśmy Majorowi dane jego słowo oficcerskie. Nie zmieszaliśmy się wcale, zapewniali nas, że słowa dotrzyma i że „nie powinniśmy w to wątpić“.

Było już po godzinie 5-tej. Na dworze już się ściemniało i błoto, powstałe z roztopu śniegu, ścinał lekki przymrozek. Horyzont nieba się rozchmurzył i choć nie było księżyca, noc zapowiadała się jasna.

Zdała dochodził nas turkot wozów odjeżdżających już z Dowództwa Taborów. Jeden, czy dwóch żołnierzy-inwalidów zostawiono do pilnowania niezabranego inwentarza. Charzewski, Misiak i ja mieliśmy o godzinie 6-tej wieczór jako ostatni opuścić Berchometh.

Rozmowa z Majorem była wymuszona. Major wiedział, że jest strzeżony, lecz omijał ten temat w rozmowie.

W trakcie sztucznie podtrzymywanej rozmowy, wspomnieliśmy Charzewski, że w swej kwaterze zostawił kilka flaszek wina.

„Czemuż Pan nie kazał tu przynieść? Wypilibyśmy na pożegnanie“ zauważył Major.

„Natychmiast przyniosę, Panie Majorze“, rzekł Charzewski i wstał, by pójść po wino.

„Panie Miluś, po co się Pan będzie sam fatygował! Ja pošę ordynansa, niech Pan tylko objaśni, gdzie wino stoi“ i wyszedł spiesźnie z mieszkania.

Już zbliżała się szósta. Do mieszkania Charzewskiego nie było daleko, zaledwie 3—4 minuty drogi. Gdy po 10 minutach ani ordynans ani Major nie wracał, opuściliśmy kwaterę, by się nie spóźnić z odjazdem. Przechodząc uliczką — usłyszeliśmy głos Majora. Zamknąwszy się w stajni, wydawał ordynansowi jakieś dyspozycje.

Więc znowu łamie słowo?! Uczuliśmy niechęć do niego, i zaniechali nawet pożegnania. Przed moją kwaterą czekała już fura na nas. Załadowano bagaż, wsiedliśmy sami i odjechali.

Konie szły rażno. Na nieboskłonie zabłyśły gwiazdy i słabem swem światłem rozpraszały ciemności.

Myśli pomknęły tymczasem w rodzinne strony, odtwarzając po kolei ważniejsze chwile życia.

Czy wrócę kiedy w te strony, czy ujrzę kiedy Rodziców, krewnych, Bronkę? . . .

Wiedziałem przed sobą długą — prawie nie kończącą się tułaczkę wśród trudów i niedostatku, znoszoną jednak chętnie i cierpliwie, bo dla narodowej sprawy.

Narodzie! Dajemy Ci przykład zgody i jedności. A jeśli my nie wiele dokażemy, bośmy słabsi od wroga, niech nasz przykład ogarnie liczniejsze zastępy, porwie naród cały i wrogom zada śmiertelny cios.

Wiedziałem jak nasze wojsko, przebiwszy się szczęśliwie przez front, łamie przeszkody, dociera do Muśnickiego, łączy się z jego armią i huraganem uderza na Teutonów i gromi ich.

Zapał uniósł mnie w sferę fantazyi. Ocknąłem się po chwili. Już ujechaliśmy spory kawał drogi. Przez otwarte pola, pokryte śniegiem pędził zimny wiatr i zalatywał pod nakrycie wozu. Uczułem chłód i owinąłem się kocem.

Biedna Bronka!... Czy ją uspokoi mój list dzisiejszy? Wiadomość, że przez czas długi nie będę wcale pisał — zasmuci ją i stanęła przed mą wyobraźnią taka dobra, łagodna i piękna, jak nieziemska istota — jakby jakieś bóstwo opiekuńcze, które swą przepotężną wolą nie dopuści, by się coś złego stało Anowi.

Wstąpiła we mnie nadzieja, że to będzie ostatnia próba losu, że jednak skończy się zwycięsko.

Po tułaczce wracam do kraju — odszukuję swą Ukochaną. Ze łzami radości rzuca się w moje objęcia, a ze wzruszenia mówić nie może.

„Odtąd już mój jesteś — już mnie nie zostawisz, An, — prawda?“

„Tak Broniuś“.

„Ty już nie pójdziesz ode mnie, powiedz An Tak bardzo pragnęłam Cię zobaczyć! W dzień miejsca znaleźć sobie nie mogłam, po nocach jakieś mamidła plątały mi myśli,

przesuwając różne straszne sceny przed oczyma. Widzisz, jaką jestem zbiedzoną? Czy kochasz mnie taką?“.

Przytuliłem do serca i całowałem namiętnie zmizerowaną, a teraz szczęściem opromienioną główkę Bronki.

„Wypłakałam sobie mego Ana od losu — i wrócił mi go. Mój An, mój drogi, mój, mój, mój na wieki!“ i tuliła się do mnie, jakby chcąc się uchronić przed jakąś złowróżbną marą.

„Cóż Pan tak cicho siedzi?“ przerwał mi Charzewski.

„Gdzież jesteśmy? podobno blisko Łużan?“ zapytałem, wychylając głowę z pod nakrycia wozu, by się zorientować w okolicy.

„Tak za parę minut będziemy już na miejscu“.

Jak mgła poranna rozwiało się cudne widzenie. Wstąpiła jednak we mnie otucha i nadzieja, że przedsięwzięcie nasze pomyślnie wypadnie.

Wóz turkotał głośno po zamarzniętym gościńcu i zagłuszał rozmowę. Znowu zapanowało milczenie. Nie kleiła się zresztą rozmowa. Każdy z nas miał swój drogi kącik wspomnień, dokąd słał swe myśli.

Już i mostek! Teraz na prawo, a za chwilę wjeżdżamy na obszerny dziedziniec, gdzie dalsze na nas czekają rozkazy.

Wysiedliśmy. Podwórze nie oświetlone, tylko z latarkami elektrycznymi snują się tu i ówdzie oficerowie i podoficerowie. Budynek piętrowy opodal stojący — dawniej podobno cukrownia a dziś koszary i magazyny legionowe — także bardzo skąpo zewnątrz i wewnątrz oświetlony. Prawie wszędzie ruch normalny, tylko nieco przyspieszony. I wozów na podwórze więcej niż zwykle. Resztę szczegółów przystoniła noc.

Weszliśmy na pierwsze piętro wspomnianego budynku. W pokoju kilku oficerów i nasz Komendant. Podano gorącą herbatę z winem. Zagraliśmy się, zjedli po kawałku kiełbasy

z chlebem i za pół godziny stali na dziedzińcu koszarowem gotowi do odmarszu.

Pół do ósmej! Ruszmy!

Bezładna masa wozów toczy się na drogę — po kilkunastu minutach wyciąga się w długą linię, której czoło oparte o pułk, a koniec stanowi jakaś Kolumna prowiantowa, czy Rezerwa koni. Przygaszono resztę świateł, tylko przed Komendą Placu pali się jasna lampa, rzucając wokoło silne światło. W budynku Komendy Placu pustki.

Tajemnicza karawana tonie za chwilę w ciemnościach nocy i przyspieszonym marszem posuwa się w stronę Mamajowiec. Zaledwie uszliśmy kilkaset kroków, runął na ziemię słup telegraficzny, podcięty piłą — nieco dalej drugi, trzeci, tu i ówdzie plącza się nogi w poprzecinanych drutach telegraficznych, leżących po drodze, idąc jeszcze dalej, spotykamy konne patrole austriackie, pędzące wzdłuż naszych szeregów, potem auto, znowu patrole, — znowu auto i t. d.

Nikogo nie puszczono wolno. Szybko zρέcznie i cicho rozbrajane patrole austriackie nie stawiały oporu, tak samo oficerowie, jadący autem; żaden strzał nie padł przytem z żadnej strony.

Szedłem pieszo przy oddziale Dowództwa Taborów.

„Nie wie Pan, gdzie jest Zieliński?“ zapytał mnie któryś z oficerów.

„Nie wiem, co z Jenerałem się stało“ odpowiedziałem.

„Ja słyszałem“, rzekł „że został w Łużanach, nie chciał iść z nami. Miało przyjść nawet do jakiejś awantury — podczas której zabrano Zielińskiego. Ale podobno jest chory“.

„Któż więc prowadzi nas — nie Jenerał Zieliński?“.

„Nie. Brygadyer Haller. Jenerał Zieliński jest z nami, ale jedzie z nami pod eskortą Rotm. Okołowicza i kapitana Góreckiego. Nie chciał iść z nami, zostać przecież nie mógł, więc go wzięto przemocą. A gdy przejdzie granicę austriacką, pozbędzie się swych skrupułów i będzie najlepszym Polakiem. On tylko nie potrafi pogodzić rygoru wojskowego z patriotyzmem — i w tych rzeczach za niego trzeba robić“.

„Może Jenerał chciał upozorowania tej przemocy, aby zaspokoić swe sumienie? nie sądzi Pan?“ zapytałem.

„To się później pokaże. Słyszałem, że nie. Do ostatniej chwili bardzo energicznie wzbierał się iść — i bardzo stanowczy postawił protest. Gdy go tuż prawie przed mającym nastąpić odmarszem pytano, czy się nie namyślił, odpowiedział: „nie miałem się nad czym namyślać; przekonania moje są Panom znane, nie zmieniłem ich i nie zmienię“.

„I co potem?“

„Przyszedł Rotm. Okołowicz i aresztował Jenerała“.

„Nie protestował?“

„Nie. Rotm. Okołowicz zameldował Jenerałowi, że w imię „Komitetu wykonawczego“, czy jakiejś „Rady wykonawczej“ — już nie pamiętam — przychodzi zaaresztować Jenerała i prosi, by się poddał temu rozkazowi.

W pokoju i u wejścia postawiono wartę. Jenerał podobno bardzo był złamany i odrzekł tylko: Wobec przemocy oddaję się do Waszej dyspozycji“

Z przykrością służyłem opowiadania i uwag odnośnie do charakteru Jenerała. Znając bowiem przekonania Zielińskiego, nie zgadzałem się w niektórych punktach z zapatrywaniami owego oficera, z którym rozmawiałem; ale nie czas był na polemikę. Mojem zdaniem Zieliński nigdy nie był austrykiem i gdyby w tej ważnej chwili wyszło zarządzenie od Najwyższej Władzy Polskiej, byłby się nie zaważał granice Austrii opuścić. Dla niego wszystkim był rygor i rozkaz władzy, której się podporządkował; nie znając się na polityce, do polityki nigdy się nie mieszał. Zaprzysiągł posłuszeństwo żołnierskie Radzie Regencyjnej, nie miał od Niej rozkazu, więc nie szedł. A już nie byłby uzurpował sobie prawa sądzić lub krytykować Najwyższą swą Władzę.

„Nie natom ja, abym krytykował, jaką Ona ma być,“ mawiał często, „na to są inni ludzie, co się znają na polityce“ (słowo to akcentował na literze „y“), ale skoro obrali sobie Polacy jakąś władzę i uznali ją, to mają tej władzy słuchać. Już nas powinna wreszcie tego historia nauczyć. Złożyłem przysięgę Radzie Regencyjnej, Jej więc słucham, bo tak powinien robić każdy żołnierz bez względu na swą rangę“.

Przypomniął mi się Jenerał z czasów Koziennickich. Tam stykałem się z nim codzień przy obiedzie i kolacyi, tam też dał się poznać takim, jakim był w istocie i nie tylko jako przełożony, ale też jako człowiek. Wiele pamiętnych chwil pozostało mi we wspomnieniach z tego okresu.

* * *

Chłopcy nasi szli wesoło, rozmawiając półgłosem. Czas się nie dłużył. Już odbyliśmy przeszło pół drogi, gdy pod Sadagorą, po przejściu pułków przez tor kolejowy, przecinający drogę w tym miejscu — pociąg ciężarowy, powoli się wlokąc i szybując, przerwał nam dalszy pochód. Czekaliśmy tu około 20 minut zanim minął rampę. Pułki tymczasem odeszły już daleko — straciliśmy z nimi łączność.

Konie były tak pomęczone, że padały z osłabienia. Przepęganie koni, odrzucanie w bok zepsutych wozów, łączenie, nawoływanie do porządku, zajmowało wiele czasu, podczas tego pułki oddalały się od nas coraz bardziej.

Ruszyliśmy za nimi pospiesznym marszem.

Doszedłszy do Żuczki skręciliśmy przed Prutem z szosy głównej na lewo. Droga prowadziła pomiędzy spalonymi domami, potem przez most drewniany, nieduży nad głębokim jarem, na dnie którego płynął mały potok, wreszcie przez otwarte pola, dość wygodnym gościńcem. Po prawej i lewej stronie drogi rysowały się na tle nocy, niewyraźne kontury wielkich, starych drzew.

Doszliśmy do toru kolejowego, który łączył Czerniowce z Żuczką. Tor przecinał w tym miejscu drogę prawie pod kątem prostym.

Pochód otwierało dowództwo Taborów. Na czele jechał Rotm. Torma z adjutantem Załęskim i por. Czaczką. Już około 6 wozów minęło tor kolejowy, — nagle rampa się zamknęła, wstrzymując dalszy pochód. W tej chwili od strony Żuczki zjechał pociąg osobowy, złożony z kilku wozów i stanął naprzeciw drogi a z wagonów wysypało się kilkudziesięciu zbrojnych żołnierzy, zajęło wzgórze przed nami z tamtej strony toru i rozstawiło się w tyralierę.

Zrozumieliśmy sytuację.

„Kto ma broń, za mną!“ i z ciemności wynurzyło się kilkunastu Legionistów, biegnących ku torowi kolejowemu. Tuż przed torem, po prawej stronie drogi ustawili się nasi również w tyralierę. Nim jednak dali ognia, padła na nich salwa, za nią druga, trzecia, czwarta krótka pauza — potem z obu stron zmieszane strzały karabinowe, powoli rzednące, a w końcu tylko słabe jęki rannych . . .

Gdy pociąg nadjechał, znajdowałem się przy rampie kolejowej. Przy drugiej salwie uczułem ukłucie w palec prawej ręki, poczem zaraz schroniłem się za wóz. Po ustaniu ognia karabinowego, zauważyłem, że jestem ranny w czwarty palec koło paznokcia. Obwiązałem palec chusteczką i podszedłem w stronę, skąd strzelali nasi. Przy torze kolejowym leżało kilku naszych zabitych i kilku rannych — reszta już się rozbiegła, wystrzelawszy wszystkie naboje. Chciałem opatrzeć rannych i zarządzić zabranie ich na wóz sanitarny, lecz uczułem silne osłabienie; miałem wrażenie, że się osuwam z nóg na ziemię. Dobyłem ostatnich sił i podążyłem kilkanaście kroków wstecz. Po drodze spotkałem ppor. Beldowskiego i chor. Misiaka. „Słabo mi“ powiedziałem. Unosząc pod ramiona, poprowadzili mnie do przydrożnego rowu, rozpięli kołnierz i bluzę i ułożyli na wznak.

Oslabienie długim marszem i silny wpływ krwi był powodem tego omdlenia.

Spojrzałem na zegarek: za 10 minut dwunasta. Wokoło znowu głucho cisza, przerywana parskaniem koni. Wozy znajdowały się w największym nieporządku. Niektóre pospadały z drogi do fosy, inne połamane stały ukośnie lub w poprzek drogi.

Tymczasem zajechał drugi pociąg i znowu wysypał kilkudziesięciu zbrojnych żołnierzy, którzy nieco wyżej od pierwszych, zajęli pozycje na wzgórzu.

W tej krytycznej chwili brakło nam Dowództwa. Rotmistrz Torma wraz z adjutantem i por. Czaczką, spostrzegłszy, żeśmy

od nich odcięci, nie wrócił do nas, lecz jak się zdawało, pojechał za pułkami. Pozostali sami młodzi oficerowie, którzy wahali się objąć komendę.

Po chwili namysłu zaczęto zbierać ludzi; niektórzy nie mieli broni, inni amunicyi, inni tylko po 10 lub 20 nabo! — Znaleziono kilkanaście granatów ręcznych i rozdano żołnierzom. Dostali i tacy, którzy nie umieli się z nimi obchodzić!

Upłynęło kilkanaście minut, nim zebrano grupkę żołnierzy, uzbrojonych w karabiny i granaty ręczne. Tymczasem od toru kolejowego dały się słyszeć nawoływania, by furmani wrócili do swych koni i wozów. Zauważono bowiem, że pociąg cofa się ku stacyi Żuczka. Już ostatnie wozy minąć mają rampę kolejową — już tylko jeden wóz przegradza nam drogę przez tor — już nasi podnoszą rampę w górę lecz niestety! z za tego pociągu wysuwa się inny pancerny!

Powstaje konsternacya — lecz po chwili — na daną komendę podbiegają nasi pod pociąg pancerny i rzucają nań kilka granatów. Przerażliwa detonacya wstrząsnęła powietrzem lecz w tejsze samej chwili odpowiadzano salwami z przeciwnej strony następnie otworzono na nas piekielną palbę z karabinów maszynowych, trwającą kilkanaście minut. Grzani gęstym ogniem i wystrzelawszy wszystką amunicyę, poczęli nasi cofać się w popłochu i kryć się za wozy i drzewa. Nigdzie jednak nie było pewnej osłony przed pociskami, gdyż pociąg pancerny, posuwając się po torze wprzód i wstecz, brał nas w ogień krzyżowy. Konie wyrывały się z uprzęży, cofały wstecz lub stawały w poprzek drogi, albo z wozami spadały do przydrożnych rowów. Powstał popłoch i zamieszanie. Na czole taborów skłębiło się wszystko w bezładny chaos wozów, i koni, a z pociągu pancernego wciąż nas prażono silnym ogniem.

Po kilkunastu minutach zelżało. Nieprzyjaciel puścił rakietę świetlną, i oglądał dzieło zniszczenia. Smutny widok! Przy pierwszych kilkunastu wozach nie widać było żołnierzy. Część zapewne poległa, część się schroniła, reszta ratowała się ucieczką. Dokąd? . . . Biegną w pola na prawo i lewo od drogi, lecz i do nich strzelają austriacy, oświetlając pole rakietami.

W świetle raz po raz puszczanych rakiet, widać było na niewielkiem wzgórzu naprzeciw nas stojące austriackie kompanie szturmowe, które, roztaczając skrzydła, okrążały nas z prawej i lewej strony i spychały ku potokowi.

Pierwsze ich szeregi dotarły już do naszych wozów i rzuciły się jak bandy na rabunek. Bagnetami otwierano skrzynie, kufry, kuferki, rozbijano kasy, rabowano wszystko, co tylko unieść się dało.

* * *

W międzyczasie rozegrało się na tyłach oddziałów inne zdarzenie. Od strony Czerniowiec zaraz po pierwszej strzelaninie nadjechało auto.

Minąwszy mostek nad potokiem, zostało przez naszych zatrzymane. Ksiądz Panaś pierwszy wskoczył do auta i zaarrestował . . . Jenerała Schillinga, narzuconego nam przez Austryę „opiekuna legionowego“, który zaalarmowany tajemniczym odmarszem Legionistów, przybył tu, aby nas powstrzymać od „nierozważnych zamiarów“.

„Panowie“, wołał głosem lęklwym, cóż Wy robicie? Puśćcie mnie do Waszego Wodza. Czyż mnie nie poznajecie?

„Owszem“, rzekł Ks. Panaś, „znamy Ekscellencyę i zapewniamy, że się Ekscellencyi nic złego nie stanie. Ekscellencya pójdzie z nami, a tam z góry . . . jak zechce — albo pójdzie dalej z nami albo wróci sobie do domu“.

„Cóż Wy robicie?! Dzieci! Ja Was przecież na nogi postawiłem — co to wszystko ma znaczyć? Macie przecież pół Chełmszczyzny!“

Nie reagowano na jego perswazyę. Uspokoił się wreszcie widząc łagodne obchodzenie się z nim.

„A skąd to strzelanie?“, zapytał. „To nasi strzelają“, odpowiedziano — i siedział dalej w aucie, wystraszony i milczący, pilnowany przez chor. Charzewskiego i kilku naszych żołnierzy

Gdy nas ponownie ostrzeliwano, prosił eskortę, by mu pozwoliła skryć się za auto; żołnierze, chcąc widocznie i siebie salwować, pozwolili na to. Schilling wysiadł z auta, zręcznie skoczył w bok, potem przez fosę i w pół zgięty pobiegł w zarośla nad potokiem.

* * *

Jak rozbitki cofaliśmy się powoli do mostu. Po drodze spotkałem Księdza Panasia. Karcił właśnie żołnierzy za to, że się gromadzą w „kupki“.

Rozejdźcie się, „bo was wystrzelają, jak kaczkii!“

Lecz nikt go nie słuchał. Wszystkich opanowała jakaś dziwna apatya, rezygnacya.

Zbiwszy się w gęstą grupkę, rozmawiali ze sobą, palili papierosy, a kule świstały im nad głowami.

„Zgasić papieros!“ wołał oburzony ks. Panaś, żołnierz popatrzył w stronę, skąd głos go dochodził, przyłożył jeszcze raz papieros do ust, pociągnął namiętnie — i rzucił na ziemię.

A z tamtej strony co kilka lub kilkanaście sekund wystrzelały z dwóch stron równocześnie białe rakiety i uniosły się wysoko w powietrze, zawisły pod niebem, oświetlając widnokrąg tak jasno, iżbyś igłę znalazł — a potem powoli spadały na ziemię. Zauważyliśmy, że Austriacy systematycznie nas okrążają. O przebicciu się już nikt teraz nie myślał. Ratować się ucieczką? Jak i dokąd? Byliśmy zewsząd otoczeni mrowiem jakby z pod ziemi wyrastających żołnierzy. Może nam pomoc jaka przybędzie? Przecież coś mówiono o kap. Hellmannie, który z kompanią saperów, miał mostów na Prucie pilnować, aby Austriacy nie rzucili tędy na nas wojsk swoich.

Gdzie jest Hellmann? Czyżby się spóźnił? Na nim zawsze polegać można. Trzymajmy się, czekajmy jeszcze.

„Co się stało z Schillingiem?“ zapytałem ks. Panasia, który oparty o drzewo, stał opodal.

„Uciekł, bestyia! Może już w Czerniowcach, jeśli go kula jaka nie dosięgła. Nie umieliśmy wyzyskać wielkiego atuta“, odrzekł smutnie.

„Cóż teraz zrobimy Księżę?“

Nic nie odpowiedział. Był przygnębiony.

„Chłopcy, ile razy wam mówiłem, rozprószyć się!“ zawołał w najwyższym, stopniu oburzony — „wytluką was co do jednego!“.

Cofając się, doszliśmy już do miejsca, gdzie stało auto Schillinga.

„Żeby tak można tem autem pojechać do Lwowa“ zauważył ks. Panaś.

„Szofer! szofer! — Jest tu szofer?“ Zgłosił się jakiś. „Zawrócić auto!“

Szofer skoczył do auta i puścił motor w ruch. Zawarczał motor i w tej chwili znowu zabłyśły rakiety; padły strzały w grupkę ludzi przy aucie, lecz nikt nie został raniony. Rakiety zgasły. Zatrzymano motor i próbowano przy pomocy ludzi obrócić auto, lecz droga była za wązka w stosunku do długości auta. Zaniechano więc zamiaru.

„Bardzo szkoda!“ — rzekł Panaś — „teraz oni są tak zajęci i zewsząd zaalarmowani, że możnaby bez trudności pojechać tem autem do Lwowa“ — i znowu się zamyślił: szukał sposobu, w jakiby stąd wymknąć się można.

Kompanie szturmowe tymczasem coraz ciaśniej zewsząd nas zamykały. Tuż przy mostku zbiliśmy się w gęstą grupkę. Dano znowu do nas kilka strzałów. Przy świetle rakiet ruszyliśmy przez mostek, lecz uszedłszy zaledwie kilkanaście kroków, stanęliśmy przed oddziałem żołnierzy węgierskich, zastępujących nam drogę. Skierowali na nas karabiny gotowe do strzału.

„Halt! Halt!“ rozległa się groźna komenda. A z za nas dochodziły krzyki żołnierzy, odcinających odwrót — już i z boków zabiegają, ujmując nas jakby w kleszcze.

Opasano nas podwójnym kordonem i popychając kolbami, klnąc i wyzywając: „Verfluchte Bagage, Verräter, Polnische Schweine“, prowadzono do Czerniowiec. Przeszliśmy most na Prucie, lżeni znowu wyzwiskami przez żołnierzy, pełniących tam wartę — nie szczędzono też pogróżek i obelg, popychano, kopano, bito. Protest na nic się nie zdał. „Waas?“ odpowiadali na to austriaccy oficerowie. „Ihr seid Offiziere? Ihr seid Schweine!“

Niedaleko za mostem, przy głównej ulicy zatrzymano nas.

„Offiziere sollen mit herein!“ zakomenderował eskortujący nas oficer. Wystąpiliśmy. Eskorta odprowadziła nas do Komendy stacyi.

Na kurytarzu rozstawiono żołnierzy z karabinami gotowymi do strzału! To samo w małej sali, do której po dwóch nas wprowadzono. „Oddać broń!“ Zapisano nazwisko każdego. Niektórym wydano potwierdzenie na zabraną — innym zaś zwa-

szcza, którzy mieli broń lepszą, odmawiano. Po rozbrojeniu wypuszczono nas na ulicę i znowu wzięto pod eskortę.

Już zbliżała się godzina druga po północy. Chociaż noc dosyć ciemna, pogaszono na ulicach wszystkie światła. Miasto wyglądało jak wymarłe. Grobową ciszę przerywał tylko odgłos kroków. Prowadzono nas z początku środkiem miasta, pod górę, potem na dół, następnie długo bocznymi uliczkami, — gdzieś aż na drugą stronę miasta.

Stanęliśmy wreszcie pod koszarami. Wprowadzono nas na podwórze. Zastaliśmy tam już kilkunastu Legionistów i kilku oficerów.

Pół do trzeciej! Na dworze przenikliwie zimno. Jakiś żołnierz dał mi koc. Otuliłem się nim, lecz mimo to drżałem z zimna.

Za kilka godzin zapełniło się oficerami i żołnierzami całe podwórze koszarowe. Niektórzy byli tak silnie fizycznie wyczerpani, że siadali na ziemi, inni wyjąwszy z plecaków chleb i słońinę, zajadali smacznie — i obdzielali drugich, przeważnie oficerów, którzy żadnych prowiantów nie mieli ze sobą.

Około pół do siódmej rano dały się słyszeć odgłosy strzałów armatnich, potem detonacja granatów ręcznych. To zapewne nasze pułki, przeszedłszy szczęśliwie granicę, torują sobie dalszą drogę. Wierzyliśmy w ich powodzenie, poszli przeciw w imię najlepszej sprawy.

A my? Odcięci od nich, obecnie w ręku wroga, cóż mamy przed sobą? Za kilkanaście godzin wyprowadzą nas na pole, oficerów stracą, żołnierzy zdziesiątkują, resztę umieszczą w lochach lub w najlepszym razie wcielą do armii austriackiej. Oto nasz koniec!

Dlaczegoż tak nas opuścili? Mówiono przecież, że tyły kryć będzie kompania saperów kpt. Hellmanna, że ona odwróci niebezpieczeństwo, grożące nam od Czerniowiec, że w razie potrzeby wysadzi most w powietrze. Gdzież oni byli? Przecież na kapitana Hellmanna zawsze liczyć można! . . . Do ostatniej chwili mieliśmy nadzieję, że nadejdzie i trzymaliśmy się przez 1½ godziny. A może poświęcono Tabory na to, by na nich pościg wroga jak najdłużej zatrzymać i aby pułki bezpiecznie przedrzeć się mogły?

Jeśli tak, to spełniliśmy nasze zadanie. Żal jednak, żeśmy nie razem z tamtymi.

* * *

Około 7 rano wprowadzono nas do izby koszarowej trzynastego pułku. Byliśmy tak pomęczeni, żeśmy się na nogach ledwie utrzymać mogli. Niektórzy rzucili się na prycze i zaraz usnęli, innych dręczyły jakieś myśli.

Oto kapelmistrz Żołobiński siedzi na prycy przy ścianie i patrzy przed siebie szklanemi oczyma, jakby nic nie myśląc; ppor. Wallner, komendant kompanii telefonicznej, chodzi po izbie i biada, a w rozmowie jest jakby nieprzytomny.

Może sobie przypisuje winę, że się tu znajdujemy. Otrzymał rozkaz przecięcia połączeń telefonicznych ze Śniatynem — nie wykonał go sam, lecz polecił wykonanie jakiemuś żołnierzowi, który przez pomyłkę przeciął inne druty.

Por. Józwa bardzo zdenerwowany. Boi się śmierci, a przekonywa każdego, że za chwilę nas stracą!

Po upływie kilkunastu minut wchodzi oficer naszej artylerji, a za nim oficer z oddziału karabinów maszynowych. Pierwszy opowiada, iż prawdopodobnie cała artylerja dostała się do niewoli austriackiej, gdyż w chwili przechodzenia pułków przez granicę znajdowała się jeszcze daleko od Rarańczy. Doszła tylko do Sadagóry, dokąd przybyła dopiero nad ranem Zagórski, widząc bezcelowość walki, poddał się.

Wieść ta zadała nam bolesny cios. Traciło się wątek myśli i orientację.

Położyłem się na prycy, lecz usnąć nie mogłem. Dokucał mi ból palca. Palec niezaopatrzony należycie, broczył krwią ustawicznie.

Znowu drzwi się otworzyły i wszedł chor. Nordwind, dentysta z Dywizyjnego Zakładu sanitarnego. Malutki, krępy, dwudziestokilkuletni jasny blondyn, starannie wygolony, miał minę żdziwioną i wystraszoną. Ubrany w czarne, skórzane spodnie.

jasno-żółte, wysokie buty, okryty płaszczem gumowym jasno-piaskowego koloru dźwigał w rękę ciężką walizę i jakiś ławał sukna wojskowego.

Na widok tego nieszczęśliwca, który nie mógł pogodzić się z sytuacją i który w tak krytycznej chwili tyle potrafił uratować swego mienia, wstąpiła w nas wesołość.

„Skądże Pan tak wraca?”

— „Ee, dalibyście spokój — wam żarty w głowie, a ja cały mokry i zmarznięty” — tu rozpiął płaszcz i pokazywał mokre, skórzane spodnie.

„Gdzież Pan tak zmókł?”

„To nie jakabądź historia! Jak zaczęli strzelać, ja chciałem się gdzieś schować, ale nie było gdzie, bo wszędzie kule gwizdały. Stałem właśnie koło mostu nad potokiem. Zobaczyli mnie łajdaki i zaczęli do mnie strzelać, a potem dalej za mną! Wpadłem do rowu — nadsłuchuję... oni tuż za mną i szukają mnie. Przykucnąłem, zapałem oddech i siedzę cicho. Poszli. Pocóż ja miałem tu dłużej siedzieć, żeby mnie wytropili i ustrzelili? — Więc chcąc się dostać na drugą stronę, musiałem przejść przez potok. Wszedłem w wodę — a tu woda po kolana, potem po pas — wreszcie pośliznąłem się i wpadłem prawie po szyję. Zrobił się plusk w wodzie i to widocznie znowu zwróciło czyjąś uwagę na mnie, bo stanął przy moście i nadsłuchiwał. Przystadłem więc w wodzie i siedziałem cicho. Była to jakaś patrol austriacka. Gdy sobie poszła, ja brnąc w wodzie aż po szyję, dostałem się na drugi brzeg. Tylko uszedłem kawałek drogi, już mnie łajdaki ujrzeli, zaarrestowali i przyprowadzili tu“.

„A jak Pan przeniósł walizę przez wodę?”

„Jak? trzymałem w rękę do góry“.

„Pewnie żeby nie zamokła?” — zaczęto żartować z Nordwinda.

„Naturalnie, pocóż ma zamoknąć?” odpowiedział dobrodusznie. „To bardzo dobrze się stało, że uratowałem walizę. Tu jest mój cały majątek; jak zobaczyłem, że na nas strzelają, zaraz sobie pomyślałem, że może być źle z nami, więc zabrałem z wozu walizę i cofnąłem się w tył.“

Mam w walizie złoto do plombowania zębów i kauczuk — a teraz bardzo trudno o kauczuk, tak prawie jak o złoto — mam instrumenta, ubranie i inne rzeczy. Dziś wszystko się przyda. I tego sukna przecież szkoda; będę miał bluzę i spodnie“.

„Na cóż Panu teraz ubrania?“

— „Ja też zaraz nie każę sobie robić. Ale dlaczego ja miałem tracić? Wszystko się przyda. Tymczasem będę miał zamiast koca“.

„Przecież macie koc“ — zauważył jeden z kolegów.

„Czy ja nie mogę mieć drugiego? Teraz zimno. A, psia krew, zmarłem. Jeszcze ze mnie cieknie — widzicie, a to psia juchy!“

Czemuż oni nam jeść nie dają? Czy Wyście już co jedli?“

„Nie“

„A to łajdaki! I to się nazywa kultura?!“ I odwróciwszy się do światła, oglądał swe spodnie i buty.

„Panie Nordwind! Słyszeliśmy, że Pan siedział po szyję w wodzie — jak to możebne, kiedy płaszcz tylko do pasa mokry?“

„Jak Bożię kocham, po szyję, tylko płaszcz jest na mnie za obszerny, rozumiecie? — za szeroki, nadał się i pływał po wodzie“. Próbował to zademonstrować, a gdy się mu się nie udało, spojrzął po nas z zakłopotaniem. „Naprawdę“, — dodał — „Panowie mi nie wierzycie, proszę popatrzeć — jaki mokry z pod spodu“.

Rozweselił nas ten oryginalny, dobroduszny człowiek.

Już wszyscy powstawali z prycz i gawędzili znowu o tem i owem. Dowiedzieliśmy się, że obok nas po drugiej stronie kurytarza siedzą trzynastacy, którzy się mieli do nas przyłączyć i przejść granicę. Część ich jednak zatrzymali Austriacy i internowali w tych koszarach. Byli tak samo pilnowani jak i my, lecz odnoszono się do nich z mniejszą bezwzględnością i pogardą. Otwierały się niekiedy drzwi równocześnie u nas i u nich — wtenczas rozmawialiśmy, dopytując się o szczegóły ich aresztowania i losy naszych pułków.

„Czy dużo Was tu?”

„Dwie kompanie“.

„Ilu Waszych przeszło przez granicę?”

„Dwa bataliony i kompania“ — odpowiadali, ale tak, aby żołnierz przy drzwiach wartujący nie domyślał się, do kogo mówią.

Zauważył jednak po chwili i krzyżąc na nas i na nich „zurück!“ zurück!“ drzwi brutalnie zatrzasnął. Potem nikogo już nie wypuszczał na kurytarz.

Po upływie niejakiego czasu wszedł oficer węgierski i zawiadomił nas, że za kwadrans odmarsz.

Nordwind stał właśnie nad otwartą walizą i układał w nią rzeczy. Gdy oficer wszedł do nas, stanął Nordwind najbliżej niego i przysłuchiwał się.

„Co on mówił?” zapytał wreszcie, gdy się oficer oddalił.

„Słyszał Pan przecież“.

„Tak, słyszałem, ale ja po niemiecku nie rozumiem, nie mam ani talentu ani chęci, by się tego wściekłego języka nauczyć. Więc co oni znowu chcą od nas?”

„Za kwadrans mamy stąd odmaszerować“ — odpowiedziano.

„Dokąd?”

„Nie mówił“.

„Możeby przedtem coś jeść dali? O tem psia juchy nie pomyślą. Za ile to odmarsz?”

„Za kwadrans“.

„W takim razie będę się mógł jeszcze przebrać w suchą bieliznę“ — i począł szukać w kufierku, znowu przewracając przed chwilą starannie poukładane rzeczy.

„Trzeba ubrać co się ma najgorszego, bo kto wie co człeka jeszcze spotkać może!“ — mówił do siebie, wyciągając jakąś kolorową bieliznę.

Nikt nie słuchał tego samoluba, któremu tak mało trzeba było do szczęścia. Za chwilę był już przebrany, spakował swe rzeczy, opasał się sukmem, przewłókł pas służbowy przez chwyty walizy, zachwiał go — wreszcie znalazłszy równowagę, podreptał Nordwind wolnym krokiem za innymi na dziedziniec podwórza.

Ustawiliśmy się w czwórki. Przeliczono nas raz i drugi, potem jeszcze raz i otoczono eskortą kompanii szturmowej. Jakiś podporucznik węgierski prowadził transport. Minęliśmy brudne, kręte ulice i uliczki podmiejskie. Wszędzie pusto. Widocznie celowo prowadzono nas uliczkami bezludnymi.

Na skrócie jednej z ulic ujrzeliśmy przed sobą naszych żołnierzy — także eskortowanych.

Dwieście! . . . trzysta! . . . pięćset! . . . ośmset! . . . Czyż to możliwe?!

A może to nie wszyscy? może ich jeszcze jest więcej? może i pułki się nie przedarły? . . .

Opanowało nas zwątpienie i przygnębienie. Tyle młodzieży na marną poniewierkę! . . . A w jakim porządku maszerują! wi- dać, że to żołnierz z krwi i kości.

Przyspieszyliśmy kroku, aby ich mieć bliżej przed sobą.

Tu ulice były już bardziej zaludnione. Ciekawa publiczność wyglądała przez okna. Nie złorzeczono nam jednak. Spoglądali poważnie, ze zdziwieniem. Niektóre kobiety płakały: to Polki zapewne, które nie mogły patrzeć na poniżenie nasze.

Pewna starsza wiekiem kobieta, przechodząc obok nas, zacisnęła pięści, wygrażając żołnierzom, którzy nas eskortowali. „Czekajcie łajdaki!“ wołała, „przyjdzie i na was koniec!“

Już zbliżaliśmy się do naszych żołnierzy. Eskortujący ich oficer kazał stanąć. Dołączono nas do nich, lecz zabroniono rozmawiać z żołnierzami.

Doszliśmy tak do mostu nad Prutem. Była godzina piąta. Zatrzymano nas wszystkich. Powstał niezwykły ruch na drodze, kilkunastu oficerów uwijało się, biegając w tę i tamtą stronę z jakimiś rozkazami i informacjami. Wymieniali między sobą papiery, notowali coś i podpisywali przy świetle latarek zawieszonych na piersiach. Wreszcie od Czerniowiec zajęchało

auto, z którego wysiadło kilku wyższych oficerów. Za chwilę przybyło też kilku konno. Żywo dyskutowali ze sobą. Następnie, podszedłszy do oficerów eskorty, wydawali im jakieś rozkazy.

„Wo sind Offiziere? Wo sind Offiziere?“ odezwało się kilka głosów. Wskazano im. Zaświecili nam latarkami w oczy, oglądali, kazali ustawić się w czwórki, przeliczyli i otoczyli nas jeszcze silniejszym kordonem żołnierzy.

Uciszył się w końcu ten ruch i gwar. Rozejrzeliśmy się dookoła. Po prawej stronie drogi za Prutem płonęło mnóstwo ognisk. Nieprzeliczone rzesze żołnierzy, ustawivszy karabiny w koziołki, uwijały się koło ognisk, gotując sobie kolację. Słychać gwar mowy węgierskiej i niemieckiej.

Po stronie lewej przed rzeką stoi na błoniach kilkanaście kompanii żołnierzy w pełnym polowym ekwipunku, w stalowych hełmach na głowach. Wszyscy w ordynku bojowym, milczący, groźni. Ustawione przed nimi karabiny maszynowe połyskują odbitem światłem od naprzeciw płonących ognisk.

Mijają kwadransy i godziny, a żołnierze stoją tak samo milcząco i nieruchomo, jak przedtem, a tylko z tamtej strony rzeki przygasają powoli ogniska i obraz, tracąc swą żywość, tonie powoli w ciemnościach nocy, zlewając się w jednolitą ponurą posępność.

Oficerowie węgierscy zachowywali się względem nas coraz brutalniej, nie szczędząc wyzwisk i przekleństw i zapowiadając z szyderczym zadowoleniem, że wkrótce odbędzie się „egzekucja“. Byliśmy oddawna na nią przygotowani. Lepsze to, niż długa poniewierka w więziennych norach.

Wezwano wreszcie nową eskortę, odkomenderowano dotychczasową, pouczono przybyłych o obowiązkach — i zdawało się — ta eskorta odprowadzi nas na dół, nad rzekę, gdzie nastąpi spodziewana egzekucja.

„Vorwärts! marsch!“ rozległa się komenda i ruszyliśmy naprzód — przez most.

A więc opuszczamy Żuczkę, miejsce, gdzie według prawa wojennego należało nas stracić w przeciągu 24 godzin? Tej

nagłej zmiany naszej sytuacji nie umieliśmy sobie wytłumaczyć.

Odbyliśmy już kilka kilometrów drogi.

Przed nami zamajaczył w oddali jakiś oddział żołnierzy. Idąc długim krokiem, dopędziliśmy ich wkrótce. Byli to Legioniści także eskortowani. I tam pochód stanął, a obie grupy, nasza i przed nami — idąca, złączyły się. Oficerów grupy nowej cofnięto z czoła wstecz, przyłączając do nas i jednolity pochód ruszył naprzód.

Przybyło nam tematu do rozmowy. Wypytywaliśmy się o ich przejęcia i opowiadali o swoich.

Między nową grupą oficerów były sanitaryuszki Leg. Polskich, pani Germanowa, panna Kossowska i panna Krzymuska. Pełne humoru witały się serdecznie ze znajomymi, w tonie pogodnym i wesołym, opowiadały swe przeżycia, liczyły kto jest, kogo brak — zapomniało się na chwilę o grożącym nam niedawno niebezpieczeństwie. Wróciła wesołość i swoboda, sypały się żarty, dowcipy, przeplatając opowiadania o przejściach niecodziennych.

Gdy nas po raz pierwszy ostrzeliwano, wszystkie trzy sanitaryuszki, chor. Bielawski i ppor. German, poznawszy grozę położenia Trenu, oddalili się od Zakładu sanitarnego, a kierując się na Machalę i wymijając patrole austriackie, usiłowali połączyć się z pułkami. Nie uszli jednak daleko; zastąpiła im patrol drogę i dała do nich salwę. Wskoczyli do leja minowego. Patrol dała do nich drugą i trzecią salwę, a potem, nie mając odwagi zbliżyć się do leja, strzelała z tej samej odległości, gdy tylko ktoś wychylił głowę. Czekano długą chwilę, spodziewając się pomocy; zwątpili w nią jednak, postanowiono poddać się. Chor. Bielawski wywiesił chustkę białą na kij, wyszedł z dołu a za nim reszta towarzystwa. Węgrzy znowu dali salwę, nie raniąc na szczęście nikogo. Znowu wszyscy cofnęli się do dołu — „i tak musieliśmy siedzieć aż do świtu“, ciągnęła dalej p. Germanowa swoje opowiadania w tonie wesołym, niemal żartobliwym.

Wiecie Panowie, co nas wybawiło? Właściwie, kto nas wybawił? ... chor. Bielawski! On to wpadł na pomysł, że

chusteczka dla Węgrów to za mało, że ją sobie lekceważą, postarał się mimo zimna o wielką białą flagę wywiesił ją na kiju i trzymając przed sobą wyszedł z dołu, my za nim, i rzeczywiście Węgrzy nie strzelali, lecz przybliżając się ostrożnie do nas, trzymając broń gotową do strzału, zagarnęli nas. Dobrze, że choć razem jesteśmy.

„Co się stało z Jenerałem? nie wiecie Panowie?“

Nic nie wiemy pewnego. Gdyśmy byli jeszcze w Czerniowcach, opowiadano, że ktoś podobno widział Jenerała i Rogalskiego, eskortowanych automobilem przez Czerniowce“.

„O Zagórskim nic nie wiadomo?“

„Nie, nic nie wiemy; słyszeliśmy, że przybył za późno i poddał się bez walki“.

* * *

Zbliżała się godzina 12. Na tle dość jasnej nocy rysowały się przed nami w oddali kontury miasteczka. To Mamajowce. Zaledwie trzydzieści kilka godzin temu, jak stały tu jeszcze nasze pułki, a dziś? . . .

Ileż zmieniło się w tak krótkim czasie! I któż z nas przypuszczał, że dziś przez te samą mieścinę prowadzić nas będą rozbrojonych, pod bagnietami? . . . jako zdrajców i przestępców? . . .

Znikł wesoły ton rozmów, smutek opadł na piersi, żal tak marnie kończyć!

Żołnierze również nie tacy jak zwykle. Nie gwarzą wesoło, zamilkły śpiewki legionowe, bez których trudno wyobrazić sobie żołnierza polskiego. Większość idzie milcząca, a tylko niektórzy rozmawiają półgłosem.

Przypomniały mi się przestrogi Jenerała Zielińskiego. Ale nadzieja, że przecież przynajmniej pułki przeszły, dawała nam poniekąd zadośćuczynienie za to, co cierpieć będziemy. Nie słusznie obciążano nas zarzutem, że pracowaliśmy dla Austrii lub własnego interesu, a społeczeństwo nasze obrażając nas w Krakowie za naszą „bezczytność“ i „obojętność“ po trakta-

cie brzeskim, czyniło nam niczem nie dającą się wynagrodzić krzywdę. Jednostki nie mogą tu wchodzić w rachubę — wszędzie znajdują się indywidualia małowartościowe — ogół jednak dorósł do pojęcia doniosłej chwili i dał temu wyraz.

* * *

Dochodzimy już do miasteczka. Komendanci eskorty nakazują mieć na nas większą baczność. Przeszliśmy już pół miasteczka. Czoło oddziału skręciło na lewo, w wąską uliczkę. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i stajemy. Oddzielają nas od żołnierzy i prowadzą dalej, zapowiadając, że dla oficerów przeznaczone bardzo dobre umieszczenie w willi.

Stanęliśmy przed piętrowym budynkiem, niegdyś mieszkaniem kierownika szkoły, a ostatnio użytym na kwaterę dla naszych oficerów.

Przez wąską bramę wchodzimy, na ciasne, brukowane podwórze, następnie prowadzą nas do wnętrza budynku i każą rozlokować się. Na ten cel przeznaczono dwa pokoje na parterze i dwa na pierwszym piętrze. Na podłogach porzrucane próżne flaszki, puszki po konserwach, papiery i brudna wolina.

Z nagich ścian i przez potłuczone szyby wieje przenikliwie zimno. Jeden stolik, dwa stołeczki, krzesło — oto całe umeblowanie dwóch pokoi parterowych.

Stłoczyliśmy się po dwudziestukilku do jednego pokoju. Szczyrykiem połupał ktoś deskę z połamanego stołka, włożył trzaski do pieca, podłożono papier i zapalono.

Buchnęły kłęby gęstego, duszącego dymu na pokój i zaciemniły go. Dalszych eksperymentów na dziś zaniechano.

„Panowie! zawołał rotmistrz Torma, ja proponuję położyć się spać“. Kto wie co nas jutro czeka. „Może znowu kilka mil pieszo zrobimy“. Przyjęto projekt i każdy lokował się, gdzie chciał i mógł. Pośród nas znajdował się ks. Panaś, rotm. Torma, por. Czaczka, por. Zajączkowski, ppor. Wallner, chor. Załęski, Charzewski, Seredyński, Misiak, Markowski, Żołobiński i inni. W pokoju pierwszym od wejścia zakwaterowali się;

kpt. Górecki, kpt. Hellmann, rotm. Okołowicz, por. Wilk, Żuławski, Bogdanowicz, Wierzchlejski, ppor. German, ppor. Kłobukowski, zawsze wesoły i dowcipny, nadto pani Germanowa i wielu innych.

„Koledzy! Silentium!“ zawołał rotm. Torma, a gdy się uspokojono mówił dalej: „niech odtąd modlitwą naszą ranną i wieczorną będzie „Rota Konopnickiej“. Zaczniemy od dziś!“ i zdjawszy czapkę z głowy, zanucił znaną powszechnie pieśń, zaczynającą się od słów przysięgi: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród“. Po odśpiewaniu pieśni rozścieliliśmy koce na podłodze i w ubraniach, zdjawszy tylko obuwie, pokładliśmy się tuż przy sobie głowami zwróceni do ścian. Dwudziestu sześciu spało w jednym pokoju. Większość z nas zasnęła prawie natychmiast, a po kilkunastu minutach spali już wszyscy twarde snem. Zaświeciłem latarkę elektryczną i spojrzałem na zegarek: była godzina trzecia po północy. Czułem silne znużenie; owinąłem się w cienki koc, pod głowę podsunąłem stos papierów i za parę chwil usnąłem. Dopiero hałaśliwe wołanie: „auf! auf!“ zbudziło mnie ze snu. Żołnierz, pełniący wartę przynagłał, by się prędko ubierać, bo sąd przyjechał i będziemy przesłuchiwani. Po kilku minutach, wszedł jakiś leutnant i trzymając w rękę kartkę czytał: Hauptmann Dr. Górecki — „Ist er da?“ Górecki wystąpił. Oficer wezwał go, by poszedł za nim.

A więc nie tak dobrze, jak się zdawało. Będą nas przesłuchiwać, chcą poznać genezę sprawy, a potem dopiero sądzić. Widocznie już wiedzą, kto jest, zdaniem ich najwinniejszym, kiedy najpierw wezwali Góreckiego. Wszak Górecki był wykonawcą tych spraw, za które nas teraz trzymają w areszcie. On jednak sprawy nie popsuje, przeciwnie, wyświetli ją w sposób dla nas honorowy; tego byliśmy pewni.

Górecki przybladł, ale nie okazując zaniepokojenia, przesłał nam pożegnanie skinieniem ręki i zawołał: „Trzymajcie się wszyscy dzielnie!“, następnie znikł w kurytarzu.

Wezwanie Góreckiego do przesłuchania ożywiło wszystkich. Spodziewaliśmy się, że po kolei wzywać nas będą do sądu. Tam trzeba zeznawać jednoznacznie i jednolicie, póki więc wszyscy razem jesteśmy, czas porozumieć się w tym względzie.

Kpt. Hellmann, rotm. Torma, rotm. Okołowicz, por. Bogdanowicz i inni wystąpili z wnioskami, jak zeznawać należy. Naj-

dłużej przemawiał Okołowicz. Był on komendantem żandarmerji, nie mógł nic wiedzieć, na co się w Legionach zanosi, bo w porozumieniu z kpt. Góreckim aresztował opierającego się Jenerała. Miał więc zeznawać, że się solidaryzował z projektem przejścia do Muśnickiego. Reszcie oficerów, którzy nie byli komendantami oddziałów radził zeznawać, że spełniali tylko rozkaz swoich przełożonych, nie badając wcale intencji rozkazu.

Mówił rozciągle, wracając często do tych samych szczegółów i zapuszczał się w drobiazgi. Naogół nie podobał się jego sposób przedstawienia sytuacji.

Następnie przemawiał rotm. Torma, pani Germanowa i kpt. Hellmann. Ten ostatni radził mówić mało, odpowiadać tylko na pytania, zwięźle i jasno, a osób drugich nie wymieniać po nazwisku.

Wniosek kpt. Hellmanna, znanego i doświadczonego konspiratora z r. 1905, wszystkim najsilniej przemówił do przekonania.

Znowu wszedł żołnierz do pokoju i rozglądał się dokoła, jakby kogoś szukał. Spozrzegłszy p. Germanową, podszedł ku niej.

„Nic nie można dostać do jedzenia“, rzekł do niej po niemiecku z domieszką węgierskiego dyalektu. „Jest tylko placek kukurudziany i czarna kawa może być“.

Słyszac to, bliżej owego żołnierza stojący rzucili się doń z prośbami, aby im i to kupił i wkładano żołnierzowi po 10 i 20 koron do rąk. Łakomie chował pieniądze do kieszeni i posępne spojrzenia rzucał po obecnych. Wmieszła się w tę scenę pani Germanowa prosząc, aby zaprzestać zamówień. Stawiała swoje usługi do dyspozycji, zapewniając, że się zajmie zaprowiantowaniem nas wszystkich. Po tych słowach cofnęli się niektórzy, lecz inni w dalszym ciągu molestowali żołnierzy, by im przyniósł placek i kawę. Żołnierz brał dalej pieniądze i każdemu przyrzekał. Wreszcie skończono zamówienia, a żołnierz wyszedł.

Za chwilę przyniósł kilka placeków i kilka menażek kawy żołnierskiej.

Rzucili się ku niemu oficerowie, powstał ścisk, wrzawa, rozpychanie kolegów łokciami, wrywano sobie formalnie z rąk

placek i kawę, nie mając na względzie, że drugi skutkiem tego może nic nie dostanie. Bolesny i smutny obraz!

Już jedni jedzą łąkomię, drudzy tylko się przypatrują, śmielsi proszą, by im ułamać kawałek placka lub dać parę łyków ciepłej kawy.

Stałem obok i patrzyłem z odrazą na tę krótką wprawdzie, ale nader przykrą scenę. Nie dziwiła mnie sama scena, — nieraz widziałem podobne, — ale czułem się upokorzonym, że właśnie tu wśród nas i w tak poważnej chwili tyle jest jeszcze bezwzględne egoizmu.

A więc za parę łyżek kawy i za kawałek chleba zrzuca się ze siebie wszelką formę kultury?!

Jak bardzo podobną była ta scena do tylu, tylu scen ze zwierzęcego życia! . . .

Stojąc milcząco przy ścianie, rozmyślałem nad tem, co widziałem przed chwilą. Chor. Charzewski podszedł ku mnie.

„Cóż to? zapytał, Pan nic nie dostał?“

„Nic“, odpowiedziałem.

„Jakżeż tak można? Proszę, ja się z Panem podzielę, przecież tu musimy sobie nawzajem pomagać“ — i podał mi kawałek placka i resztę kawy, którą miał w puszcze po konserwie.

Przyjąłem i podziękowałem mu.

Przecież nie wszyscy są jednakowo samolubni, pomyślałem. I on nie był syty, a podzielił się ze mną; wydał mi się o wiele lepszym od innych, co sami jedząc, mogli spokojnie patrzeć na swych kolegów, którzy nic zdobyć nie potrafili. Znaleźli się niestety i tacy, co nie dali pieniędzy, a największe zdobyli porcy.

Za pół godziny ten sam żołnierz postarał się o kilka jaj, kawałek kiełbasy i placek kukurudziany.

„Dös is olles“. Mehr konnt' ich net kriegen; a potem wyjął z kieszeni trochę drobnych pieniędzy, chcąc je oddać jako resztę z owych kilkuset koron, otrzymanych na zakupy.

„Wenn sie noch was brauchen — so kauf' ich Ihna später“ — zapowiedział zachęcony intratnem, przedsięwzięciem.

Chcieliśmy się od niego dowiedzieć, co z nami uczynić zamierzają, ale o niskiej inteligencji człowiek nie interesował się tą sprawą albo surowo miał zabronione mówić z nami na ten temat. Powiedział tylko, że z sądem, złożonym z kilkunastu audytorów przyjechał też jakiś pułkownik i że słyszał, iż sąd będzie urzędował także i w nocy.

Po wyjściu żołnierza pani Germanowa zajęła się przyrządzeniem „przysmaków“.

W tym samym domu po drugiej stronie kurytarza na parterze była kuchnia. Rozpalono w piecu ogień i przyrządzono jajecznicę z kiełbasą. Na pokrywkach od menażek podała pani Germanowa jedną porcyę mężowi, drugą rotm. Okołowiczowi. Mąż siedział obok Okołowicza na podłodze przykrytej rozrzuconą woliną i kocem.

„Julczyk, smakuje Ci?“

„Tak droga Zosiu, ale pocóż się tyle trudzisz, odpocznij sobie“ i zjadał smacznie z pośpiechem. Potem rozglądnął się po obecnych, robiąc minę bardzo nieszczęśliwego i ogromnie znużonego. Na stawiane mu pytania odpowiadał niechętnie. Był ogromnie zdeprymowany. Wreszcie utulił się kołdrą i kocem, nakrył się z głową i leżał dalej; tylko nogi z których zdjął obuwie, wystawały z pod kołdry.

„Julczyk nakryj nogi, bo Ci zmarzną!“ — zauważyła pani Zofia, sama przykrywając nogi mężowi.

„Dziękuję Ci Zosiu, bardzo dziękuję“, mówił z pod kołdry i znowu leżał nieruchomy i milczący. Okołowicz zaś jadł powoli, jakby się delektując i co chwila spoglądał na panią Zofię z wyrazem serdeczności i wdzięczności.

„Dziękuję Pani, Pani Zofio!“ rzekł miękkim tonem. Z fizjonomii i ruchów p. Zofii widać było zadowolenie.

„Pan Norbert jest chory — przez ten marsz bardzo mu się pogorszyło — cierpi na nerki“, tłumaczyła p. Germanowa, usprawiedliwiając niejako swą szczególną pieczołowitość.

„Panie Norbercie, niech się Pan położy, o tak, tak Panu będzie lepiej, ulży Panu“, pan Norbert nas jak dziecko ulegał wszystkim radom i życzeniom „dobrej“ pani Zofii.

* * *

„A, Pan Major! Cześć!“

„Cześć! Cześć Panowie!“

„I Major do nas?“ — cóż z Jenerałem się stało?“ — „Gdzież Majora dostali?“ — „Co słyhać z Rogalskim?“ — zewsząd posypały się liczne pytania. Major Ganczarski nie wiedział komu i na co pierwszej odpowiadać — i tylko witał się czule z każdym po kolei.

„Widzicie, jestem z wami i mnie zabrali. Jak razem, to razem! Jenerał jest podobno w Czerniowcach, Rogala także. Widziałem, jak autem wieźli ich obu razem, a przechodząc tędy, wstąpiłem do was na chwilę, aby się przywitać. Żołnierz czeka na mnie i wkrótce iść muszę. Jakżeż się macie? Widzę was wesołych, hm, no tak, tak, bezwątpienia“, oczywiście — i ruchliwe oczka Majora biegly po wszystkich znajomych i nieznajomych twarzach.

„Cóż z tym sądem słyhać, panie Majorze?“ zapytano“.

„Tyle wiem, co i wy, moi drodzy Panowie! Przyjechał sąd z kilkunastu audytorów złożony i będzie nas przesłuchiwał.

„Czy tylko przesłuchiwał?“

„Może i sądził“.

„A więc sąd doraźny już nas nie dotyczy?“

„Nie wiadomo, odrzekł Major“.

„Przecież upłynęło 24 godzin“.

„Przy terażniejszej procedurze, proszę Panów jest: drei-mal acht und vierzig Stunden, czyli 6 dni od chwili popełnienia czynu karygodnego, aż do wykonania egzekucyi na winnych, t. j. zakopania do ziemi. Ta procedura ma zastosowanie przy przystępstwach wojskowych, w których biorą udział n. p. całe oddziały.

„Czy wyrok ma być potwierdzony przez cesarza?“

„Oczywiście, naturalnie; wyrok, skazujący na karę śmierci, musi być zawsze zatwierdzony przez Najjaśniejszego Pana. Gdy zależy na pospiechu, posyła się wyrok przez osobnego kurjera, w razie konieczności nawet aeroplanem“.

„Panie Majorze! Pan jako biegły prawnik, niech nam objaśni, jak należy zeznawać“.

„To moi Panowie zależy od tego, kto i co, a raczej w jakiej materji ma zeznawać. Ogólna zasada jest, aby mówić mało, jasno, zwięźle, a na to, coby was miało obciążać, nie dawać odpowiedzi“.

Nie należy też mówić o kolegach swoich i wogóle o osobach drugich. Najlepiej niech oni sami o sobie mówią. Zresztą będzie to najwięcej od tego zależało, co oni o nas i o naszej wyprawie wiedzą i o przekroczenie jakich paragrafów ustawy wojskowej karnej będą nas obwiniać. Oni się wogóle słabo orientują. Ja sprawę tej nie biorę zbyt tragicznie. Może w międzyczasie nastąpi dla nas jakiś korzystny zwrot, czy to w polityce, czy w czem innem i sprawa weźmie dobry obrót.

„Ale ja was moi Panowie bardzo przepraszam, tak mi tu wpośród was dobrze i przyjemnie, że naprawdę zapomniałem, iż żołnierz na mnie czeka. Radbym wam dopomódz — o jak się mój żołnierz już niecierpliwi . . .“.

„Cóż zrobią z Panem Majorem?“

„Jak? co? przepraszam bardzo — nie słyszałem“.

„Co oni z Panem Majorem zrobią?“

„Nie mam pojęcia, zatrzymają zapewne dotąd, dokąd się sprawa nie wyjaśni“.

Żołnierz zbliżył się do Majora i wezwał go do odejścia.

„Panie Majorze, co będzie z Góreckim?“

„Górecki jest inteligentny człowiek, sprawy nie popsuje“.

„Do widzenia, moi Panowie! do widzenia! Cześć! Bardzo mi było przyjemnie. Trzymajcie się dziarsko! Do widzenia! Cześć“! I wyszedł.

Nad wyjaśnieniem Majora Ganczarskiego, długo dyskutowano. Dziś już mamy dwa dni za sobą. Za cztery następane

może się stać bardzo wiele na korzyść lub niekorzyść naszą. Główna wina spocznie naturalnie na oficerach w szczególności na komendantach oddziałów lub ich zastępców. Żołnierz musiał służyć nie pytał, po co i dokąd iść mu każe przełożony; stąd też żołnierzy nie czeka tak wielka odpowiedzialność, jak oficerów.

* * *

Pani Zofia wraz z p. Kossowską i Krzymuską krząta się około przyrządzenia obiadu. Kobiety wiejskie dopuszczone przez wartę do naszego domu, przyniosły trochę mięsa, ziemniaków i mleka. Warta pilnująca nas, nie jest już tak bezwzględna, jak rano. Pozwala nawet użyć kuchni na przyrządzenie jedzenia i drzewa przynosi.

Jedna z pań obiera ziemniaki, oficerowie pomagają, druga pali w piecu i przygotowuje naczynia, trzecia przyrządza mięso. Wszystko idzie szybko i składnie. Za dwie godziny obiad gotowy.

Rozdzielono między nas po dwa lub trzy ziemniaki. Mięso dostali tylko słabi lub chorzy, wszystkich bowiem ze względu na małą ilość mięsa obdzielić nie było można. Po obiedzie podano czarną kawę konserwową — po kilka łyżek na osobę.

W jakiś czas po obiedzie przyprowadził żołnierz kapitana Góreckiego. Był wyczerpany i zdenerwowany. Przyszedł po swoje rzeczy, które przed udaniem się na przesłuchanie pozostawił.

Dotąd zeznawał bez przerwy, sędziowie pilnie notowali każde jego słowo. Na samym wstępie wezwano go, aby opowiedział o zdarzeniach ubiegłej nocy.

Górecki jednak cofnął się w przeszłość daleką od tych zdarzeń i przekonawszy sędziów, że bez tła historycznego geneza wiadomego zajścia nie będzie zrozumiała, opowiadał obszernie o tworzeniu Legionów, o ich myśli przewodniej, o przeznaczeniu i walkach w obronie Austrii. Nie zamilczał o zobowiązaniach rządu austriackiego względem Polski, o niedotrzymaniu tych zobowiązań, o rozgoryczeniu z tego powodu

i t. d. Sędziowie pilnie byli wsłuchani w interesujące rewelacje.

„Od rana dotąd przedstawiłem im tylko tło historyczne i to w ogólnych zarysach“, mówił kap. Górecki — „zaraz mają mnie w dalszym ciągu przesłuchiwać. Obecnie przystąpię już do szczegółów. Moje zeznania potrważą kilka dni“.

„Sądzę, że społeczeństwo nasze nie przyjmie obojętnie tej sprawy. Winę całą przyjąłem na siebie“.

Zarzucono Góreckiego pytaniami, na które choć mocno znudzony, chętnie odpowiadał, lecz żołnierz widząc, że Górecki nie kończy rozmowy, upomniał go, aby zabrał swoje rzeczy, bo tylko po to przyszedł.

„Bądźcie dobrej myśli, Koledzy, trzymajcie się dzielnie, i zeznawajcie jednolicie, z godnością, a sprawa weźmie dobry obrót!“ — potem zebrał swoje drobiazgi, skłonił się nam z lekkim uśmiechem — i wyszedł.

Popołudniu zdawało się nie mieć końca. Odejście od nas Góreckiego wywołało przygnębienie. Wiedzieliśmy, że go nie prędko zobaczymy, jeśli wogóle zobaczymy.

Między drugą, a trzecią popołudniu prowadzono majora Zagórskiego na przesłuchanie. Szedł uśmiechnięty i jak zawsze pewny siebie. Potwierdził, że Jenerał znajduje się w Czerniowcach razem ze swym adjutantem, kpt. Pomazańskim i szefem sanitarnym, podpułk. Rogalskim. Potwierdził nadto poddanie się artylerji.

* * *

Mimo najusilniejszych starań ze strony p. Germanowej aprowizacya nasza pozostawiała wiele do życzenia. Austriacy nie troszczyli się o wyżywienie nas, kobiety wiejskie wyczerpały swoje zapasy. Tymczasem głód zaczął nam dokuczać. Rotm. Tormę i rotm. Okołowicza wybraliśmy jako delegatów, mających się zapytać komendanta, kiedy i jak uregulowana będzie kwestya żywnościowa. Udali się obaj do niego.

„Jesteśmy oficerami“ rzekł rotm. Torma „i aż do chwili wyroku sądowego przysługują nam prawa oficerskie. Protestujemy przeciw morzeniu nas głodem“. Komendant wysłuchał uprzejmie i dał wymijającą odpowiedź, tłumacząc, że nie może nic na własną rękę przedsięwziąć, a żadnych zarządzeń w tym kierunku nie otrzymał. Zapewne uregulowanie wkrótce nastąpi. Panowie muszą narazie być cierpliwi“.

Byliśmy więc zdani na dobrą wolę pilnującego nas żołnierza i ordynansa austriackich oficerów. Ci dwaj umożliwiali nam nabywanie placka kukurudzianego i kawy.

I dziś na kolację postarano się o te same artykuły żywnościowe, a Panie rozdzieliły je pomiędzy nas tak, iż tym razem, choć w porcjach bardzo małych, jednak wszyscy dostali.

Oswoiiliśmy się już z naszą dolą. Nie intrygowało nas tajemnicze i niepewne „jutro“. Niektórzy zasiedli do gry w karty, drudzy rozmawiali, inni siedzieli pod ścianą zamyśleni lub nudząc się. Ks. Panasia od wczoraj wieczora słychać nie było. Niekiedy przeszedł się z pokoju do pokoju utulony w futro z postawionym do góry kołnierzem i nasunawszy czapkę aż prawie na uszy; tu i ówdzie przystanął, przysłuchując się rozmowie, sam jednak głosu nie zabierał, a zapytany o coś, odpowiadał paru słowami i znowu wracał do swego kącika przy drzwiach pod oknem i albo kładł się na podłogę albo siadał na plecaku. Drobną jego twarz silnie przybladła, oczy zapadły — był jakby otrętwiały.

W innym pokoju leżał German obok Okołowicza. Był to typ nieporadnego mężczyzny. Uważał się za literata większej miary. Posiadał dobry styl, sympatyę Zielińskiego i dużo śmieśności.

Żonę swą kochał bardzo, był dla niej uprzejmy, a niekiedy tkliwy aż do przesady. Długie siedzenie wieczorem męczyło go.

Nieraz bawiąc w licznym towarzystwie, znużony długą dyskusją, wycofywał się z dyalektycznej szermierki i tylko niekiedy dorzucał jakieś twierdzące słowo, wreszcie popadał w senność i zasypiał w fotelu.

„Julczyk, Ty mi robisz wstyd przy gościach; co Ci się dziś stało?“

„Zosiu moja droga, dziś jestem tak zmęczony i wyczerpany, wybacz mi moja droga“ — i pocałował Zosię w rękę, dawał jej niejako satysfakcję za wyrządzoną przykrość.

„Wczoraj długo pracował, dziś się zmęczył przechadzką, dlatego jest taki znużony“, tłumaczyła go pani Zofia przed towarzystwem.

Julczyk znowu się wmieszał do rozmowy, znowu przytakiwał każdemu, a senne jego oczy błagały, by goście opuścili dom i pozwolili mu spocząć.

I teraz, apatyczny, cały w kołdrę i koc owinięty, nieruchomo leżał na podłodze i spał lub drzemał. Nikt na niego nie zwracał uwagi. Mówiono złośliwie, że poszedł ze wszystkimi z namowy żony i że bardziej dbał o bezpieczeństwo swoje, niż swej Pani“.

Płomień świecy rzucał naokoło mdłe, usypiające światło. Głośne rozmowy rzedyły, potem ustały prawie zupełnie i tylko szelest tasowanych i rzucanych na stół kart lub wybuch wesołości i jakiejś głośniejszej wypowiedziane uwagi, przerywały ciszę.

Na środku pokoju przy stoliku, na którym w szybkę flaszki wetkana pali się świeca, siedzi czwórka z kartami w rękę; za nimi stoi kilku „kibiców“, wyrrywających się niekiedy z nieproszoną uwagą, lub radą.

Wzrok zatopiony w karty, napięty umysł śledzi, kombinuje, liczy. Ten zgarnął ze stołu sporą liczbę banknotów, tamten kładzie może ostatnie pieniądze, bo jakiś niezdecydowany, jakby mu w tej chwili przestrogę szeptało sumienie. Waha się.

„Pan gra?“ . . . „Gram“ — już się zdecydował.

Bank rośnie . . . dubluje się . . . karta, szeleści . . . cisza. Wyrzucono jedną . . . dwie . . . żądza pali skronie . . . jeszcze jedna . . . ! Dosyć! — szmer rzucanych banknotów — znowu w banku więcej, nawet bardzo wiele!

Ręka wyciąga kartę, wyklada powoli, ogląda ostrożnie, jakby pod siłą wzroku, czy woli zmienić się mogła . . . dosyć! Uderzył kartą w stół — przegrał! . . .

„Może mi kto z Panów skredytuje?“ pyta nieśmiało — skredytowano . . . zdublował. Napięcie zmysłów rośnie! . . . nie widzą, nie czują, nie słyszą, co się wokoło dzieje. Padła karta . . . zabrano bank . . . lecz nie ów bankrut! . . .

Powstał na chwilę szmer, potem znowu cisza, znowu szelst tasowanych kart i tak w koło i w koło, bez końca! . . .

Hazard! . . . dziwna psychologia wrażeń czy zysku, nieszczęście tylu osób!

Namiętności tej nie stłumił smutek ani nieszczęście.

„Panowie, dalibyście sobie spokój z temi kartami! Idźcie już spać!“ — Nie słuchają. „Pamiętajcie, że nie tylko wy tu jesteście!“

„Możecie i wy grać — czyż wam kto broni?“ — i znowu to samo.

Wystąpiono energicznie. Zabrano ze stołu światło, padło kilka słów prawdy — i karciarze wstali od stołu.

Prawie równocześnie zrobił się jakiś ruch w drugim pokoju — a potem doleciały nas słowa: „aufgepasst! aufgepasst!“

Zerwaliśmy się z miejsc i pospieszyli do drugiego pokoju. Młody podporucznik austriacki stał przy drzwiach i chciał coś mówić. Gdyśmy się uciszyli, zawołał donośnym głosem:

„Sie könne heute ruhig schlafen gehen; das Militärgericht ist soeben halb sieben abgereist“, a potem z miną zadowoloną udzielał różnych drobnych wyjaśnień.

Przychodził on do nas dość często. Był Czechem, mówił po niemiecku, rozumiał po polsku i nie był tak bezwzględny jak inni; teraz był nawet zadowolony, widocznie z powodu, że mógł być zwiastunem miłej dla nas wiadomości. Zabawił chwilkę i wyszedł.

Znowu dyskusye, domysły, wnioski — wikały się jedne z drugimi, nie wyświetlając kwestyi, lecz czyniąc ją jeszcze bardziej ciemną i zagadkową.

Czuliśmy, że sprawa źle nie stoi i że zapewne jakieś wpływowe czynniki interweniują już za nami w „Armeeeoberkommando“.

Następnego dnia rano — jeszcze przed 7-mą godziną zawiadomił nas jakiś inny oficer austriacki, że sąd znowu przyjechał i przesłuchania nadal odbywać się będą. „Czas już wstać“, zauważył, „bo wkrótce wzywać Panów będą“.

I rzeczywiście niebawem wywołano rotmistrza Okołowicza, polecając mu zabrać wszystkie swoje rzeczy, ponieważ już tu nie wróci. Nie zrobiło to na nim głębszego wrażenia. Podniósł się niezgrabnie z podłogi i nic żołnierzowi nie odpowiadając ani nie pytając o nic, ubierał się prędko. Pomagano mu zapakować koc i jakieś drobiazgi.

Przy żegnaniu się z nami, zachował stoicki spokój.

„Niech Pan do nas prędko wróci!“ dorzuciła p. Germanowa na pożegnanie.

„Do widzenia, Pani Zofio“ — Zwracając się następnie do nas, zasalutował i wyszedł, a żołnierz podążył za nim; przeszli przez podwórze i znikli obaj w uliczkę na lewo.

Już wstali wszyscy. Panie zajęły się w kuchni przygotowaniem śniadania i obiadu. Na wniosek p. Germanowej złożyliśmy po 20 koron. Za część powstałej stąd sumy kupiono wieprza i zabito. Kupiono też ziemniaków i trochę najpotrzebniejszych naczyń kuchennych.

Rozpalono już ogień. Panie krzątają się pilnie; najenergiczniejsza z nich, p. Germanowa, dyryguje wszystkim. Zżyła się z nami od lat czterech i wrosła niejako w żołnierskie życie. Zawsze pogodna, dowcipna, pomysłowa i wiecznie czynna, posiada niespożytą energię. Inteligencya i subtelność dopełnia zalet.

„Czemuż się Pan smuci? Już Pan wszystko stracił? . . .“ Jak często słyszeliśmy te słowa p. Germanowej! — i patrzyła

przy tem wzrokiem pogodnym, uśmiechnięta i wstyd niejednemu było, że się więcej od niej smucił. Przyznawaliśmy rację. Bo też naprawdę, co mógł nam pomódz smutek? .

Dzień dzisiejszy był piękny. Srebrzysty, iskrzący się w promieniach słońca szron lekko przyprószył zmarzniętą ziemię, wiatr ustał, a czyste powietrze odsłoniło widnokrąg w dal — bez końca i końca. Tylko tu przed nami wszędzie tak ciasno, tak duszno . . .

Niektórzy wyszli na podwórze, by odetchnąć lepszym powietrzem; wyszedł też i ppor. German. Był mniej przygnębiony, niż wczoraj; przechadzał się. Przystąpiłem do niego.

„Już się lepiej czujesz, Julek?“ zapytałem.

„O, dziękuję Ci; jak się masz?“ — już mi znacznie lepiej. Tylko noga mnie boli jeszcze. Żeby nas dziś znowu nie popędzili dokąd, bo faktycznie nie potrafiłbym ująć paru kilometrów. Na nogach porobiły mi się pęcherze. Co tu robić na to? Może mi dasz jaką radę?

Ale wiesz, mój kochany, mam wrażenie, że oni nas pogonią dalej, bo się wcale nie troszczą o nasze zaprowiantowanie, a to już trzeci dzień!“

W czasie naszej rozmowy wyszedł z owej „willi“, gdzie nas umieszczono, oficer austriacki i stanąwszy na otwartej, wzniesionej werandzie, przyglądał się spacerującym. Był to młody, przystojny mężczyzna wysokiego wzrostu, starannie wygolony, o łagodnych rysach twarzy, stanowczem spojrzeniu i dystygnowanych ruchach. Jego wiek — trzydziestu kilku lat i ranga podporucznika świadczyły, że był oficerem rezerwowym. Obecnie pełnił tu służbę komenianta eskortujących oddziałów.

Po upływie kilku minut wyjął jakiś papier z kieszeni, rozłożył go, a zwracając się do nas, prosił, aby się wszyscy oficerowie zgromadzili na podwórzu.

Gdyśmy byli w komplecie, odczytał spis imienny, przy czem każdy wywołany ustawiał się w formacji dwójkowej.

Następnie sprawdził, przeliczył i zapowiedział, że za godzinę odmaszerujemy.

Obiad nie był jeszcze gotowy. Z braku czasu nie kończyły go panie. Podano więc tylko to, co dotąd przyrządzono, resztę zaś zapakowano, by zabrać w dalszą drogę.

Z niespełną godzinę staliśmy wszyscy na podwórzu sformowani w czwórki. Odczytano nazwiska i znowu przeliczono; potem eskorta otoczyła nas i tak ruszyliśmy naprzód. Przeszedłszy wąską uliczkę, znaleźliśmy się na wygodnej szosie.

W pierwszej czwórce szedł kpt. Hellmann, kpt. Korolewicz, ks. Panaś i rotm. Torma.

„Lewa! — lewa — lewa — długi — krok!“ zakomenderował jeden z naszych oficerów i dwadzieścia pięć czwórek miarowem, wolnem tempem maszerowało ku zachodowi po obszernym gościńcu.

Uszliśmy kilka kilometrów, minęli dwór łużański: kwatery Dowództwa P. K. P., minęli Komendę Placu, dziedziniec przed cukrownią, skąd 15. II. wieczór nastąpił wspólny wymarsz — wszystko to tak nam blizkie, tak drogie . . . minęliśmy jeszcze kilkanaście przydrożnych domów, zbliżamy się do drogi, prowadzącej na dworzec kolejowy. Komendant skręca na nią, Na lewo od dworca kolejowego w odległości paruset metrów stoi długi pociąg, a przed nim mnóstwo naszych żołnierzy. Na powitanie nas wyrzucili czapki w górę.

Komendant transportu prowadzi nas na dworzec kolejowy. Za rampą stajemy. W bramach i na torze kolejowym naokoło rozstawiono warty.

Oczekiwał tu nas por. Rieger, komendant dworca kol., kuzyn bryg. Hallera.

„Cóż Wyście zrobili?! przecież to lekkomyślność!“ rzekł oburzony, choć szeptął przyciszonym głosem. „Dlaczegoż zostawiliście połączenie telegraficzne do Czerniowiec przez Śniatyn?! Dlaczegoście o niem zapomnieli?! To Was zdradziło, to zaalarmowało Czerniowce, Ja czekałem do godziny 11-tej, dłużej nie mogłem . . . Taka nierozwaga. — Taka nierozwaga! biadał do głębi przejęty tą sprawą por. Rieger.

„A co z Hallerem?“ zapytano.

„O, Hallera już nie dostaną! O, już nie! Szkoda, że Was tyłu zostało“ . . .

„Dokąd nas powiozą, panie Poruczniku?“

Nie mam pojęcia. Robią wszystko tajemniczo. W każdym razie pojedziecie do Kołomyi. Co z Wami później zrobią, nie wiem. Historia ta nie potrwa długo. Wzburzenie w Galicyi jest straszne. Rząd słaby, kokietuje i potrzebuje Polaków, da więc ustępstwa daleko idące. Nic Panom poważnego nie grozi. Wszyscy pochwalają ten odruch.

„Dajcie mi adresy do Waszych rodzin, przy sposobności pošlę im wiadomość o Was“.

Weszliśmy do baraku obok dworca kolejowego i pisali tam adresy, które zabrał potem por. Rieger.

Inni udali się tymczasem do bufetu kolejowego i wykupili wszystkie zapasy, jak artykuły mięsne, chleb, bułki, ciastka, herbatę.

Przy parkanie kolejowym i przy wejściu na peron, gromadziło się wiele kobiet i dziewcząt. Przyniosły nam chleb, mleko i herbatę, nie chcąc przyjąć za to wynagrodzenia. Nawet garderobę i bieliznę naszą, pozostawioną w kwaterach oficerskich, odnosiły nam teraz kobiety.

Warta początkowo odpędzała ludność cywilną i dopiero po interwencji por. Riegera u komendanta transportu pozwalała doręczać niektóre rzeczy, oczywiście po przeglądnięciu.

Już czekaliśmy przeszło godzinę. Jedni spacerowali przed i koło peronu kolejowego, drudzy grzali się w baraku. W pobliżu wejścia do baraku stało kilku oficerów i przysłuchiwało się czyjemuś opowiadaniu. Zbliżyłem się do nich i spostrzegłem pośrodku chor. Nordwinda.

„A to szelma!“ mówił w zaciętrzewieniu, podnosząc wysoko wzrok, a przy obrotach pochylając głowę w prawo i w lewo — „a to szelma! — poodrywał dystynkcyę, włożył czapkę austriacką i myślał, że go nie poznam! O, ja mam bystre oko! — I jeszcze uciekał — pomyślcie sobie, co za bezczelna bestya! Widzicie, nikt go nie poznał, a ja go poznałem“.

„Kogo?“ — zapytałem.

„A tego naszego pocztmistrza! On myślał, że ja mu podaruję. Właśnie takiemu nie!“

„Cóż on Wam zrobił?“

„Winien mi był paręset koron za wstawienie zębów“.

„No i jak tam dalej było?“

„Już Wam opowiedziałem“.

„Panie Nordwind, niech Pan powtórzy“, zaczęto go prosić i Nordwind odwróciwszy się do nowo przybyłych, opowiadał powtórnie o swoich przygodach.

„Idę sobie jak i wszyscy, a tu koło cerkwi tam, gdzie to 15. lutego było nabożeństwo, widzę, ktoś przed nami zboczył z drogi i szybko skręcił przez pola na lewo. Patrzą, a to on. Więc ja poprosiłem, aby mi tymczasem nieśli walizę, a sam biorę żołnierza, aby mnie pilnował i pokazuję mu tego uciekającego człowieka, a sam zaczynam na niego wołać; on widząc że go poznałem, zgłupiał i stanął, a ja wtenczas do niego: „oddaj pieniądze!“ Zaczął się tłumaczyć, że nie ma przy sobie — ale ja nie słucham, tylko do niego znowu: „oddaj pieniądze!“ Otworzył portfel i naliczył, że ma tylko połowę i to nie całą. Wziąłem i to, lepiej tyle, niż nic. A to pepik!“

Aż się zmęczył opowiadaniem.

„O myślał, że ja mu za darmo będę zęby wstawiał!“

* * *

Nareszcie zatoczyły się przed peron wozy kolejowe pierwszej i drugiej klasy. Jako zaprowiantowanie na drogę rozdano nam konserwy po puszcze na cztery osoby. Za chwilę ulokowaliśmy się po pięciu w jednym przedziale. Do każdego przedziału wsiadł nadto jeden żołnierz z karabinem, jako eskorta.

Zatrzały się drzwi, dano sygnał do odjazdu i pociąg ruszył. Por. Rieger, stojąc przed pociągiem, jeszcze raz nas żegnał; był wzruszony.

Dojechaliśmy do garnituru wozów kolejowych, przed którymi stali nasi żołnierze. Część ich siedziała już w wagonach — reszta czekała na drugi pociąg. Złączono razem oba gotowe pociągi i pierwszy transport rozbitków odjechał na zachód.

* * *

W przedziale, w którym siedziałem, był ks. Panaś, por. Łakociński, rotm. Torma i por. Czaczka. Wagony ogrzane, szyby nie potłuczone — to zasługa por. Riegera. Pomieszczenie mieliśmy wygodne, choćby nawet i dłuższa czekała nas podróż.

Około godziny 4-tej popołudniu przybyliśmy do Kołomyi. Przed dworcem i na dworcu kolejowym zebrały się tłumy ludzi. Z pośród inteligencji wyróżniał się jakiś cywil i ksiądz polski.

Witano nas owacyjnie i udzielono „dobrych wiadomości“.

„Cały kraj z Wami! — W Bolechowie krew się polała! — Kawalerya maszeruje na Lwów“ wołał ów ksiądz głosem donośnym, proroczym, a pytany przez innych o bliższe szczegóły, powtarzał wszystkim to samo, spacerując przed tą częścią pociągu, w której umieszczono oficerów, dumny, że może być zwiastunem tak doniosłych zdarzeń.

Słyszając to oficerowie austriacy, chcieli go od pociągu odpędzić, lecz obok księdza stojący cywil, ujął się za nim energicznie, nie ustępując z miejsca nawet pod grozą karabinu i bagnetu. „Mam prawo tu być i nie ustąpię!“ odezwał się do popychających go żołnierzy. Zaniechali dalszych scen.

Niektórzy z oficerów wysiedli i przechadzali się wzdłuż pociągu lub rozmawiali ze stojącą vis á vis nas publicznością cywilną.

Komendant transportu udał się na stację załatwić zapewne różne formalności. Wróciwszy stamtąd po chwili, wezwał panie, które razem z nami jechały, aby wysiadły natychmiast, ponieważ sąd tutejszy wzywa je do przesłuchania.

W Kołomyi bowiem znajdował się sąd wojenny VII. armii, której taktycznie podlegał Polski Korpus Posiłkowy.

Nie pomogły protesty Pań i oficerów, nie pomogła interwencya ppor. Germana, który prosił, aby albo jemu pozwolono tu pozostać albo żonie jechać z nim razem. „Jesteś Pan oficerem“, rzekł doń Komendant transportu, „rozkaz taki powinien Panu wystarczyć“ — a pokazawszy Germanowi rozkaz na piśmie, nalegał, aby Panie natychmiast rzeczy swoje wyniosły z wagonu.

„Uspokój się Julek, widać, że inaczej być nie może. Jeżeli my będziemy wolne, to prędzej poruszy się waszą sprawę. Julczyk — jakżeż można?! Uspokój się! To nie potrwa długo. Bądź zdrow Julku, bądź zdrow! Następnie pożegnały się Panie ze wszystkimi oficerami i pod osłoną warty poszły na dworzec kolejowy i znikły tam w tłumie.

„Steigen Sie mal ein!“ krzyknął wrzaskliwym głosem Komendant naszej eskorty do kapitana Dra Korolewicza. „Z Wami nie można grzecznie! Czterech już mi uciekło w drodze, ale ja odtąd dam sobie z Wami radę“.

„Tylko czterech uciekło!“ zapytał kpt. Korolewicz, „w każdym razie żołnierzy, nie oficerów, bądź Pan rad, że nie więcej“.

„Pan tu niema nic do gadania!“

„A Panu nie wolno do mnie mówić podniesionym głosem! Jestem kapitanem rezerwowym armii austriackiej“, odpowiedział Dr. Korolewicz.

„Nic mnie to nie obchodzi“, rzekł nieco zmieszany porucznik i odszedł w stronę lokomotywy, niosąc zwój papierów w rękę. Część ich oddał kierownikowi pociągu i wrócił znowu do „Bahnhofkommando“.

Tymczasem przygotowano pociąg do odjazdu.

„Einsteigen! einsteigen!“ wołali konduktorzy i zamykali drzwi wagonów kolejowych, a gdy pociąg był już „w porządku“, oglądnał go komendant transportu. Wreszcie dano sygnał do odjazdu i żegnani owacyjnie, opuściliśmy Kołomyję.

Na długiej przestrzeni po obu stronach toru kolejowego stali żołnierze w nieznacznej od siebie odległości i wartowali, by ktoś z naszych „nie zgubił się z transportu“. Dopiero, gdy pociąg był w pełnym biegu, ściągnięto żołnierzy z posterunków.

„Ciekawy jestem, dokąd nas wiozą“ rzekł ks. Panaś. „Mam wrażenie, że na Węgry. Byłoby to może nie najgorsze, tam przynajmniej nie będą nas głodem morzyć, kraj bogaty, nie wyczerpany“.

„Zobaczymy przy następnych stacyach, przez które będziemy przejeżdżać, dokąd nas powiozą.“

„A dokąd Pan sądzi? . . . Do Galicyi nie, do Austryi górnej lub dolnej też nie — bo tam nawet swoich nie mają czem żywić — więc dokąd jeśli nie na Węgry? Zresztą nie zatrzymywalibyśmy się tak długo w Kołomyi. A co tu wiele mówić, kto teraz może wiedzieć absolutną prawdę i jakie nam jeszcze niespodzianki przygotowują . . .“

„O, to nasze, co dziś!“ i wstawszy zdejmował z pułki plecak. Potem wyjął zeń chleb i kiełbasę i podzielił między nas. „Jeszcze dziś nic nie jadłem“, rzekł, następnie wyjął flaszkę z gorącą herbatą i puścił w kolejkę.

„Trzeba coś na później zostawić“ zwrócił ktoś uwagę, lecz ks. Panaś, spojrzawszy nań z uśmiechem — co tam jutro“, rzekł, kto wie, czy jutro do nas należy“.

Od kilku dni rozmawiał niewiele, teraz zaś zdawało się męczy go nawet rozmowa.

„Skąd ks. Kapelan ma ten chleb i herbatę?“

„Przyniosła mi kobieta z mej kwatery w Łużanach — także futro i ubranie“.

Naciągnął czapkę na głowę, owinął się w futro i usiadł przy oknie, próbując, czy nie uśnie.

Minęliśmy już kilka drobnych przystanków kolejowych. Na dworze ściemniło się i gęsta mgła opadła na pola. Ciemność i to, że nasz pociąg stawał daleko poza dworcem kolejowym, utrudniało nam oryentować się, gdzie się w danej chwili znajdujemy i w którym jedziemy kierunku. Pociąg włókł się powoli i zatrzymywał się na każdej najmniejszej stacyjce, a niekiedy nawet w szczerem polu. W Körös-Mező zatrzymał się przez kilkanaście minut. Ks. Panaś miał rację, wiozą nas do Węgier.

Drzemiąc, jechaliśmy dalej. Już świtać zaczęło. Rozglądaliśmy się po okolicy, lecz nikt z nas nie wiedział, którądy jedziemy. Dzień zapowiadał się piękny, słońce przedzierając się

przez opadającą mgłę, rzucało pęki złotych promieni, na śnieżno-białe pola, rozpraszając mgłę i odkrywając piękne krajobrazy. Na dworze ciepło. Pod ciepłym promieni słonecznych topi się śnieg i lśni nawet zdala na swej powierzchni. Minęło południe, jeszcze jedziemy!

Wjechaliśmy do Marmorosz-Sziget, ale i to nie koniec naszej podróży.

Dopiero około godziny 3-ej po południu zatrzymał się pociąg w Huszt. Odjęto lokomotywę. I wojska więcej wokoło naszego pociągu się kręci. Po upływie kilkunastu minut wezwano żołnierzy do wysiadania. Zmizerowani, pomęczeni zajęli wskazane im miejsce na otwartych polach pod wysoką górą. Ustawiono żołnierzy w prostokąt z jednej strony otwarty i pole całe wokoło otoczono silną wartą. Następnie wezwano oficerów do wysiadania, poprowadzono na to samo miejsce i kazano ustawić się naprzeciw żołnierzy w nieznaczej od nich odległości. Kapitan Węgier, paradując na koniu ze swym adjutantem w pośrodku czworoboku, wydawał podoficerom swoim jakieś rozkazy, które powtórzono naszym żołnierzom, poczem ci zaczęli odrzucać na ziemię plecaki, zawiniątka i tobołki, a niektórzy nawet przebierali się w świeżą bieliznę.

Za chwilę przed naszym frontem stanęli dwaj podoficerowie: „feldwebel“ i „zugsführer“, obaj o bardzo niemiłym wyglądzie, i kazali wszystkie rzeczy złożyć na ziemi, tu, gdzie każdy stoi, a pakunki i walizy oznaczyć swem nazwiskiem. Przy sobie wolno zatrzymać tylko po jednym kocu, chusteczce i ręczniku.

„A rzeczy wartościowe? Papierosy? Przybory toaletowe?“

„Także zostawić“!

Po upływie pół godziny uformowano naprzód żołnierzy, następnie oficerów w czwórki, otoczono eskortą i poprowadzono główną ulicą aż na drugą stronę miasta.

Huszt nie był obcym dla Legionistów. W r. 1914 stawiały tu nasze oddziały skuteczny opór Rosyantom i oczyściły okoliczne miasteczka z oddziałów kozackich. W Huszt kwate-

rowali nasi przez pewien czas i byli przez Węgrów gościnnie podejmowani. Toteż ludność, przypatrując się nam, prowadzonym pod eskortą, nie rozumiała, co zająć mogło. Nie rzucono obelg, nie wyszydzano, patrzono raczej ze zdziwieniem; a nasi szli we wzorowym porządku, milczący.

Weszliśmy już za miasto. Tu nas zatrzymano. Żołnierzy poprowadzono do kilku opodal baraków, oficerom zaś wskazano przybudowany przy szkole drewniany budynek. Była to jedna izba, niska, wązka a długa, o małych okienkach z sufitem skośnie nachylonym ku podwórzu. W izbie tej stał jeden zwykły długi stół drewniany i dwie ławy.

Za chwilę wszedł oberleutnant węgierski z dwoma podoficerami, i wezwał nas, aby stanąć przed nim na „baczność“. Będąc traktowani jak nie żołnierze nie słuchaliśmy jego rozkazu. Widząc, że nie może od nas tego wymusić, przemówił po niemiecku w następujące słowa:

„A więc muszę Was zawiadomić, że jesteście więźniami i jako tacy będziecie traktowani. Sposób traktowania Was będzie od tego zależał, jak się będziecie zachowywać“.

Wypowiedział to tonem surowym, namiętym i oburzonym. Potem zaś, cofnąwszy się nieco wstecz ku stołowi, mówił dalej.

„Tu, do tego stołu, przyjdzie teraz każdy po kolei i odda wszystko, co ma przy sobie. Nic nie wolno przy sobie zostawiać“.

Dwaj podoficerowie zajęli miejsca przy stole. Przystąpił do stołu pierwszy z nas. Spisano z nim generalia. Potem wyjął z kieszeni listy, zapiski, pieniądze, przybory toaletowe, kilka fotografii, papierośnicę, ołówek i położył na stół obok swego koca, bielizny i chusteczki.

„Czy Pan wszystko złożył?“

„Tak jest“, odpowiedział. Wtenczas przystąpił doń porucznik węgierski i przeszukiwał wszystkie kieszenie zewnętrzne i wewnętrzne. Była to scena nader upokarzająca, a byliśmy wobec tego „dyktatora“ bezsilni. Odłożył, co zabrać wolno: fotografie bez napisów, chusteczkę, ręcznik, koc, wszystko inne odsunął na bok, a podoficer każdy przedmiot przeznaczony do przechowania notował na specjalnym do tego arkuszu. Proście

o papierosy odmówiono stanowczo. Każdy przeszukany stawał po drugiej stronie baraku. I tak mechanicznie szło po kolei, a gdy się zebrało 14 osób, eskorta wyprowadziła ich.

Po odejściu pierwszej grupy wszedł jakiś pułkownik węgierski. Jeden z naszych oficerów przystąpił do niego z protestem przeciw zabieraniu nam przedmiotów wartościowych i prosił go, aby nam te rzeczy i papierosy wolno było zatrzymać przy sobie.

Pułkownik zawahał się na chwilę, ale pomówiwszy coś z rewidującym nas oficerem, odezwał się do nas po niemiecku: „Papierosy i przedmioty złote i srebrne mogą panowie zatrzymać!“. Od tej chwili nie odbierano już tych rzeczy, lecz wziętych grupie poprzedniej nie zwrócono.

Rewizya trwała do późnego wieczora. Każdych 10 lub 12 odprowadzała eskorta do małego domku przy głównej drodze.

Przez furtkę dostaliśmy się na małe podwórko, następnie do jednej i drugiej izby. Podoficer węgierski szedł przed nami i świecił latarką. Weszliśmy do ciasnej, kwadratowej izby, 4 metry szerokiej i tyleż długiej. Już na wstępie uderzył nas fetor zgnilizny i wilgoci. Otworzyliśmy okna. „Nie wolno okien otwierać!“ zawołał podoficer; widząc jednak, że nikt się z zamknięciem nie spieszy, i że powietrzem tak zepsutem sam oddychać nie może, nic już nie mówił. Zostawił nam świecę i wyszedł, a na podwórzu dawał warcie jakieś instrukcje, na które słyszało się tylko odpowiedź; „igen“. Po oddaleniu się owego podoficera, warta mówiąc coś do nas po węgiersku, gestykulowała burzliwie, aby pozamykać okna. Prosimy, żeby tylko jeszcze przez chwilę były otwarte, poczem pozamykamy, ale żołnierze, nie rozumiejąc ani języka niemieckiego, ani żadnego słowiańskiego, jeszcze gwałtowniej krzyczeli „nem sabat!“ — i sami okna zamykali.

„Ładnie nas przyjmują“, zauważył Kpt. Dr. Korolewicz.

„Czekajmy, co nam jutro przyniesie“, odrzekł Panaś. Sądzę, że najlepiej będzie położyć się spać, tem bardziej, że ta mała świeczka nie na długo nam wystarczy“.

W kącie izby leżała wolina. Rozścieliliśmy ją na przegniłej podłodze; znowu rozeszło się wokoło ciężkie, zgniłe powietrze. Otwarto drzwi do drugiej izby, ponieważ okien warta otworzyć nie pozwalała, a gdy powietrze nieco się oczyściło, przykryliśmy wolinę kocami.

„Księżę Kapelanie!“ rzekł por. Czaczka, „tu przecież tak wilgotno i zimno, że się natychmiast pochorujemy wszyscy. Trzeba wpierv w piecu zapalić“.

„Niech Pan pali, jeżeli Pan ma czem i potrafi“ — odrzekł Ks. Panaś. Por. Czaczka wyszedł ze świecą do przyległej izby, szukając tam drzewa. Nie znalazłszy jednak, wziął garść wolinę, włożył do pieca i podpalił zapałką.

Ogień objął wolinę, stłumił się jednak za chwilę i przygasał, a gęsty, duszący dym cofał się z pieca na izbę.

„Może komin zatkany?“, zauważył por. Łakociński.

„Zaraz go poprawimy“, rzekł Czaczka i zręcznym ruchem, odjął rurę od pieca, potem wyrwał ze ściany i wyniósłszy do przyległej izby, jednym końcem kilkakrotnie uderzył o podłogę; z rury wysypało się wiele sadzy. Potem rozebrał rurę i w zgięciach t. zw. kolankowych oczyścił z sadzy.

„Teraz będzie się palić“, zapewnił i również zręcznie przymocował jeden koniec rury do pieca, a drugi połączył z przewodem kominowym

Znowu powtórzył swój eksperyment z woliną — i teraz płomień chciwie pożerał wióry i dym nie cofał się do wnętrza izby,

„Prawda, że już znacznie cieplej?“ tryumfował Czaczka i garściami dokładał raz po raz wolinę do pieca. W takich chwilach musimy sobie radzić, jak można“, ciągnął dalej i krzątał się przy piecu.

„Bardzo ładnie, ale świeca już się dopala; kładźmy się spać“, rzekł rotm. Torma, — za chwilę układaliśmy się na podłodze jeden przy drugim.

W naszej grupie prócz wspomnianych znajdował się rotm. Kucz, chor. Załęski, chor. Charzewski, chor. Nördwind.

Chociaż powietrze już się nieco ogrzało, jednak wilgoć od wolinę, przenikała aż do kości, i nie dawała usnąć. To też gawędziliśmy do późnej nocy.

Nazajutrz zbudzono nas o godzinie 8-mej rano. Jakiś podoficer węgierski zapowiedział przybycie kilku oficerów z komendy obozu.

„Trzeba się upomnieć o światło i opał“ rzekł rotm. Torma.

„A może ich także zapytać przy tej sposobności, jak to będzie z naszym wyżywieniem. Panie Rotmistrzu“, wtrącił Nordwind.

„Tak jest, Nordwind ma słuszość“, rzekł Rotm. Torma.

„I zażalenie wnieść, że nam warta nie pozwala otworzyć okien“, dodał Czaczka — a Rotm. Torma notował sobie to wszystko.

Mniej więcej za godzinę weszło do nas trzech oficerów. Najstarszy wśród nich miał rangę kapitana. Rotmistrz Torma przystąpił do niego i przedłożył mu nasze życzenia, oraz zażalenia.

Przyrzeczono nam, że wszystko będzie dobrze, że jednak od razu nie można wiele zrobić.

„Od dziś dostaniecie Panowie już ordynansa i menaż oficerską“, rzekł kapitan, a potem obiecywał, że może już od jutra otrzymamy pieniądze u nich zdeponowane — nie wszystkie wprowadzie, ale po 100 lub 200 koron, aby sobie przy pomocy ordynansa mógł coś w mieście kupić dla poprawy wikt. Opał i światło także będzie.

„Panie Rotmistrzu“, przerwał Kucz, proszę się jeszcze zapytać, czy jaby nie mógł teraz dostać brzytwy — chciałbym się ogolić“ — lecz Rotmistrz zbył go gestem ręki, prosząc, by mu nie przeszkadzał w rozmowie.

W tej chwili jednak przystąpił Kucz do owego kapitana i łamaną niemczyzną, zaprawioną mazurskim akcentem prosił go o brzytwę.

„Tego na razie mieć Panom nie wolno“, odrzekł ów oficer, „ale potem dostaniecie Panowie wszystkie swoje rzeczy“. Następnie ukłonił się i wyszedł razem z dwoma towarzyszącymi mu oficerami.

Nie wiele się zmieniło po ich odejściu. Naprózno czekaliśmy godzinami całymi na ordynansa, na opał i obiad; nadaremnie prosiliśmy wartującego żołnierza, o pozwolenie otwar-

cia okna choć na chwilę. „Nem sabat“, krzyczał i zdejmował przytem karabin z ramienia.

Dopiero około godziny czwartej po południu przyniósł żołnierz w menażkach trochę gotowanych na wodzie karpiele i po małym kukurudzianym chlebie na cztery osoby.

„I to się nazywa menaż oficerska!? Co to właściwie jest? Śniadanie? Czy podwieczerek? narzekał Nordwind, a może to już kolacya?!“

„Cienko nas karmią“, rzekł ks. Panaś; tak pewnie przygotowują nas do przesłuchań. Musimy przecież temu stanowczo zaprotestować. Niech nam zresztą powiedzą, za kogo nas mają, i jak nas postanowili traktować. Oni tymczasem obiecują wiele, a nie dają nic“.

„Ma Ksiądz zupełną rację“ odrzekł Rotm. Torma.

Przed kilku laty więźniowie w Zakładzie karnym lwowskim „Brygidki“ urządzili rewoltę, z powodu zbyt częstego podawania pęczaku, który przecież wydatnością odżywczą i smakiem daleko wyżej stoi od karpiele. Rewolta odniosła pożądany dla zbrodniarzy skutek.

„Urządzmy głodówkę“, zaproponował por. Czaczka.

„Co? głodówkę?! Czyż nam tak dużo jeść dają, abyśmy mogli głodówkę przetrwać? Ja się Panie Rotmistrzu nie zgadzam z takim projektem“, oponował Nordwind.

„Ja także nie byłbym bardzo zatem“ — dodał Kucz.

W tę różnicę zdań wmieszał się kpt. Korolewicz.

„Zaczekajmy do jutra, jutro zażądamy, aby tu przyszedł właściwy komendant obozu i jemu przedstawimy sprawę, a gdy to nie odniesie pożądanego skutku, urządzimy głodówkę“.

„Tak, to mi się podoba“, odpowiedział uspokojony Nordwind. Najpierw powinniśmy wyczerpać wszystkie możliwe sposoby, a gdyby to nie pomogło, wtenczas dopiero użyć ostatecznego środka: głodówki“.

„Co tam teraz będziecie Panowie tak dalekie projekta omawiać. Zagrajmy sobie raczej w karty“, przerwał Czaczka cienkim śpiewnym głosem.

„Masz Pan karty?“

„Naturalnie, że mam“.

„Widocznie nie bardzo gruntownie przeszukiwali Pana“.

„Żeby tylko karty! Ja i pieniędzy wszystkich im nie oddałem. A cóż to oni sobie myślą, że ja im muszę wszystko oddać?“

„Gdzie Pan schował te pieniądze? zapytał Nordwind.

Czaczka machnął niedbale ręką.

„Kto gra?“

Zgłosił się rotm. Torma, por. Łakociński i kpt. Korolewicz. Pokładli się na rozścielonych kocach i zatopili myśli w kartach. Dopiero późny zmierzch przerwał dalszą grę.

Inni tymczasem leżeli lub siedzieli na swych posłaniach, rozmawiając o różnych sprawach.

„Ja mam na dziś dosyć“, rzekł rotm. Torma, odkładając karty. „Teraz przydałoby się trochę zapalić w piecu, a potem idźmy spać, bo świece mamy mały tylko kawałek. Już wkrótce szósta. Kolacy nam dziś nie dadzą“.

Zabraliśmy się do palenia w piecu. Obiecanego drzewa nie przyniesiono, paliliśmy więc wolinę.

„Panowie!“ odezwał się rotm. Torma, „aby nie zrywać u nas z porządkiem, od jutra zaprowadzamy u siebie rygor wojskowy. Obierzmy „Zimmer-Kommandanta“, którego zarządzeń i poleceń będziemy słuchać, i który w imieniu naszym załatwiać będzie przed węgierską władzą wojskową wszelkie nasze postulaty. Nadto ponieważ nie wiadomo, czy dadzą nam ordynansa, trzeba ułożyć dyżury sprzątanania pokoju i palenia w piecu. Ja sądzę, żeby w tym porządku, jak leżymy, codzień każdy następny pełnił dyżur, a gdy wszyscy odbędą służbę, wtenczas powtórzy się kolejkę. Menażek będzie każdy pilnował swoich“.

„Dobrze! proponujemy wnioskodawcę na „Zimmerkommandanta“. Niech rotm. Torma nim będzie!“ odezwały się głosy i unisono dokonano wyboru.

Nordwind nie brał udziału w tem wszystkim. Już od dawna leżał na podłodze w ubraniu i w butach, przykryty kocami wraz z głową. Chor. Załęski tuż obok niego także leżał. Czuł się niezdrowym i miał podwyższoną temperaturę. Innym, choć w równie przykrych znajdowali się warunkach, nie brakło humoru. I ks. Panaś odzyskał właściwą sobie pogodę umysłu, dowcip i humor. Opowiadał o różnych zdarzeniach ze swego życia legionowego, a wszystko w tonie wesołym i żartobliwym. Gawędziło się znowu do późnej nocy.

Dnia następnego wstaliśmy dosyć późno. Nikt nas nie budził. Dopiero tuż przed południem przyszedł ten sam co wczoraj żołnierz, i zabrał ze sobą menażki. Szedł po obiad. Mówił, że został nam przydzielony jako ordynans. Po obiedzie przyniesie nam drzewa i w piecu zapali. Wrócił jednak dopiero przed godziną czwartą i zły, że tak długo przed kuchnią się wyczekał, mruzczał coś pod nosem.

„Sami już nie wiedzą co robią“, rzekł do nas, podając obiad w menażkach.

„A dlaczegoż to tak długo? ktoś zapytał.

„Bo oni mają czas“!, mruknął złośliwie — i wyszedł po drzewo.

Na obiad podano dziś znowu to samo co wczoraj: karpie i po ćwierć kukurudzianego chleba na osobę. Kto mógł, zjadł, inni odstawili na bok, jedząc tylko sam chleb.

Tymczasem powrócił ordynans z drzewem, postarał się o siekiere, porąbał drzewo i zapalił w piecu. Następnie, posprzątawszy izbę, zabrał menażki i zapowiedział, że przyniesie w nich kawę na kolację.

Nie wrócił jednak i nie przyniósł. Tegoż dnia i oficer żaden węgierski u nas się nie zjawił, nie przyniesiono też świecy. Pokładliśmy się zatem spać wcześniej, niż dnia poprzedniego.

Na trzeci dzień ruch wielki od samego rana. Żołnierze kręcą się koło domków z deskami, belkami, siekiere, piłą. I do nas przyszło trzech. Byli to cieśle, którzy mieli budować prycze w naszych izbach. W sposób najprymitywniejszy przytwierdzili jedną wielką pryczę przy ścianie, vis á vis drzwi, drugą zaś mniejszą koło pieca. „No, bude lepi?“ zapytał cieśla ze słowacka, z nalotem węgierskiego akcentu — a potem po

niemiecku dodał, że wyjątkowo dobrą mamy kwaterę. „W żadnym innym domku niema podłogi“.

Po południu, gdy już wszędzie prycze były gotowe, oglądnał je porucznik węgierski. Tenże sam interpelowany w sprawie naszej menaży, oświadczył, że od jutra zostanie formalnie otwartą kuchnia oficerska i że pierwszy nasz pokój przeznacz się na nią. Już od dziś będziecie Panowie mieli lepszą menaż. Chcemy Panom jak najlepiej zrobić, ale to się nie da tak zaraz. Trochę cierpliwości, wszystko się ułoży“. I bardzo ugrzecznony, skłoniwszy się nam, odszedł.

Obiad przyniesiono wcześniej niż wczoraj. Prócz chleba był rosół (?) z kawałkiem mięsa i smażone karpiele. Na kolację podano czarną kawę.

Dopiero nazajutrz przybyli do nas kucharze i przyrządzali gulasz na obiad. Lecz właśnie w czasie, kiedy się zapowiadała poprawa naszej doli, wkrótce po obiedzie wezwał oficer czterech z nas do opuszczenia tej kwatery. Poprowadzono nas do domku — w szeregu owych kilkunastu — pierwszego. Zastaliśmy tam dwunastu oficerów. I u nich w obu izbach zbudowano prycze.

We frontowej wszystkie miejsca były już zajęte; ulokowaliśmy się przeto w izbie pierwszej. Z powodu potłuczonych szyb w oknie, i często otwieranych drzwi, było tu stale zimno, to też w małym piecyku okopowym od rana do późnego wieczora nie przestawaliśmy palić.

Tegoż samego dnia przetransportowano i resztę naszych kolegów z poprzedniej kwatery do domków innych, a ów najlepszy z podłogą (!) przeznaczono na magazyn prowiantowy i kuchnię oficerską.

Domki wszystkie budowane zapewne dla jakiejś spekulacji, rozrzucone rzędem wzdłuż głównej drogi w odstępach dwudziestu metrowych od siebie, sklecone były niedbale z niewypalanej cegły, i podzielone na dwie izby. Frontowe po 4 m. szerokie i tyleż długie miały po 2 małe okienka — izby zaś ku polom zwrócone posiadały po jednym okienku i drzwiach od podwórza. Izby te nie miały podłóg, a małe żelazne piecyki były po większej części zepsute.

Oficerów umieszczano po kilkunastu w jednym domku, w dwóch zaś ostatnich osadzono odosobnionych od siebie kpt. Góreckiego i majora Zagórskiego.

Każdy domek otoczony był wartą, początkowo z pięciu, potem z trzech żołnierzy złożoną. Do pełnienia warty używano przeważnie Węgrów, nie umiejących prócz rodzinnego, żadnego ponadto języka.

Dostęp do drogi odgradzono drutem kolczastym.

W nowej kwaterze zastałem kpt. Hellmanna, jego adjutanta por. Czaplńskiego, por. Wierzchlejskiego, por. Szelię-Żuławskiego, ppor. Kłobukowskiego, ppor. Graffa, por. Stożka, chor. Sereżyńskiego, chor. Żołobińskiego i starego Siemaszkę, sławnego artystę krakowskiego teatru. Klął na prusaków i proroczym głosem przepowiadał im blizki upadek; złorzeczył austryakom, węgrom, wszystkiemu. A skończywszy tę całą litanie po kilkakroć powtarzaną, zrobił zręczne przejście retoryczne i deklamował jakąś farsę, to znowu coś poważnego z poezyi lub prozy i w takich chwilach zauważywszy, że go słuchamy, był w swym żywiole; wskrzeszał w sobie młodociany zapał, który unosił go na wyżyny dawnej świetności i porywał w wir uczuć i wrażeń. Patetycznym głosem z szerokim gestem deklamował „Dziadzio“ różne ustępy ze swego repertuaru. Słuchano go i nikt nie śmiał mu przerywać, a Dziadzio wciąż deklamował i deklamował, aż wkońcu wyczerpany oddychał ciężko, siedząc na pryczy i okiem zażawionym spoglądał po słuchaczach, badając, jakie jego deklamacya wywarła na nas wrażenie. Oprócz tego lubił opowiadać o swych podróżach, o sztuce. Nowych kierunków sztuki nie uznawał, nawet oburzał się na importowane do nas prądy impresyonizmu, ekspresyonizmu, kubizmu i t. p.

„Powaryowali! Tylko powaryowali! w głowach pustych im się przewracało!“, krzyczał z niehamowanym oburzeniem.

„Dziadziu! Cóż im się mogło w głowie przewracać, jeżeli była pusta?“ naciągano staruszka, Dziadzio jednak się nie tłumaczył. W odpowiedzi na to milkł, albo zwracał się do kogoś innego z prywatną rozmową lub deklamował jakąś satyrę.

Mieliśmy ze starszkiem wiele uciechy.

Nieraz podrażniony kontrastem zapatrywań lub opozycją przekonań, deklamował przez sen coś patetycznego albo się kłócił, Niemców wyzywał lub śmiał się. Był to drugi jego świat wrażeń podświadomych. Gdy mu mówiono, że we śnie deklamuje, irytował się i uważał to za złośliwą przeciw sobie wycieczkę.

Przy tem wszystkim lubiano go i szanowano a tylko tu i ówdzie pokpiwano z niego lekko, gdy chciał uchodzić za młodego lub za arbitra w sprawach mało sobie znanych.

Bronił się przeważnie milczeniem i ignorowaniem „nastnika“, ale najczęściej wtedy, gdy dyalektyką i oratorską swadą nie mógł go pokonać.

Za to, że został internowany, nie miał dość słów oburzenia. „Powiedzcie wy mnie, moi kochani, co te głuptaki ode mnie chcą? Jechałem na urlop, udowodniłem im to „otwartym rozkazem“, jestem poddanym Królestwa Polskiego, a oni robią ze mnie przestępcę! Niech ja tylko wyjdę na wolność“ powtarzał często Dziadzio, „to oni mnie popamiętają!“.

Mitygowanie jego zapędów nie skutkowało, musiał się „wygadać“.

Kontrastem niejako do Dziadzia był kpt. Hellmann. Zrównoważony, spokojny, mało mówiący, siedział na pryczy przy piecu i coś sobie w myślach układał. Niebieskie jego łagodne oczy patrzyły wtenczas na otoczenie, ale go nie widziały. Częstokroć zdawał się nawet nie słyszeć namiętnych dyskusyi i deklamacyi naszego Dziadzia.

A gdy po jakimś czasie ocknął się z zadumy, był zderwowany, niespokojny, nie mógł usiedzieć na jednym miejscu, chodził po ciasnej izbie i przygryzał wąsy. Z fizjonomii twarzy i łagodnego, miękkiego głosu przebijała dobroć i uczuciowość.

W Legionach bardzo był ceniony jako człowiek i jako żołnierz; u swych podkomendnych zyskał mir i szacunek. O żołnierzy dbał zawsze z ojcowską troską. Nadto odznaczał się talentem organizatorskim i dzielnością. Ulubionem jego zajęciem prywatnem były rysunki; w małym świetnym pokoiku zamknięty, godzinami całemi oddawał się temu zajęciu.

Dnia 15. lutego szedł ze swą kompanią saperską za pułkami. Gdy pułki już przeszły granicę, a Taborów jeszcze nie było widać, wysłany celem dowiedzenia się o losach Trenu, przebił się wraz ze swym adjutantem, por. Czaplińskim przez graniczną linię nieprzyjacielską i konno zdążył na spotkanie Trenów. Postrzelono pod nim konia, dalszą więc drogę odbywał pieszo. Tymczasem nadbiegły silne austriackie patrole i ujęły obu.

Chor. Żołobiński, kapelmistrz pułkowy, chory przed i podczas wymarszu 15. lutego, zabrany został z łóżka przez austriacką żandarmeryę i razem z innymi internowany. Bardzo boleśnie odczuwał tę niewolę i popadł w neurastenię.

Chor. Seredyński był także niezdrowy. Przybladł, pozołkł, blask oczu przygasł, a jego żywy temperament przeszedł w rezygnacyę, graniczącą z apatyą. Widocznie bardzo cierpiał pod wpływem tej przykrej zmiany losu. Trudno było od niego jakieś słowo wydobyć. Dopiero po kilkunastu dniach ożywił się nieco.

Por. Czapliński siedział od rana do wieczora na pryczy, i uczył się pilnie języka węgierskiego. Podobnie ppor. Kłobukowski, który w stosunkowo krótkim czasie zrobił znaczne postępy.

Por. Żuławski czytał i pisał coś.

Charzewski był prawie obojętny na warunki, w jakich się znajdował. „To wszystko minie“, mawiał, „aby się tylko nie pochorować“ — i zawsze ruchliwy i czynny, to w piecu palił, to porządki robił, to uspokajał drugich. „Gdybym wiedział, że memu bratu jest nieźle i że jest zdrow, byłbym zupełnie spokojny. Ta historia nie może trwać długo“, powtarzał często.

Brat jego, sierżant, był razem z żołnierzami internowany.

Bliżej ku miastu, po drugiej stronie drogi stało kilka obszernych baraków, ciemnych, ciasnych, o małych okienkach.

Tam pomieszczono naszych żołnierzy. Podwórze koło baraków obwiedziono dookoła drutem kolczastym i obstawiono gęsto wartami. Na żołnierzy naszych, usiłujących wydostać się poza obręb ogrodzenia, miały warty rozkaz użycia broni palnej.

Kwestya wyżywienia żołnierzy przedstawiała się gorzej, niż oficerów. Pożywienie dawano złe i niedostateczne, początkowo raz dziennie — to też nasi cierpieli głód. Większość nie mając pieniędzy, nie mogła sobie niczego dokupić w mie-

ście przy pomocy lichwiarsko wynagradzanych żołnierzy węgierskich. Tych zaś co pieniądze posiadali, wyczyszciano niemiłosiernie*), tak że ich fundusze szybko się wyczerpały.

Już po kilku dniach zamarł w naszym żołnierzu temperament i młodzieńczy humor. Z powodu zimna cały dzień przepędzali w barakach, wychodząc z nich tylko do brania menaży.

Przez okno naszej kwatery widzieliśmy naszych żołnierzy stojących kwadransami całymi przed kuchnią, popychanych i potrącanych kolbami karabinów.

Ładnie nas Węgrzy przyjmują! . . .

Los oficerów poprawiał się tymczasem. Zwrócono nam niektóre przy rewizji zabrane drobiazgi, jak przybory toaletowe, bieliznę, przybory do pisania, pozwolono na korespondencję z najbliższą rodziną swoją, każdemu domkowi dodano po 1 ordynansie, mającym prócz obsługi i przynoszenia jedzenia, załatwiać w mieście zakupy, dozwolonych przez Komendę obozu artykułów. Na ten cel wydano oficerom z ich depozytów pieniężnych po 100 i 200 koron. Z reszty kwoty, którą złożyliśmy w Mamajowicach, poprawiono nam menaż.

Ordynans nasz, Saksończyk (Szekler) z pochodzenia, osiadły w Banacie węgierskim, czterdziestokilkuletni landsturmista, mówiący jeszcze dobrze po niemiecku i trochę po słowacku, spełniał chętnie wszelkie usługi.

Po śniadaniu palił w piecach, starał się o drzewo, przynosił wodę, czyścił obuwie i ubranie, przed południem był zajęty przy kwaterze, potem szedł do miasta po zakupy, odnosił korespondencję i t. d. Wróciwszy z miasta, miał zawsze jakieś dla nas wiadomości.

Gdy już sprawa naszego rozmieszczenia i aprowizacji była mniej więcej uporządkowaną, przyjechał do Huszt marszałek polny por. Schilling. Z jego przybyciem nastąpiły różne

*) Żołnierze węgierscy pobierali od naszych po 2 i 3 K. za butkę, która w mieście kosztowała 50 halerzy.

obostrzenia co do nas i pogorszenie w wyżywieniu. Zarządził uszczuplenie racji żywnościowej. Odtąd oficerowie, a nawet i żołnierze węgierscy obchodzili się z nami bezwzględnie.

Ustalono nazwę, że jesteśmy „jeńcami wojennymi“, traktowano nas jednak bez porównania gorzej. Prawie równocześnie z Schillingem przyjechało do Huszt kilku audytorów, mających nas przysłuchiwać. Byli to przeważnie Polacy i sprawie naszej przychylni, prócz kpt. Ustyanowycza, Rusina, polakożercy, człowieka młodego, bez taktu, nie przebieierającego w sposobach, aby jak najsprzeczniejse wydobyć zeznania i obciążyć nas najsilniej.

Od szeregu dni zjeżdżały do Huszt masowo różne wpływowawe i bliżej sprawą zainteresowane osobistości polskie, wypytywały się o los internowanych, o sposób obchodzenia się z nimi, o ich wyżywienie, proszono Schillinga o kulturalniejsze traktowanie nas — a Schilling, grając rolę Dyktatora, wyzbytego wszelkich uczuć, tu odmawiał kategorycznie, tam obiecywał albo zapewniał, że źle nie jest, że to tylko przesada, że zresztą sam nic zrobić nie może, gdyż taki wyszedł rozkaz z Naczelnej Komendy Armii, — a dnia następnego jeszcze surowsze zarządzał obostrzenia.

Syn niemieckiego kolonisty, osiadłego w powiecie Sanockim, wychowany na ziemi polskiej, uważał się za Niemca. Nauczył się języka polskiego i w rozmowie z nami używał go; mówił jednak błędnie i często przeplatał wyrazami niemieckimi.

Wysoki, chudy, o śniadej cerze, krzaczastych zrosłych ze sobą brwiach, zarosłem włosami, nizkiem czole — zwłaszcza gdy zdjął z głowy czapkę, miał wygląd niemiły. Nadto spojrzenie nie budzące zaufania, i głos szorstki, mrukliwy, czyniły go jeszcze bardziej niesympatycznym.

W wojsku austriackiem dość prędko skończył swą karierę i poszedł „w odstawkę“. Odtąd powierzano mu tylko zajęcia tymczasowe, po których znowu był niczem. Dostawszy więc jakieś zajęcie, starał się je utrzymać jak najdłużej, bo z tem łączyło się jego stanowisko, władza i jakie takie znaczenie.

Gdy Legiony po przesileniu w jesieni 1917. przybyły z Królestwa do Przemyśla, Schillingowi powierzono przeprowadzenie w nich reorganizacji wewnętrznej. Organizował więc

i organizował bez końca. Odeszły wreszcie Legiony, jako „Polski Korpus Posiłkowy“ na front bukowiński, a Schilling pozostał znowu bez zajęcia. Po jakimś czasie powierzono mu przeprowadzenie dochodzeń honorowych co do byłych oficerów Legion., zgłaszających się ponownie do P. K. P. Schilling został mianowany przewodniczącym „Komisji rehabilitacyjnej“, złożonej z trzech członków. Siedział od tego czasu w Czerniowcach, będąc nadal w kontakcie z P. K. P. z tytułu sprawowanego urzędu. On to w dniu 15. lutego 1918, zaalarmowany o godzinie 11 w nocy wiadomością, że P. K. P. jakimś podejrzanym marszem zdąży w stronę Rarańczy, przyjechał automobilem pod Żuczkę, aby nas powstrzymać od „nielegalnego zamiaru“.

Teraz w Huszt ciążyła znowu nad nami jego wola i ręka. W wykonaniu swej władzy był przesadny często mściwy, uznający to za pożyteczne, co bezwzględne i tyrańskie.

Chytry, obłudny i nieugięty, zdawało się — nie posiadał żadnych uczuć ludzkich. Łzy, zaklęcia, błaganie nie robiły na nim wrażenia. Patrzył na to, jak na komedię. Zdolny był nawet pastwić się nad swą ofiarą. Niekiedy chciał być wspaniałomyślnym, i jak sam nazywał „wielkodusznym“, a wtenczas przyrzekał coś i spełniał, lecz przy najbliższej sposobności, jakby dla wynagrodzenia sobie za to uczucie, pastwił się nad inną ofiarą w sposób niekulturalny i niehumanitarny.

Pewnego razu matka staruszka, całując Schillinga po rękach, błagała go ze łzami w oczach o pozwolenie widzenia się choć na kilka chwil z synem. „Syn jest łajdak“, odpowiedział Schilling, „wart on kulki w łeb i nic więcej!“. I nie dał się wzruszyć ani uprosić, chociaż go długo tego i następnego dnia błagała staruszka, zaklinając na wszystkie świętości i macierzyńskie uczucia. Pozostał niewzruszonym i nieczułym.

Naczelna Komenda Armii powierzyła Schillingowi władzę nad nami i nazwała ją „Kommando Feldmarschalleutnant Schilling“. Zdaje się nie była zdecydowaną, jak nazwać i scharakteryzować nasz postępek, i dlatego unikała na zewnątrz nazwy o ściślejszym, bliżej określonym znaczeniu. Schilling natomiast

był dumny, że piastuje prawie nieograniczoną władzę i że znowu spełnia jakiś ważny obowiązek.

Z przybyciem jego do Huszt rozpoczęto nas przesłuchiwać, zaczynając od oficerów. W kilku budynkach urządzono audytorom kancelarye i dodano pomocników.

Najpierw wzywano oficerów liniowych i samodzielnych komendantów poszczególnych oddziałów.

Żołnierz, przychodząc do domku, wywoływał nazwisko oficera, poczem prowadził go do miasta, i przez miasto pod bagnetem do sądu, gdzie oddawał audytorowi, sam czekając pod drzwiami. Po przesłuchaniu odprowadzał znowu do kwatery. Po kilku dniach złagodzono tę formę o tyle, że do odprowadzenia nas do sądu z powrotem używano podoficerów najczęściej jednoroczników, i nie eskortowano nas pod bagnetami ani karabinem.

Już kilku przesłuchano z naszej kwatery. Przyszła i na mnie kolej. Około godziny 8-mej rano, wywołał mnie jednorocznik-feldwibel i w jego towarzystwie wyszedłem do miasta.

Dzień był bardzo piękny. Stajały już śniegi i błoto na drogach przysychało pod wpływem ciepłego słońca. Po kilku nastu dniach niewoli po raz pierwszy wyszedłem na ulicę, odetchnąłem świeżem powietrzem, ujrzałem ludzi, domy i uroczy krajobraz z Husztu. Nie pytany o nic, nie rozmawiałem z towarzyszącym mi podoficerem, lecz po pewnym czasie on pierwszy odezwał się do mnie.

„Musí być bardzo przykro siedzieć tak długo“ . . . i chciał coś jeszcze powiedzieć, ale się wstrzymał.

„Oczywiście“, odpowiedziałem, „ale i to się skończy“.

„Mamy jeszcze bardzo wiele czasu, jeżeli Pan sobie życzy, przejdziemy się przez miasto i możemy wstąpić do fryzjera albo do cukierni. Przesłuchanie dopiero o dziesiątej“.

„Dziękuję Panu“ odrzekłem.

„Jak się Panu podoba Huszt?“ zagadnął dalej, podtrzymując rozmowę i wskazując na stare zamczysko, którego rozpadłe, a jednak wciąż jeszcze dumne i potężne ruiny w promieniach rannego słońca i na tle czystego lazuru nieba ryso-

wały się nader malowniczo. Leżały na wysokiej, stromej, dominującej nad całą okolicą górze.

„To prastara siedziba Rakoczych“, eksplikował dalej; położenie prześliczne, zachwyca się niem każdy. Górę tylko trochę oszpecono tą kapliczką po prawej stronie, budowaną w stylu bardzo pospolitym, nowoczesnym. Rząd nie opiekował się tem, nie zaprótutował i tak nasze najpiękniejsze zabytki średniowiecznej architektury wypierane są modernizmem. Na kapliczkę brano kamień z zamku, nie patrząc, gdzie się ruiny najmniej przez to uszkodzi, lecz na to, gdzie najbliżej, i gdzie kamień najlepszy. Potem brano też na bruk i chodnik, stąd też mury dookoła po większej części zostały rozebrane. Zamkowi samemu prócz tego, co Pan widzi, pozostało jeszcze tylko położenie geograficzne nadzwyczaj malownicze. Huszt leży w dolinie Cisy, która miasto w odległości 2 kilometrów opasuje półkolem. Cudownie przedstawia się to że szczytu góry. Ja myślę, że Panów długo nie będą trzymać w tych domkach, wtenczas będzie można przejść się po okolicy, wyjść na górę i przekona się Pan, co za uroczy stąd widok na miasto i okolicę.

Bawię tu od pół roku i bardzo chętnie, gdy tylko mam czas, a na dworze tak pięknie, jak dziś, wychodzę na górę i podziwiam z niej okolicę.

„Pan zapewne z wielkiego miasta?“ zapytałem.

„Z Budapesztu“, odpowiedział. Studyuję tam medycynę, a tu przydzielony jestem do szpitala“.

Weszliśmy już do środka miasta. Rynek nosi cechy średniowiecza. Przy tem jednak nie mało już budowli wzniesiono w stylu najnowszym lub bez stylu. Ulice i rynek brukowany krągłym kamieniem, chodniki przeważnie wąskie, wszędzie widać brud i zaniedbanie. Niema will wspaniałych, niema bogatych wystaw sklepowych, wszystko pospolite, skromne. Niema parków, niema pięknego korsa; dwa hotele „Korona“ i „Panonia“ dają gościnę niewielkiej liczbie przejezdnych.

„Jaka ludność zamieszkuje Huszt?“ zapytałem swego towarzysza.

„Mieszana“. Przewagę ma rdzennie węgierska, ale są tu żydzi, słowacy i rusini.

„Dokąd wpierw pójdziemy, do cukierni, czy do fryzjera?“ zapytał, wskazując na oba lokale tuż przed nami się znajdujące.

„Jeśli Pan zechce fatygować się czekaniem, to z przyjemnością pójde do fryzjera“.

„Proszę bardzo. Chętnie zaczekam. To jest najlepszy fryzjer w mieście“.

Weszliśmy do fryzjera. Przywitał nas głębokim ukłonem i z przesadzoną grzecznością zabrał się do obsługi, siłąc się na rozmowę w języku słowackim, którego znał bardzo mało. Towarzysz mój czekał tymczasem na mnie, czytając gazetę.

Od fryzjera poszliśmy do cukierni, następnie przeszli się po mieście, i dopiero po godzinie 10 udali się do sądu.

W pierwszym pokoju był jakiś pisarz podoficer, mówiący po polsku.

„Niech Pan usiądzie“ rzekł. „Pan Porucznik za chwilę przyjdzie“ — i podał mi krzesło. Czekałem kilkanaście minut, nagle drzwi się otwały i przedemną stanął por. Rozdół.

„Pan także tu?“ i patrzył na mnie wzruszony. „Co za zbieg okoliczności!...“, a gdyśmy rozmawiali ze sobą przez chwilę, wszedł drugi osobiście nie znany mi audytor, Dr. Pers, któremu zostałem przedstawiony.

„Rok temu“, rzekł por. Rozdół, „wyświadczył nam ten właśnie Pan wielką przysługę przez odnalezienie poległego mego brata. Co za zbieg okoliczności!“ . . .

Potem widząc, że na kurytarzu, oddzielnym od pierwszego pokoju szklannymi drzwiami, gromadzą się żołnierze węgierscy, przerwał rozmowę i przeszedł do drugiego pokoju. Dr. Pers tymczasem rozpoczął mnie przesłuchiwać.

Po zanotowaniu generaljów, zapytał jaki udział brałem w tym przemarszu, gdzie zostałem zatrzymany, jak się z nami Węgrzy obchodzili, oraz czy w korpusie oficerskim były dyskusje na temat o Muśnickim.

Dałem krótkie wiadomości, podpisałem protokół i przesłuchanie zamknięto, a ja wyszedłem ze sądu. Przy bramie czekał na mnie mój feldwebel.

„Może Pan chce jakieś gazety kupić? albo książki do czytania?“ i poprowadził mnie do księgarni. Następnie znowu

oprowadziwszy mnie po mieście, towarzyszył z powrotem aż do mej kwatery. Przyniekłszy, że jutro lub pojutrze znowu po mnie przyjdzie, „by zaprosić na przechadzkę“ — pożegnał się.

Dnia następnego zjawił się znowu. Był już swobodny, opowiadał o nastroju miejscowej ludności względem nas, o mającej niedługo nastąpić poprawie naszej doli i t. p.

„Ludność nie była na Was oburzona“, opowiadał, „Wasze przybycie wywołało raczej niezwykłą sensację. Rozeszła się bowiem pogłoska, że dnia następnego rano, macie być straceni. Pogłoskę puścił pewien oficer, który owego wieczora rozmawiał o Panach z tutejszym aptekarzem. Wieść o zapowiedzianej egzekucyi, rozeszła się lotem błyskawicy po mieście. Żądni sensacyi spać nie poszli, oczekując świtu dnia następnego — lecz nastał świt — przyszedł dzień, pogłoska okazała się zmyśloną, a chęć ujrzenia sensacyjnego widowiska rozwiąła się w niwecz. Odtąd przypatrywano się krytycznej sprawie Panów. Zauważono, iż odwiedzają Was wpływowe polskie osobistości, że się energicznie za Wami ujmują, że tworzą komitety ratunkowe, mające na celu ulżyć doli żołnierza i dźwignąć go na duchu. Nadto solidne zachowanie się Waszych żołnierzy umacniało nas w przekonaniu, że podkładem czynu, o który jesteście obwinieni, była niewątpliwie jakaś idea. Teraz już nie uważają Was za zbrodniarzy i szpiegów“.

Był to wyjątkowo inteligentny i subtelny człowiek, wyzbyty szowinizmu, kulturalny w obejściu i w zapatrywaniu na sprawę krytyczny. Mimo młodego wieku, zwiedził wiele świata, i poznał życie innych narodów, którym przyznawał kulturalną wyższość od Węgrów.

Od kilku dni przeniesiono Jenerała Zielińskiego do Huszt. Mieszkał razem z pułk. Rogalskim i swym adj. kpt. Pomażańskim. Początkowo umieszczono Jenerała w małym podrzędnym domku, i odmówiono najniezbędniejszych wygod. Silna eskorta strzegła go we dnie i w nocy. Przez kilka dni mieszkał tam Zieliński; nie mogąc znieść dłużej nadmiernego upokorzenia, zażądał od Schillinga innej kwatery. Dano wtenczas

Jenerałowi mieszkanie o 2 pokojach w pewnym niegdyś dworku, leżącym w mieście. Chor. węgierski, starszy wiekiem mężczyzna, trzymał straż.

Trzeciego dnia po przesłuchaniu mnie w sądzie zostałem o godzinie 8-mej rano zawiadomiony, że za godzinę odjadę z Huszt. Gdy spakowawszy rzeczy, czekałem godziny dziewiętej, wszedł do naszej kwatery chorąży węgierski i wezwał mnie do odejścia. Pożegnawszy się z towarzyszem niedoli, opuściłem kwaterę. Na drodze czekał na nas kpt. Korolewicz, i ordynans zamówiony do odniesienia nam pakunków na dworzec kolejowy.

„Mamy jechać do jakiegoś Talaborfalva“, rzekł kpt. Korolewicz“. W tej sprawie wzywano mnie wczoraj do tutejszego Szefa sanitarnego, któremu i Pana zaproponowałem. Sądzę, że się Pan na to zgadza. Może się tam przydamy naszym żołnierzom. Spodziewać się też należy, że będziemy mieli więcej wolności, niż w Huszt.

„Kto w Huszt pozostaje w charakterze lekarza?“ zapytałem Korolewicza.

„Prawdopodobnie Dr. Tatkowski“.

Przeszedłszy przez miasto, przybyliśmy na dworzec kolejowy, leżący po drugiej stronie Huszt i po krótkim czekaniu odjechali w asystencji chorążego. Po półgodzinnej jeździe wysiedliśmy w Bustyaháza, gdzie miała czekać na nas wczoraj zamówiona podwoda. Nie było jej jeszcze. Wobec tego wprowadził nas chorąży do Komendy dworca i tu polecił czekać. Sam zaś po długim dzwonieniu i wołaniu, połączył się telefonicznie z Komendą stacyi w Talaborfalva, żądając przysłania podwoły. Odpowiedziano mu że: „Komenda stacyi nic o tem nie wie. Zresztą trudną będzie rzeczą „jakkolwiek podwoły wysłać po nas z Talaborfalva“. Wysłał więc żołnierza do wioski z poleceniem zarekwirowania podwoły. Po niejakiem czasie wrócił żołnierz i zameldował, że w całej wsi podwoły dostać nie można.

„A dokądże Panowie jadą?“, zapytała nas pewna Pani, Poika, czekająca również na dworcu kolejowym z widoczną niecierpliwością.

„Jedziemy do Talaborfalva, do obozu naszych jeńców, przydzieleni jako lekarze“.

„W takim razie będzie mi bardzo przyjemnie zabrać Panów na swoją furę, po którą posłałam, a spodziewam się, że wkrótce konie będą. Tylko chodzi o to, czy oficer węgierski się zgodzi. Jadę także w tamtą stronę, mam syna w obozie jeńców, a uzyskawszy po długich staraniach pozwolenie, chcę go dziś odwiedzić“ — i usiadłszy obok nas, opowiadała o stawianych jej trudnościach przez sąd w Huszt, przez Schillinga, o niewygodnej komunikacji kolejowej, i swej uciążliwej czterodniowej podróży.

„Panowie zapewne są głodni?“ zapytała, spoglądając na nas ze współczuciem“, ale po cóż ja się pytam — przepraszam, że od razu wpadam na taki temat, ale myśmy się wiele już o was nasłuchały“ i nie czekając odpowiedzi otworzyła swą podróżną walizkę i wyjęła pakiecik z prowiantami.

„Proszę się wcale nie żenować“, mówiła dalej. „Panowie zrobią mi tem tylko przyjemność. Kto wie, czy mego syna zobaczę... Nie pogardzajcie Panowie takim skromnem przyjęciem“.

Tymczasem nadszedł posłaniec i zawiadomił ową panią, że konie już zajęły przed dworzec kolejowy.

„Jedźcie Panowie ze mną“ prosiła, „bo Wam każą iść pieszo“, a wyszedłszy przed dworzec kolejowy, gdzie spacerował nasz chorąży, sama zwróciła się doń z propozycją, czy zgadza się, abyśmy jej koźmi jechali.

Siedliśmy więc wszyscy na prymitywny wózek zaprzężony w nędzną chudą szkapę.

Wóz włókł się powoli. Dzień był bardzo ciepły, typowo wiosenny. Okolice nizinna, z trzech stron otwarta, z czwartej opierała się o przedgórze Karpat na szczytach pokryte śniegiem.

Słońce schodziło już z zenitu, ciszy powietrza nie zamącał najłżejszy nawet podmuch wiatru.

Jadąca z nami Pani, żona notaryusza z Galicyi zachodniej, wypytywała nas o szczegóły nieudanej wyprawy w dniu 15. lutego, o sposób obchodzenia się z nami, w zamian opowiadała

o nastroju w Galicyi i o nadzwyczajnem interesowaniu się naszym obecnym losem.

„A może Wam jakąś mogę wyświadczyć przysługę — powiedzcie Panowie otwarcie, my dla Was wszystko z największą chęcią uczynimy — może wiadomość jaką przewieźć?“ i prosiła o adresy, które sobie ponotowała.

Widział wprawdzie to wszystko jadący z nami chorąży, lecz żadnych nie robił uwag.

Po upływie dwóch godzin stanęliśmy w Talaborfalva. Pożegnaliśmy się z ową Panią, weszliśmy do kancelaryi „Stationskommando“. Eskortujący oficer oddał nas komendantowi, a sam spiesznie wyszedł szukać we wsi podwody, aby jeszcze tego samego dnia do Huszt powrócić.

Po jego oddaleniu się zapytał nas komendant placu, który równocześnie był komendantem obozów jeńców — czy w Huszt byliśmy na wolnej stopie.

„Tak“ — odpowiedział kpt. Korolewicz — całkiem machinalnie.

„A więc i tu Panom dam wolność, naturalnie tylko w obrębie tej wioski, ale . . . żeby mi który z Panów nie uciekł . . .“ i uśmiechnął się, patrząc nam w oczy, a po chwili dodał: no, chcę Panom wierzyć.

Dostaniecie więc Panowie kwatery w mieście i ordynansa do obsługi. Tylko obecnie wszystkie lepsze kwatery pozajmowali audytorzy. Narazie musicie Panowie być zadowoleni z tego, co jest. Za parę dni ma stąd wyjechać jeden porucznik-audytor, wprowadzicie się wtenczas do jego kwatery i będziecie mieli na tutejsze warunki nawet bardzo przyzwoite mieszkanie“.

I natychmiast zarządził wyszukanie dla nas tymczasowej kwatery.

Przez cuchnące, błotniste podwórze, weszliśmy do małego nieumeblowanego pokoiku, w którym na podłodze leżało kilka sienników, przykrytych kocami. Kwaterę tę zamieszkiwali dotąd jacyś podoficerowie węgierscy, których przybyły z nami „Zugsführer“ natychmiast usunął, każąc im wszystkie ich rzeczy wynieść z pokoju. Za chwilę ordynans przyniósł walizę i jakieś naprędcę z desek zbite łóżko. Kpt. Korolewicz jako

wiekem i rangą odemnie starszy miał spać na łóżku, ja zaś na podłodze, na wolinie przykrytej celtami*).

Już się na dworze ściemniało. Zapaliwszy świeczkę, siedzieliśmy przez chwilę, a następnie wypili zamówioną u sąsiada herbatę i udali się na spoczynek. Zaraz po zgaszeniu światła wymaszerowały z nor myszy i dostawszy się pod wolinę, na której leżałem, wyprawiały mi harce przez całą noc, denerwując i nie pozwalając zasnąć. Znużony całonocną męczarnią, zasnąłem dopiero nad ranem.

Wstaliśmy około godziny 7-mej zbudzeni przez przybyłego ordynansa. Po herbacie wyszliśmy z pokoju, by oglądnąć wioskę.

Wioska na szerokim obszarze rozbudowana, położona w kotlinie rzeki Talabor, płynącej pod stromemi górami, liczy około dwa tysiące mieszkańców, prawie wyłącznie Rusinów, przypominających rasą galicyjskich Hucułów. Rusini zaaklimatyzowani tu od wielu dziesiątek lat, nauczyli się języka węgierskiego, zbudowali sobie cerkiew i żyją w zgodzie z nielicznymi Węgrami, ale ich nie lubią. Są ogółem biedni. Głównym ich majątkiem prócz nędznej chaty, jest trzoda chlewna, którą z zamiłowaniem chowają.

Chaty zbudowane z drzewa, niskie, o stromym, słomą krytym dachu, rozrzucone po wsi bez planu i porządku, są zaniedbane, brudne. W niektórych domach przydrożnych zwraca na się uwagę pewna stylowość werand, budowanych w formie krążganków z rzeźbionymi słupami i łukowem sklepieniem. Dziś opuszczone i zaniedbane, były dawniej własnością możnych wieśniaków węgierskich. Ludność doznaje od Węgrów ucisku i odnosi się do ich władz z nieufnością. Nieznaczna przymieszka ludności żydowskiej zajmuje się handlem. Żydzi w rozmowie między sobą używają najczęściej języka węgierskiego.

Przez czas dłuższy kwaterowały w Talaborfalva oddziały niemieckie i pozostawiły po sobie niezłe wspomnienia, oraz wybudowały stylowy dom, w którym była ich Komenda stacyi i mieszkanie komendanta, jakiegoś majora. Teraz urządzono tam kancelarye 26. i 32. pułku strzelców.

*) Płachta z namiotu.

W środku wsi, murowana, wielka szkoła vis á vis plebania. Proboszcz przez długoletni pobyt wśród chłopstwa zatracił resztę swej kultury i inteligencji.

Środkiem wsi prowadzi obszerna, doskonale utrzymana droga krajowa z Bustyahàza do Dulfalva i dalej.

Talaborfalva stanowiło przed wojną centrum handlowe, gdzie się zewsząd gromadzili kupcy, skupujący produkty żywności. Tu był rynek zbytu dla płodów rolnych, stąd rozwożono je w dalsze strony. Wieśniacy wtenczas mieli się dobrze. W czasie wojny upadł handel, upadła z nim zamożność tutejszej ludności, wioska stała się nawet biedną.

Oglądnąwszy wioskę, poszliśmy przed komendę placu. Komendanta jeszcze nie było. „Przychodzi około godziny w pół do dziesiątej“, rzekł „Zugsführer“ kancelaryjny. Zaczekaliśmy chwilę — przyszedł punktualnie o godz. dziesiątej. Po zameldowaniu się u niego, poszliśmy z nim razem zwiedzić baraki, w których internowano naszych żołnierzy.

„Ilu tu jest naszych?“

„Przeszło ośmiuset“ — odpowiedział Komendant. „Mieszczą w dwu obozach, tzw. „Nord-Lager“ i „Nord-West-Lager“. Zrobiłem dotąd, co mogłem, aby żołnierzom było dobrze. Zamknąłem studnię ze złą wodą, kazałem wybudować ustępy — ale reszty, mimo iż wciąż piszę do Komendy w Huszt, wydość od nich nie mogę. Nawet wapna nie dają — a tu we wsi niema. Napiszemy teraz porządny raport, a ja jeszcze na nim dopiszę, że nie biorę odpowiedzialności za drowie wojska i wsi. Już był tu tyfus! Najlepiej będzie zamknąć wioskę dla przybyśców — to ich tam w „Generalkommando“ przekona, że naprawdę jest źle, i pręcej coś dostaniemy“.

Opowiadał dalej obszernie, że jego życzeniem jest urządzić tu wszystko jak najlepiej, „po europejsku“, prosił, ażeby z naszej strony iść mu na rękę, a z pewnością wiele się użył dla poprawy bytu naszych internowanych żołnierzy.

„Czy Pan Porucznik mieszka tu dawno?“

„Jestem dopiero od kilku dni. Mój poprzednik był bardzo surowy i waryat, wyleciał za to“ — dodał z uśmiechem.

Rozmawiając z nim przez drogę, zbliżyliśmy się do „Nord-Lager“, gdzie zaszedł wypadek tyfusu plamistego.

Nasi żołnierze mieszkali w dwóch barakach wprawdzie nie najgorszych, lecz na umieszczenie po 200 ludzi w jednym — bezwarunkowo za małych. Weszliśmy do wnętrza. Na pryczy piętrowej wskazano nam miejsce, gdzie leżał ów chory, wysłany następnie do szpitala.

„Cóż zrobiono z tem miejscem?“ zapytaliśmy. Przystąpił sanitaryusz.

„Zlałem karbolem i wapnem miejsce, na którem chory leżał, a innym kazałem odsunąć się od tego miejsca w prawo i w lewo. Ale nie słuchają“.

Tuż za barakami było bagno zanieczyszczone, tworzące się przez płynący tędy strumyczek. Wiatr pędził stamtąd na baraki obrzydliwie cuchnące wyziewy.

Jedzenie do chwili przybycia terażniejszego komendanta obozu było jak najgorsze. Od czasu przybycia komendanta nowego trochę się poprawiło. Środków dezynfekcyjnych niema. Niema też izby izolacyjnej. O praniu bielizny dotychczas nie pomyślano. Nędza i brud towarzyszyła naszym więźniom na każdym niemal kroku.

Wydawszy wstępne zarządzenia, udaliśmy się do t. zw. „Nord-West-Lager“, leżącego przy drodze z Talaborfalva do Dulfalva.

I tu mieszkali nasi w dwóch barakach, czystość jednak wokoło była większa. Warty nie pozwalały żołnierzom naszym wychodzić na podwórze i otwierać okien od strony południowej. I tu spoczywał zarząd kuchni w ręku Węgrów, lecz zaraz na wstępie zaznaczył komendant, że odda kuchnię w zarząd naszym żołnierzom, „aby nie było skarg i nieporozumień“.

Na zarządzenie tegoż komendanta zamknięto tu jedną studnię z niehygieniczną wodą.

Po oglądnięciu baraków i zbadaniu stosunków zdrowotnych, wystosowaliśmy do Komendy w Huszt obszerny raport, który ze swej strony komendant obozu energicznie poparł, pomagając się jak najrychlejszego wprowadzenia w życie niezbędnych żądań i postanowień — i tegoż dnia odesłał do „Kommando Schilling“.

Komendant obozu jeńców w Talaborfalva, por. Deim, był to aktywny węgierski „Oberleutnant“, trzydziestoletni mężczyzna, średniego wzrostu, śniadej cery, o czarnych i tatarskich rysach

twarży. Inteligentny, uprzejmy, pełen energii i temperamentu. Władał biegle językiem niemieckim, pochodził z Banatu. O swej narodowości nie mówił wprawdzie, ale w trakcie dłuższej z nim rozmowy odnosiło się wrażenie, że sympatyzuje z Niemcami. Do Polaków nie odnosił się z nienawiścią — przeciwnie, interesował się biegiem wypadków politycznych, wiążących się z przyszłością Polski, interesował się też naszą sprawą i nie potępiał jej wcale.

„Mnie więcej nic nie obchodzi“ mówił nieraz, „chcę mieć tylko porządek, za który jestem odpowiedzialny. Jeżeli mi żaden nie ucieknie, to dam żołnierzom wiele wolności i będę uwzględniał ich życzenia, ale jeśli nie będzie porządku, to nikomu wyjść nie pozwolę nawet po zakupy do miasta“.

„A jak dotąd było, Panie Poruczniku?“

„Mój poprzednik narzekał, ale ja nie mogę nic złego na żołnierzy powiedzieć. Dotąd zachowywali się przyzwoicie“.

Po kilku dniach uciekło dwóch żołnierzów z obozu. Por. Deim dotrzymał groźby: na cały obóz nałożył trzydniowy areszt, nie pozwalając nikomu wyjść z baraków ani przybyłym osobom cywilnym widzieć się z żołnierzami.

Już po kilkudniowym pobycie naszym w Talaborfalva, poprosili nas oficerowie do swej menaży. Przyjęliśmy to zaproszenie bardzo niechętnie i tłumacząc się to tem, to owem, przez kilka dni posyłali ordynansa po śniadanie obiad i kolację. Komendant obozów widząc, iż się usuwamy od ich towarzystwa, zaznaczył, że oficjalnie mamy jadać we wspólnej z nimi menaży, i że prosi, aby odtąd regularnie przychodzić na obiad i kolację.

Prócz nas dwóch mieszkał z nami także Dr. Babecki, który przed naszym przybyciem do Talaborfalva, pełnił tu służbę lekarską.

Jako należący do grupy Bolechowskiej, był internowany w Dulfalva odległym od Talaborfalva o 4 km. drogi i dotąd zawsze prowadzony pod eskortą. Teraz, uzyskawszy pozwolenie stałego pobytu w Talaborfalva, mieszkał razem z nami i nie był przez eskortę strzeżony. Z początku wszyscy trzej mieszkaliśmy we wspomnianej ruderze. Po upływie tygodnia i po wy-

jeździe jednego z audytorów dał nam por. Deim jego kwaterę, dobrą i wygodną. Pokój w murowanym domu, frontowy o 2 oknach, malowany, z dobrą podłogą, zapewniał nam kulturalniejsze warunki życia. Prócz znajdujących się tamże mebli wstawiono trzy łóżka t. zw. „oficerskie“, drewniane, białe, heblowane, z czystymi siennikami. Poduszki dał nam gospodarz tego domu.

Do obsługi mieliśmy dwóch ordynansów; przydzielonego nam dawniej przez komendę baraków i ordynansa osobistego Dra. Babeckiego. Dopiero po upływie paru tygodni odszedł razem z kompanią swoją ordynans węgierski, a pozostał nadal ordynans Babeckiego.

Żołnierze nasi mieli już względne wygody i zarządzenia sanitarne weszły w życie. Urządzono izby chorych, do picia dawano wodę tylko przegotowaną, żołnierze i podoficerowie dostawali masowo przepustki, niekiedy po 60 dziennie i mogli bez warty po wiosce chodzić aż do godziny 6-tej wieczorem. Menaż się poprawiła. Zarząd nad kuchnią oddano w ręce naszych żołnierzy. Pozwalano odwiedzać naszych w barakach i widywać się z przybyłymi, — słowem, była tu swoboda znacznie większa, niż w innych obozach. A por. Deim był dumny, że się żołnierze sprawują dobrze, że nie trzeba stosować kar i że z wyjątkiem dwu wyżej wspomnianych, żaden dotąd nie uciekł.

Pakunki doręczano bez rewizyi, a listy bez cenzury. Por. Deim wiele rzeczy nie chciał widzieć, słyszeć i nie wypełniał. Z biegiem czasu począł się bliżej interesować niektórymi żołnierzami i podoficerami.

„Dlaczegoż to u Was jednorocznicy są prostymi szeregowcami, a hrabiowie, ukończeni inżynierowie, prawnicy zaledwie podoficerami?“, zapytał pewnego razu zaciekawiony i zdziwiony wysokim procentem inteligencji w naszym wojsku.

„U nas przeważa materiał inteligentny. Wszyscy są ochotnikami, i służą dla idei, nie dla rangi“. Zadumał się.

„Nie umiem sobie wytłumaczyć, jak n. p. taki hrabia może mieszkąć razem z prostym żołnierzem i spać na twardej pryczy. Przecież tyle wpływu mają jego rodzice, aby go uwolnić z takich warunków. U nas n. p. hrabia lub książę nie siedziałyby w tym samym baraku z żołnierzami, zaraz by go uwolniono“.

„U nas zaś wpływowym rodzicom na myśl nie przyszło używać na to swych lub czyichś wpływów, aby synowi swemu zapewnić wyjątkowe warunki przy wojsku“.

„To jest nadzwyczajne! N. p. hrabina Korytowska, która tu mieszka od kilku dni: syn jej jest w barakach. Nigdy mnie o nic innego nie prosiła, prócz o to, abym jej pozwolił widzieć się ze synem. Czyżby ona nie mogła stąd syna uwolnić? Przecież to jeszcze dziecko“ . . .

„Tak, ale u nas choćby dla solidarności i przykładu nie robi się tego. Sprawa dotyczy wszystkich. Należy albo wszystkich uwolnić albo nikogo“.

„I w miarę, imi lepiej poznawał te stosunki por. Deim, tem z większą odnosił się do naszych rewerencyą i stawał się niemal ich przyjacielem.

Oprócz obozu w Talaborfalva podlegał mu obóz oficerów i żołnierzy w Dulfalva, gdzie także umieszczeni byli wszyscy w takich samych 2 barakach — oficerskim i żołnierskim.

Oficerowie tam internowani zostali zabrani z Bolechowa — i okolic — w wyprawie Hallera nie brali czynnego udziału i tylko spóźnionym pisemnym protestem solidaryzowali się z grupą brygadiera Hallera.

Austriacy uważali ich za mniej winnych, i kazali traktować lepiej, zostawiając im nawet pieniądze i ordynansów osobistych.

Baraki stały za wioską, obok pięknego stylowego kościołka na otwartem polu, nie otoczone drutem, strzeżone tylko przez wokoło rozstawione warty. Było tam przeszło stu oficerów i tyluż żołnierzy. W baraku oficerskim były prycze ustawione w piętro, każda na 4 osoby; dwie na dole, i dwie na piętrze, podbite siatką drucianą o rzadkiem wiązaniu. Pułk Sikorski i ppułk. Galica z kpt. Szeraucem i kpt. Drem Czapllickim mieszkali w baraku innym, małym, w którym znajdowała się kuchnia oficerska. Żołnierze zaś umieszczeni byli w opodal stojącym drugim wielkim baraku.

I oficerom z początku nie dano nawet prymitywnych wygód. Spali na pryczach bez słomy i woliny, i dopiero po kilku tygodniach i po wielu protestach ze strony naszych przywieziono trochę woliny.

Gotował wprawdzie nasz kucharz, prowiantów jednak dostarczał ppor. prowiantowy — Węgier, który prowadził całą administrację gospodarczą i rachunki. Już w pierwszej chwili zauważono nadużycia, które przez nie karconą samowolę zaszyły u tego ppor. tak daleko, że oficerowie mimo przyznanego im relutum żywnościowego, byli formalnie głodzeni. Dopiero bardzo energiczne wystąpienie i wniesione zażalenia położyły kres bezwstydny nadużyciom. Od tej chwili aprowizacya przeszła w ręce naszych.

Niewola jakkolwiek nie bardzo długa, wybiła już swe piętno na życiu duchowym i towarzyskiem. Brak systematycznego zajęcia, mieszkanie wspólne tylu oficerów o różnej inteligencji, różnych nawyczkach i temperamentach, starszych i młodszych — wszystko to razem złożyło się na smutny obraz. Większość beczynnie spędzała cały dzień, kręcąc się po podwórzu lub leżąc na pryczy. Tylko niewielu szukało zajęcia i zawsze je znalazło. Ci usuwali się od wrzawy i zgiełku, siadali na trawie, belce lub pniu drzewa i czytali, studyowali pilnie, rysowali lub malowali. Wokoło były piękne krajobrazy i interesujące zabytki kulturalne wiejskiego budownictwa — nie brakło więc motywów do sztuki malarskiej. To też każdy, kto choć trochę posiadał talentu, malował lub rysował. Liczba tych artystów zwiększała się z dnia na dzień, malowano po kilkakroć te same motywy, podczas mgły i pogody, podczas dni pochmurnych i słonecznych, malowano i malowano bez końca — zdawało się „artyści“ utonęli swą jaźnią w sztuce stali się apatyczni i nieczuli na wszystko, co się wokoło nich działo, żyjąc tylko życiem indywidualnem.

Opodal baraków stał kościółek drewniany, w stylu gotyckim, o smukłych wieżyczkach, w ołów oprawnych oknach, z romańskim portalem, opartym na kilku drewnianych kolumnach. Mieszanina stylów nie raziła wcale. Była to świątynia z 18. wieku, a choć zniszczona zębem czasu, stała na uboczu wsi, na nie wielkiem wzniesieniu. Kryta była gontami o kształcie drobnej gdańskiej dachówki. Gonty te porośłe mchem, poszczerbione i powyginane fantastycznie, nadawały dachowi żywość, lekkość i tajemniczość.

Kilkanaście kroków przed i nieco na lewo od tej skromnej świątyni stała dzwonnica, także ze smukłą wieżyczką i takim samym dachem, wsparta na drewnianych dębowych słu-

pach. Całość dziwnie pięknie ze sobą harmonizowała. Można się było długo wpatrywać w tę grupkę, na oko odkrywało to inną, nową piękność. Nie było żadnego ogrodzenia. Trawą porośla ziemia, łagodnie spadała ku wiosce i polom, przez które sączył się strumyczek górski. Miało się wrażenie, że w tę ubogą świątynię zaklęto jakąś pogańską świętość, jakieś wielkie tajemnice, sięgające do średniowiecza, jakieś legendy, których nikt nie pamięta.

Tu fantazja i talent artystyczny prześcigały się nawzajem. Każdy najdrobniejszy szczegół wzięty z osobna stanowił piękną całość. To też artyści nasi rysowali i malowali kościółek z każdej strony, każdą jego część i nigdy nie wyczerpali motywów.

Idąc zazwyczaj po południu na przechadzkę do Dulfalva spotykaliśmy por. Kochanowskiego, siedzącego z pędzlem lub kredką; „Dzień dobry!“ witaliśmy go — nie słyszał. Obok niego przechadzał się żołnierz z bagnetem nasadzonym na karabin — pilnował, by mu oficer nie uciekł. Kilkanaście kroków dalej ppor. Piotrowski, dalej ppor. Malinowski, tam znowu chor. Meyer, Dr. Kunzek i inni, rozgrupowani po polach przed i obok obozu, całe dnie poświęcili sztuce. Na drugi dzień widziało się to samo, tylko w odmiennem rozgrupowaniu osób.

Inna grupa oficerów, siedząc w dusznym baraku od rana do wieczora, a nawet i wieczorem przy świetle łojowej świeczki grała namiętnie w karty. I tych świat cały nie obchodził. Por. Brzozowski zwany „Turkiem“, ponieważ był poddanym państwa tureckiego, budował w miniaturze kolej, „którą miał wyjechać do Warszawy“... Budował od rana do wieczora, wyzyskując piękny teren, prowadząc szyny przez wiadukty, tunele, mosty. Tor kolejowy wił się malowniczo i estetycznie na przestrzeni kilkunastumetrowej.

Najliczniejsza była grupa polityków. Tu namiętność niektórych jednostek przeradzała się nieraz w sprzeczki, nieporozumienia, kłótnie, a nigdy nie kończyła się zgodą. Omal nie powstały partye i wiecznie zwalczające się stronnictwa. Nie obeszło się niestety nieraz bez scen bolesnych i przykrych, jak kłótnie oficerów z ordynansami. Niektóre zajścia doszły uszu

pułk. Sikorskiego. Widząc upadek karnośći wojskowej, starał się zaprowadzić powrotnie ład i rygor; były raporty i rozkazy, były sądy koleżeńskie i honorowe, lecz efekt pozostawał, w najważniejszej części wypadków na papierze, a sprawy te i analogiczne swoim biegły torem.

Skupiała czasem i godziła ludzi jakaś przysłana lub przywieziona dobra wiadomość, dotycząca losu internowanych, ale i to nie na długo.

Rozluźniła się karność, znikł wzajemny szacunek, nie łagodzano sobie warunków niewoli, lecz utrudniano życie, zastawiając się wszędzie egoizmem, torując sobie drogę brutalnością.

Bolechowiaków poddawano także przesłuchaniom sądowo-wojskowym. Audytorzy jednak z braku mieszkań w Dulfalwa, zamieszkali w Talaborfalwa i urzędowali wraz ze swymi pisarzami w małych izbach chłopskich chat, dokąd pod eskortą sprowadzano z Dulfalwa naszych oficerów po 4 lub 6 dziennie i przesłuchiwano każdego z osobna. Inni czekali tymczasem na podwórzu. Przesłuchanie oficerów trwało kilkanaście dni, poczem nastąpiło w Dulfalwa znowu życie nudne i monotonne.

Dulfalwa jest wioską bardzo biedną. We wsi pozostali starcy i kobiety, reszta poszła na wojnę. Na kamienistej ziemi nic się nie rodzi, nie mają nawet czem karmić trzody chlewnej, której tu znacznie mniej niż w Talaborfalwa. Przed domami i na progu chat, kręci się wiele brudnych, obdartych dzieci, o niezdrowej blado-żółtej cerze.

W wiosce tej z prowiantów nic dostać nie można. Po zakupy chodzili nasi pod eskortą do wiosek sąsiednich. Gdy jednak personal wartowniczy został zredukowany i brakło eskorty na powyższy cel, otwarto w pobliżu baraków kantinę, w której sprzedawano bułki, wędlinę, marmeladę, papierosy i t. p.

Schilling objeżdżając różne nasze obozy, przybył i do Dulfalwa. Już dawniej zapowiadano jego przybycie, — nawet z jakąś podobno bardzo ważną misją — ale Schilling dość długo dawał na się czekać, aż wreszcie pewnego dnia przed Świątami Wielkanocnymi zajęchało auto do Dulfalwa i zatrzymało

się opodal baraków na drodze. Schilling wysiadł i pieszo udał się do obozu. Komendantowi obozu kazał wezwać wszystkich naszych oficerów i stanąwszy przed frontem, zakomunikował im, że poddani Polscy i państw z Austryą sprzymierzonych zostaną odesłani do osobnych obozów, skąd po załatwieniu różnych przygotowawczych formalności, odejdą do swego kraju.

„Macie się, tak prędko, jak możliwe postarać o dokumenta, które potwierdzają Wasze poddaństwo i złożcie u Pana Komendanta tego obozu, a stąd zostaną mnie odesłane. Róbcie to prędko, ażeby sprawa ta, o której Wam przed chwilą mówiłem, nie czekała długo na załatwienie“.

Mówił niepoprawną polszczyzną, naleciałą germanizmem i zacinał się często.

Zarzucono go mnóstwem pytań odnośnie do trudności szybkiego dostarczenia żądanych dokumentów — informowano się, jakie dokumenta wystarczą, czy wolno po nie telegrafować, za jakich poddanych uważa się pochodzących z Chełmszczyzny, a Schilling nie umiając dać dokładnych informacyi, tłumaczył się, że to go nie obchodzi, że do niego nie należy, że mają być dokumenta, stwierdzające poddaństwo i „Schluss“.

„Jeżeli Wam to jeszcze nie jasne, to ja mam gdzieś przy sobie taki akt, który dostałem, to Wam go zaraz odczytam“ — a wyjąwszy z kieszeni, szukał w piśmie punktu, który tę kwestyę bliżej objaśnia.

„O, tu stoi; naturalnie po niemiecku, ale ja Wam to zaraz wytłumaczę dokładnie po polsku — stoi — że . . . poddani Kongresówki“.

„Kongresówki?“ zapytano ze zdziwieniem — „naturalnie Kongresówki — dosłownie Panom tłumaczę — po niemiecku: „Kongresspolens“ — przecież nie macie teraz króla — a więc poddani Kongresówki — sollen t. j. powinni — odejść, najpierw do osobnego obozu, gdzie im po załatwieniu odnośnych formalności zwróconą będzie zabrana broń, poczem zostaną odesłani do miejsc swej państwowej przynależności. O, widzicie, to tak ma być!“ Schował pismo. Postarajcie się o dokumenta waszego poddaństwa, kto nie ma, niech napisze pismo do magistratu, do którego jest przynależny: każe sobie stamtąd przysłać“.

„Ekscellencyo! Czy przynależni do Zamościa pojedą też do Królestwa?“ zapytał chor. Żołobiński.

„Zamość? Zamość? . . . gdzie to leży?“, pytał Schilling. Określono mu bliżej położenie geograficzne.

„No, to należy przecież do Ukrainy, więc odeśle się ich na Ukrainę“.

„Ekscellencyo — to jest przecież Chełmszczyzna! — to należy zatem do Polski!“ prostowano.

„To na Mazowszu!“ . . .

„Ależ na Kujawach!“ . . .

„Nie prawda! w Poznańskim!“ . . .

„W Turcyi“!! — i zaczęto drwić z Schillinga, który nie znał geografii i ze zdziwioną miną zwracał się w tę to w tamtą stronę, skąd usłyszał uwagę, nie mogąc się w pierwszej chwili zorientować, czy na seryo mówią, czy kpią sobie. Usłyszawszy słowo „W Turcyi“ — oburzył się i poznał, że szydzą z niego.

„Ja tu nie przyszedł rozstrzygać, jakie miasto do kogo należy — tylko Wam ogłosić rozkaz; macie się do niego zastosować i starać się o swoje sprawy. A jak Wy to zrobicie — to nie moja rzecz. Poddany Polski pójdzie do Kongresówki. Ukraiński na Ukrainę, a Turecki, bo i takiego tu mam, pojedzie do Turcyi.

„Gdzież on jest ten Turek?“. Wystąpił por. Brzozowski. Oglądając go Schilling ciekawie, a potem zapytał: „Ma Pan dokumenta, że Pan turecki poddany?“

„Mam“.

„To Pan pojedzie do Turcyi!“

„Ja nie jestem Turkiem, Ekscellencyo, jestem Polakiem i chciałbym pojechać do Warszawy“.

„O, to nie, to jest wykluczone! Pan jest Turkiem i ma Pan pojechać do Turcyi“.

„Można przez Warszawę“, ktoś wtrącił.

„Nie, wcale nie można! Pojedzie Pan najkrótszą drogą do Konstantynopola, czy gdzie tam indziej“.

„To mu urlop dać przedtem do Warszawy“ — proponowano Schillingowi.

„Tak, naturalnie! Wam nic innego w głowie, tylko urlopy, awantury i inne głupstwa! Cóż Wy myślicie, że to tak wolno? Wy sobie ze mnie tylko żarty stroicie, i myślicie, że ja taki głupi? . . .“

Wybuch wesołości przerwał mu na chwilę dalszą rozmowę. Oficerowie zaczęli się rozchodzić i rozmawiać głośno pomiędzy sobą. Przy Schillingu pozostała mała grupa oficerów, pytających go o ważne informacje, skarżących się na złe traktowanie przez miejscową komendę obozu, na przeciągającą się procedurę sądową, na utrudniane komunikowanie się z osobami przybyłymi w odwiedziny i t. d.

„No, tak bardzo źle Wam tu nie jest“, odpowiedział Schilling.

„A cóż Wy sobie myślicie, że za to, coście zrobili, zasługujecie na lepsze traktowanie? A Wasi żołnierze, jak się ze mną obesli? . . . Czy to może jest „correct“, że mnie, Ekscellencyi, gdyście mnie aresztowali pod Żuczką, Wasz plutonowy powiedział:

„Co będziemy tego osła pilnować, zastrzelić go!“ — Taak? Wy się teraz śmiejecie? Mnie wtedy nie było do śmiechu, jak mi Wasz plutonowy groził rewolwerem i nazwał osłem. Ledwie się uratował . . .“

Mówił takim tonem i z takim przejęciem, jakby obecnie po raz drugi scenę tę przeżywał.

„Ja sobie i tego Waszego oficera zapamiętałem, co mnie aresztował. O, ja go poznam“ — spojrzął po obecnych, jakby badając, czy go tu niema.

„Więc widzicie, jak to mnie Wasz plutonowy, pomyślcie sobie plu—to—no—wy! traktował. I byłby mnie z pewnością zastrzelił, ale ja . . .“

Wy się teraz dziwicie, dlaczego Wy nie macie tu wygod? Tak, osłem mnie nazwał, mnie, Ekscellencyę! — Wasz plutonowy! . . . „Trzeba raz skończyć z tym osłem!“ — Ja go też poznam, o, ja go jeszcze znajdę!“

Zapomniał nawet, w jakiej przyjechał misyi. Żalił się za doznaną zniewagę i sądząc, że się go nie rozumie należycie, po kilkakroć powtarzał to samo i tłumaczył nam, jakim to on jest „wspaniałomyślnym“, jeżeli nie mści się za ten despekt. Spozrzegłszy się wreszcie, że kpią z niego i naciągają go na gadulstwo, pożegnał ukłonem oficerów i odszedł w stronę swego automobilu. Kilku oficerów podążyło za nim, pytając go jeszcze o jakieś osobiste sprawy. Stali przez chwilę przy samochodzie, rozmawiając z Schillingiem. Podczas tego jeden z naszych żołnierzy podszedł za auto i na tylnej ścianie, pokrytej kurzem z drogi, narysował udatnego orła polskiego. Skończył na czas, bo już żegnają Schillinga życzeniami „przyjemnej podróży“, „Wesołych Świąt“, a on przyjmuje to wszystko za dobrą monetę, dziękuje i nawzajem życzy. Wsiadł wreszcie do samochodu i odjechał do Huszt.

Tego i następnego dnia wiele rozmawiano o Schillingu, „Czy Wy, myślicie, że on taki ograniczony, jakim się wydaje?“, mówił jeden. „To przebiegły i chytry człowiek, ma on więcej sprytu, niż myślicie“ . . .

„Gdzież to prawda!“ odrzekł drugi. „Z każdego słowa widać, że to niedołęga. Nie darmo dała go Austria w odstawkę. Onby ładnie był Austryę wyprowadził na wiosenną trawkę, gdyby był dalej wodzem i pełnił służbę frontową. Przecież on nawet nie miał pojęcia, czego chcą od nas“ . . .

„Mówcie -sobie“, wtrącił inny. On tylko udaje tak naiwnego i ograniczonego, ale ja się zgadzam z tem, iż to sprytna sztuka, która plany swoje umie zręcznie maskować lub ubierać w naiwną formę. Zobaczycie, że on się zemści za to dzisiejsze przyjęcie. Wkrótce uczujemy twardą rękę Schillinga“.

Dyskusye na ten temat trwały długo i różni różne dawali poglądy. Większość jednak zgadzała się z tem, że Schilling jest bardzo przebiegły, a w trudnych sytuacjach udaje naiwnego i pozwala nawet zdrwić ze siebie, gdy tym sposobem łatwiej dojść może do wytkniętego celu.

Przyjazd Schillinga do Dulfalwa ujęli chłopcy nasi naza-jutrz w humorystyczną formę. Po obiedzie wyszli oficerowie przed barak, spacerując jak zwykle po polu lub rozmawiając ze sobą.

Nagle z poza baraku dał się słyszeć warkot aeroplanu, coraz wyraźniej, głośniejsz i za chwilę przed barak pędem zawi-

nał aeroplan, zakreślił w powietrzu koło i zwalniając tempo motoru, zręcznie osiadł na ziemi.

Z aeroplanu wysiadł lotnik. Przystąpił do niego żołnierz i stanawszy w przepisanej odległości na „baczność“. głosem silnym, pewnym siebie, zameldował:

„Ekscellencyo! melduję posłusznie, 120 oficerów...“ Lotnik spojrział obojętnie i odsalutował niedbale, a wyjąwszy z zanadtra jakieś pismo, wręczył je stojącemu na bacznąć żołnierzowi; żołnierz znowu zasalutował wyprostowany jak struna i zrobiwszy zwrot w tył, wyrzucając nogi energicznie przed siebie i uderzając silnie stopami o ziemię -- na wzór musztry pruskiej, odmaszerował w stronę naprzeciw stojących żołnierzy. Lotnik tymczasem wsiadł do aeroplanu. Zawarczał motor i szarpnął samolot. Uniósł się w powietrze, lecz znowu opadł na ziemię. Motor silniej warknął, a puszczając śmigę w coraz szybszy ruch, uniósł się z ziemi i porwawszy samolot w górę, zakreślił w powietrzu koło, wzniósł się jeszcze wyżej i pożaglował powietrzem poza barak. Odgłos motoru oddalał się, słabł, i tylko jeszcze niekiedy fala wiatru wyraźniejsze doniosła echo, aż w końcu ucichł w przestworzu.

Skąd? W jaki sposób zrobiono tu aeroplan?

Naszym nie brak pomysłów. Dwie deski na krzyż zbite: to skrzydła i ogon latawca; na przedni odcinek deski nasadzona beczka po piwie: to motor; przed motorem siedział lotnik: to ów z powietrza niespodzianie spadły, przez nikogo nie oczekiwany gość -- „Opiekun Legionów Polskich“ -- uderzając dwoma patykami w pustą beczkę, pędzi motor benzynowy. Przed beczką na gwoździu w środku swej długości osadzona deszczułka, uderzana peryodycznie patykami, obraca się i rwie motor w przestworze: to propeller, a cały ten aparat dźwiga żołnierz na swych herkulesowych barkach nadaje samolotowi szybkość i kierunek.

Psota ta satyrycznie inscenizująca przyjazd Schillinga i pomysłowo zaaranżowana, wywołała szczerą wesołość.

W kilka dni po wizycie Schillinga nastąpiły różne zmiany. Audytorowie otrzymali polecenie, aby przesłuchanie oficerów i żołnierzy ukończyć jak najszybciej i rezultat przedłożyć bez-

zwłocznie sądowi w Huszt. Żołnierzy uznanych za niewinnych odsyłano partiami do obozów koncentracyjnych; skąd mieli w najbliższym czasie wyjechać na front włoski — o ile zaś byli poddanymi Królestwa Polskiego, umieszczano w obozie w Taracköz, gdzie mieli otrzymać większą swobodę i lepszą menaż.

Zabrano wkrótce z Dulfalva ordynansów osobistych i pozostawiono tylko dwudziestu kilku żołnierzy, mających wystarczyć do obsługi całego obozu oficerskiego. Sarkali na to oficerowie, czuli się pokrzywdzeni, lecz chcąc nie chcąc godzili się i z takim stanem rzeczy.

Od szeregu tygodni do obozów w Talaborfalva i Dulfalva zjeżdżali się liczni goście. Przybywali rodzice i rodzeństwo internowanych, krewni i znajomi, delegaci i delegatki różnych komitetów ratunkowych i opiekuńczych, założonych już po wielu miastach galicyjskich, politycy, posłowie i inni mężowie stanu. Większość odwiedzających gości nie zatrzymywała się w Huszt i nie starała się tam o pozwolenie widzenia się z internowanymi, gdyż kpt. audytor Ustyanowycz niesłychane stawiał trudności, a nawet często kategorycznie odmawiał; jechano więc wprost do Talaborfalva; rozeszła się bowiem po Galicyi wiadomość, że komendant obozu w Talaborfalva nie tylko nie utrudnia, lecz nawet ułatwia widzenie się przybyłych z oficerami i żołnierzami. Niektórym Paniom pozwolił zamieszkać w tych miejscowościach przez kilka dni i widywać się częściej z krewnymi. Były nawet niekiedy wypadki, że osobiście interweniował w wynajęciu stosownego dla przybyłych mieszkania.

Pewnego dnia przyjechał w towarzystwie Schillinga pułkownik Kanik, oficer sztabowy z Naczelnej Komendy Armii, czy też Ministerstwa wojny. Interesował się wszystkim, oglądał baraki i warunki, wśród których żyją nasi żołnierze i polecił komendantowi obozów, aby się z internowanymi obchodził dobrze i w ramach możliwości spełniał ich życzenia.

W jakiś czas później przybył na inspekcję obozów pułkownik Serda; wypytywał żołnierzy, czy nie mają zażaleń lub życzeń jakich, i również wydał por. Deimowi polecenie nie utrudniać, lecz łagodzić warunki, wśród których byliśmy internowani. Po takich wizytach i zarządzeniach dawał naszym por. Deim jeszcze większą wolność.

Schilling natomiast pilnie czuwał nad naszym losem. Wkrótce po tego rodzaju inspekcjach zjawiało się pismo z Komendy Schillinga, zarządzające repressalia i ograniczenie osobistej wolności.

Zabraniał odwiedzin, doręczania pakunków i jakichkolwiek pism, a przyjazd do obozów i widzenie się krewnych z internowanymi uzależniał od sądu w Huszt i swego zezwolenia. Por. Deim, otrzymawszy takie pismo wahał się przez chwilę, jak wobec niego postąpić — lecz potem, włożywszy je do szuflady swego biurka, zazwyczaj już go nie wyjmował i nie posyłał dalej, aż nadeszło rozporządzenie inne, nakazujące obchodzić się z nami z mniejszą surowością. Wiedział, że zarządzenia, zmierzające do ograniczeń naszej swobody, i różne utrudnienia nie pochodzą ani z Naczelnej Komendy Armii ani z Ministerstwa wojny, lecz zawsze tylko od Schillinga...

Widział nadto, że sprawa nasza, obstawiona przez tyle wpływowych osobistości, źle się dla nas skończyć nie może, tem bardziej, że nawet węgierscy mężowie stanu, jak hr. Andrassy, i br. Syntenis opiekowali się naszym losem, a o ich zamierzonym przybyciu do Huszt wiele już od szeregu dni mówiono.

Od tygodnia krążyły urzędowe pogłoski, że obóz w Tala-borfalva ma być wkrótce zwinięty, a żołnierze nasi odejdą stąd do obozu koncentracyjnego, stąd zaś transportem na front włoski. Przyszedł wreszcie z Huszt pisemny rozkaz. Zestawiono konsygnację żołnierzy, przy której szczególnie uwzględniano przydział taktyczny, a gdy lista była gotowa, zapowiedziano na dzień następny zebranie około dwustu żołnierzy przed Komendą placu, odczytano imiennie i przeliczono.

W długim szeregu stanęli nasi w dwurzędzie zwrócić frontem do Komendy stacyi. Por. Deim ze swoimi oficerami stał obok. Gdy wszystkie formalności załatwiono i nasi żołnierze wkrótce odmaszerować mieli, wystąpił z ich szeregu wachmistrz Wilczyński i dziękując por. Deimowi imieniem żegnających go żołnierzy za humanitarne obchodzenie się z nimi, przez cò niewola nie była dla nich zbyt przykrą — wręczył mu adres pamiątkowy, zredagowany w języku polskim i węgierskim, z motywami baraków oplecionych cierniem niewoli i z emblematami legionowymi.

Por. Deim przyjął ten skromny upominek i ucieszył się nim bardzo.

„Sobie mają żołnierze zawdzięczyć“ — odrzekł, „że przez ich solidne i przyzwoite zachowanie się nie byłem zmuszony używać środków ostrych i bezwzględnych“.

W chwilę potem dano znak do ustawienia się w pogotowie marszowe.

„Czapki zdjąć!“ zakomenderował wachmistrz Wilczyński — i żołnierze, stojąc karnie i jak mur nieruchomo, odśpiewali „Rotę“ Konopnickiej.

Oficerowie Węgierscy, widząc że zdjęliśmy czapki, uczynili to samo i w poważnym nastroju przysłuchiwali się pięknej, porywającej za serce melodyi. Chwila to była pamiętna — tży się cisnęły do ócz. Nie wiedziało się, dokąd pójdą młodzi tułacze i jakie jeszcze przejdą koleje. Tu czuli się dobrze. Myślano o nich, troszczono się, a tam — gdzieś? . . . Lecz cóż tu pomogą refleksye?! oto słycać komendę. „Czwórki w prawo zwrot! — naprzód — marsz!“ . . .

„Niech żyje Polska! — Niech żyją nasi oficerowie! Eljen!“ zabrzmiały okrzyki; potem zanucono jakąś piosnkę legionową i fala ludzi, oddalając się od nas, nikła powoli w kurzawie drogi Patrzyliśmy jeszcze długo za nimi; już tylko głos piosenki dolatywał naszych uszu, i to coraz słabiej, coraz ciszej, aż umilkł w końcu hen daleko — za cichą wioską! . . .

Pożegnawszy Komendanta, na którym scena ta silnie wywarła wrażenie, pozostaliśmy sami. Byliśmy przygnębieni.

„Nie miałbym ochoty iść dziś tam między nich na obiad“, rzekł kpt. Korolewicz. Aby jednak nie wywołać niepotrzebnych domysłów i komentarzy, przybyliśmy jak zwykle.

Przy obiedzie por. Deim zamyślony siedział przy stole i nic nie mówiąc, patrzył przed siebie; po dłuższej dopiero chwili zapytał bez żadnego wstępu:

„Czy to Wasza pieśń narodowa, którą dziś śpiewali żołnierze, zdjawszy czapki?“

„Tak jest“.

„Bardzo ładna melodia — i żołnierze śpiewali ją tak jak modlitwę i z uczuciem“.

Do dyskusyi przyłączyło się teraz kilku innych oficerów którzy z uznaniem wyrażali się o dobrem prowadzeniu się naszych żołnierzy i o ich inteligencji.

Dnia następnego miał odejść drugi transport, nie zdążono go jednak przygotować, odszedł więc dopiero dnia czwartego.

Odtąd płynęło znowu życie monotonna przez szereg dni, aż od Schillinga przyszedł ponowny rozkaz, by zwinąć obóz w Talaborvalfa, odsyłając resztę żołnierzy. Był to transport najsmutniejszy. O losie i miejscu pobytu poprzednio wysłanych, różne krążyły wieści; mówiono, że zatrzymani zostali w Debreczynie, że już są na froncie włoskim, ale mają ich stamtąd wrócić, że dojechali tylko do Debreczyna i wracają i t. d.

Stanęli przed Komendą placu, przeliczono ich, obstawiono wartą i poszli. Idą, pogrążeni w apatyę, nie myśląc, zda się, po co i dokąd ich wiodą — idą, bo tak im każą. Poszli z Talaborfalva ostatni!

Por. Deim wstrzymywał nas jeszcze przez kilka dni, spodziewając się, że nowe transporty nadejdą; gdy jednak nie nadchodziły, wydał nam dokumenta podróży, poczem odjechaliśmy z powrotem do Huszt, a Babecki udał się do Dulfalva.

W Huszt zameldowaliśmy się u Jenerała Zielińskiego. Zaprosił nas na mieszkanie do siebie.

„Nie idźcie do nich, bo Was każą zamknąć,“ przestrzegał Zieliński. Zostańcie tu; mnie nie potrzeba tylu pokoi, a łóżka są, macie gdzie spać, z jedzeniem też jakoś będziemy sobie radzić“. Zwracając się zaś do obecnego przy rozmowie kpt. Pomazańskiego: „Niech kapitan zaraz jutro zgłosi Panów w mezaży na listę. Tymczasem rozlokujcie się“, rzekł jenerał do nas, „i siedźcie tu cicho, dopóki się o Was nie zapytają“.

Pozostaliśmy. Jenerał mieszkał w jednym pokoju razem z Szeferem sanitarnym ppułk. Dr Rogalskim, a Pomazański, Korołowicz i ja pozostaliśmy w pokoju drugim. Ponieważ sprawa

naszej aprowizacyi nie mogła być tak szybko uregulowana, jak się spodziewano przez szereg dni dzielono się z nami wszystkim.

Jenerał trzymał się dobrze. Po pierwszych wrażeniach, które przywalały go jakby głazem, odżył i los swój znosił bez słowa skargi. Bolało go tylko, że był opuszczonym; „wyrzekli się mnie“, powtarzał z goryczą, „tak wyrzekli się mnie i poszli. Kto wie, co ich tam jeszcze czeka...“ i wstawszy z krzesła, chodził niespokojnie po pokoju; trawił go żal za tem wszystkim, nad czem tyle lat pracował, chcąc z Legionisty zrobić karnego żołnierza, na którym polegać byłoby można. Zwalczał jak tylko mógł „politykowanie“ pośród żołnierzy, a ta polityka porwała ich teraz i wyrzekli się swego Wodza, tego który tak bardzo ich kochał i przywiązany był do nich — poszli na nadludzkie przygody na walkę z piętrzącymi się przed nimi trudnościami — i kto wie, czy dojdą do celu?... Do Muśnickiego droga daleka! Paręset kilometrów marszem, a ile trudności! przed nimi wróg, za nimi wróg, amunicyi może zabraknąć, „chłopców wytłuką bolszewiki“, oto perspektywa i los Hallera! I rozkładał na stole mapę, studyował ruchy armii Michaelisa, Muśnickiego i pułków Hallera. A jeśli go odetną i nie dopuszczą do połączenia się z Muśnickim?... albo go wygłodzą — rozbroją?... tu znowu rosło zdenerwowanie Jenerała; przypuszczał wprawdzie taką możliwość, ale nie chciał uwierzyć, aby się stać mogła — i znowu pytał sam siebie, na czem opiera tę ufność — i na chwilę się uspokajał, potem znowu denerwował, żyjąc w ustawicznej rozsterce duchowej i w niepokoju o los „Chłopców“ i Hallera. Nie potępiał on Brygadyera; potępiał tylko czyn ryzykowny i nieżołnierski. Zieliński nie lubił hazardu, nie lubił stawiać wszystkiego na niepewne, nie czynił nic, nie obliczywszy przedtem z matematyczną prawie dokładnością przebiegu i możliwych konsekwencji jakiegoś przedsięwzięcia. Los Hallera leżał mu na sercu. To też śledził na mapie każdy ruch wojsk, każdy niemal krok Hallera stawiał i rozwiązywał różne zadania strategiczne, wysnuwał z tego możliwe i prawdopodobne następstwa, jednym słowem szedł myślą krok w krok za Hallerem, jakby jego duch opiekuńczy, jakby chciał być mu w potrzebie pomocnym i użytecznym.

Nie było dnia, żeby nie nawiązywał rozmowy na temat losu Hallera. Nieraz, czy to siedząc w ogrodzie, czy w miesz-

kaniu po obiedzie lub kolacyi, przez długi czas rozmawialiśmy o Hallerze. Muśnickim i Michaelisie. Czynu Hallera nie nazywał Jenerał już teraz „głupstwem“, żył tylko w ciągłej obawie, że tak wiele ludzi może pójść „na marne“ . . . Gdy skierowano rozmowę na inny temat, uspokajał się nieco i mniej był zdenerwowany.

Wiedział, że będzie w sądzie przesłuchiwany — i nie lękał się tego — przeciwnie, obawiał się raczej ewentualności, że go nie będą przesłuchiwać.

„Niech oni mnie tylko zapytają, to ja im już powiem, co myślę“ i obszernie wyłuszczał swe poglądy na sprawę polską w zależności od polityki austriackiej. Teraz, gdy przestał być odpowiedzialnym za swych żołnierzy Wodzem, gdy przestał niejako być żołnierzem, gdy zostawił wszystko, aby tylko dotrzymać przysięgi złożonej Radzie Regencyjnej — zaczął uważniej przyglądać się bieżącej polityce państw centralnych, badać jej intencję, zastanawiać się nad środkami i metodami, któremi się w odniesieniu do nas posługuje. Wyraz swym poglądom dał podczas zeznań przy rozprawie sądowej, przy której był słuchany jako świadek; stanął na stanowisku Polaka obywatela Państwa Polskiego, który od chwili złożenia przysięgi Radzie Regencyjnej, a zwłaszcza od traktatu brzeskiego, żadnych zobowiązań moralnych z tytułu dawnego poddaństwa nie miał względem Austrii.

Po pierwszych tygodniach swej niewoli, jakkolwiek po ściągnięciu warty z przed mieszkania, mógł korzystać z dozwolonej mu swobody, przez długi czas nie dał się nakłonić do wyjścia na ulicę miasta. Nie chciał nikogo widzieć ani być widzianym. Gdy jednak przybywający do Huszt goście z Galicyi składali Jenerałowi wizytę, już z samego obowiązku rewizyty zmuszony był wyjść do miasta. Przekonawszy się nadto, że nie wszyscy go potępiają za jego bierność, był mniej przygnębiony, nie unikał towarzystwa, a nawet niektórych gości mile przyjmował i chętnie z nimi wdawał się w dyskusję, o ile w poglądach swych politycznych byli umiarkowani i zrównoważeni. Nie znosił zacietrzewienia i krańcowości i stronił od ludzi, z którymi nie mógł spokojnie rozmawiać.

*

*

*

Tymczasem do Huszt przyjechała p. Germanowa z p. Kosowską i p. Krzymuską. W Kołomyi dla przesłuchania zatrzymane wszystkie trzy Panie niedługo tam zabawiły. Po przesłuchaniu, którego natychmiast się domagały, wypuszczono je na wolność. Pojechały najpierw do Lwowa, poruszyły tam opinię miarodajnych politycznych czynników i udały się następnie do Huszt, uzyskawszy prawo pobytu na Węgrzech. Schilling kilkakrotnie chciał je z Huszt wydalić i różnych na to używał sposobów, jednak zawsze na czas zdołano zapobiedz, i Panie nadal w Huszt pozostały.

Pod protektorem ppułk. Rogalskiego, któremu wolno było w obrębie miasta swobodnie się poruszać i dzięki nieustrudzonej woli p. Germanowej powstał w Huszt Komitet pomocy. Po długich sprzeciwach pozwolił Schilling wynająć w mieście 2 pokoje, z których w jednym mieszkały panie, w drugim zaś mieścił się magazyn rzeczy ofiarowanych dla żołnierzy przez nasze społeczeństwo. Składano tam chleb, mąkę, tłuszcz, cukier, herbatę, pakunki imienne, przysłane pocztą lub okazyą, bieliznę, mydło, artykuły apteczne, gazety i książki.

W krótkim stosunkowo czasie nagromadziło się tu mnóstwo pakunków nadesłanych pocztą i okazyą. Licznymi listami zapytywano o los żołnierzy i oficerów i na ręce Komitetu przesyłano im pieniądze. Prócz doręczania pakunków i listów, przy czem natrafiało się na niesłychane trudności, rosnące, gdy chodziło o obozy poza Huszt położone, załatwiać Panie musiały liczną korespondencją. Obóz żołnierzy naszych w Huszt rozbito niebawem na szereg obozów mniejszych, rozrzuconych wokoło po różnych wioskach. W Huszt pozostali tylko najwinniejsi. Z reszty powstały obozy jeńców w Bustyháza a Saldobos, Szeklencze i Talaborfalva.

Pakunki przeznaczone do doręczenia miały być przez odnośną władzę obozową otwierane, a ich zawartość przeglądana; listów zaś niecenzurowanych absolutnie doręczać nie było wolno. Surowe te zarządzenia musiało się obchodzić i torować sobie drogę do komendantów obozów i wart.

Ostro wzbroniony wstęp do baraków, bardzo ograniczone pozwolenie widzenia się z naszymi, nieobecność tych, w których sprawie przybywano, niekiedy nawet rewizye osobiste, krzyżowały powzięte plany. Kolidowały z komunikacją kolejową

i narażały na stratę czasu, i pozostanie w danej miejscowości dłużej, niż było w projekcie.

Mimo tych i wielu innych trudności, Komitet w Huszt wywiązał się dobrze z przyjętych na się obowiązków, a u wielu niewątpliwie wdzięcznie zapisał się w pamięci. Wspomagany w pracy przez delegatki przybyłe ze Lwowa i Krakowa, rozszerzył swą działalność na obozy naszych żołnierzy poza Huszt leżące.

Na szczególniejszą wzmiankę zasługuje p. Jędrzejowiczowa, p. Gerżabkowa i p. Wojewska. Dwie ostatnie Panie, przybywszy z Krakowa, prawie stale mieszkały w Huszt, skąd peryodycznie z pakunkami i poleceniami wyjeżdżały do okolicznych obozów.

Ileż to razy, nie dostawszy podwoły, z ciężkimi tobołami na plecach wśród skwaru słonecznego lub deszczu maszerowały z Bustyháza pieszo do Talaborfalva lub Dulfalva, a następnie w ciemną noc wracały na dworzec kolejowy, aby zdążyć na najbliższy pociąg, bo jutro w inne znowu pojadą miejsce.

Wielu z nas i to pamięta, jak na stacyi kolejowej w Huszt żołnierzom naszym, odsyłanym na front włoski, chleb w taczkach przed pociąg same woziły i rozdzielały. Usługi te spełniane były cicho, skromnie z poświęceniem się dla dobra naszych żołnierzy, w zapomnieniu o sprawach osobistych.

Żołnierze nasi rozrzućeni po obozach wyżej wymienionych, nie mieli się dobrze. Internowani w podobnych jak w Huszt barakach, pozbawieni byli wolności, żywieni źle, a traktowani gorzej, niż jeńcy wojenni. Na czele obozu stał t.zw. komendant (Lagerkommandant), zazwyczaj porucznik lub kapitan, mianowany przez wojskowość. Prowiantowanie internowanych było w ręku innego, niższego rangą oficera. On otrzymywał ze skarbu pieniądze, względnie prowiant na wyżywienie internowanych, on zarządzał kuchnią, i był przed komendantem obozu „odpowiedzialnym“; na porządku dziennym były jaskrawe nadużycia, przez co nasi nawet poważne niekiedy ponosili szkody.

Widzenie się z naszymi było tylko wyjątkowo dozwolone, za poprzednim zgłoszeniem się petenta w sądzie i za pozwo-

leniem Schillinga. Odwiedzający miał rozmawiać z wywołaną osobą przez ściśle określony termin, którego przekroczyć nie było wolno i w obecności oficera lub podoficera, rozumiejącego język polski. O ile w danej chwili nie było takiego świadka, widzenie się z daną osobą warunkowano rozmową w języku niemieckim, względnie kazano petentowi z widzenia się zrezygnować lub czekać na lepszą okazję.

Pewnego razu p. Germanowa uzyskała pozwolenie widzenia się ze swym mężem. Pisemne pozwolenie określało czas rozmowy na 15 minut. Obecny przy rozmowie audytor z zegarkiem w ręku pilnował terminu i przerwał rozmowę punktualnie w 15 minucie. Protest i prośby na nic się nie zdały.

Po innych obozach ulokowano naszych również w barakach. Były to niskie, drewniane, ciemne ubikacje, mogące pomieścić około 200 ludzi. Dla zwiększenia pojemności poustawiano w barakach piętrowe prycze bez słomy i bez woliny; żołnierze spali na twardych deskach lub siatkach drucianych przykryci cienkim kocem. Nie kontrolowano tu studzien od dawna silnie zanieczyszczonych, nie troszczono się o dezynfekcję; żołnierze pozostawieni swemu losowi chorowali masowo. Pojawiły się choroby, którym tylko czystość zapobiedz mogła. Odżywianie było nędzne.

Po kilkunastu dniach pobytu w obozach pochorowali się nasi na czerwonkę. To dopiero przemówiło Węgrom do przekonania, że zwalczenie epidemii, względnie nie dopuszczenie do jej wybuchu, leży przedewszystkiem w ich własnym interesie. Nie mając jednak lekarzy swoich, przeznaczali naszych.

Obóz karny w Huszt, jakoteż obozy okoliczne odwiedzili jako pierwsi ks. Ratuszny, delegat Komitetu Opieki nad żołnierzem Polakiem i p. Lech, delegat Kuryera Lwowskiego, przybyły tu po autentyczne wiadomości dla celów sprawozdawczych o stosunkach panujących w obozach karnych.

Delegacje różnych Komitetów przyjeżdżały do tych obozów, a zbadawszy osobiście położenie i warunki życia naszych żołnierzy, dokładały starań, by zapobiedz lub przynajmniej złagodzić nędzę. Przywoziły chleb i inne artykuły żywności, le-

karstwa i pieniądze. Ponieważ obcym wstęp do baraków był bezwarunkowo wzbroniony, rozdział przywiezionych dla żołnierzy darów uskuteczniano w ten sposób, że przedstawiciele naszych żołnierzy, zazwyczaj trzech zaufanych podoficerów wzywano do kancelaryi lub innego lokalu. Tam na nich czekali delegaci lub delegatki odnośnych komitetów i za pokwitowaniem odbioru wydawali prowianty, tytoń, papierosy, pieniądze. Podoficerowie, zabrawszy następnie dary do baraków, rozdzielali je równomiernie między żołnierzy, a za pieniądze zakupywali we wsi prowiant, którym ilościowo i jakościowo poprawiano menaż żołnierską.

Po zakupy udawali się ci sami „Mężowie zaufania“ za t. zw. przepustką lub pod eskortą.

* * *

Po niespełna tygodniu obóz w Talaborfalva znowu się wypełnił naszymi żołnierzami. Zażądano z Huszt lekarza, Szefer Rogalski, któremu oddano decyzję w tych sprawach, przeznaczył mnie jako już obeznanego z tamtejszymi stosunkami. Otrzymawszy dokument podróży, pojechałem bez asystencji i eskorty ponownie do Bustyaháza, a stąd wózkiem do Talaborfalva gdzie już zastałem Dra. Babeckiego. Wezwany z Dulfalva, pełnił tam od dwóch dni służbę lekarską. Oddano nam na mieszkanie tę samą kwaterę, którą mieliśmy przed tygodniem.

Komendantem obozu był ten sam por. Deim, lecz oficerowie zmienili się. Byli tam teraz przeważnie sami Szeklerzy z Banatu i jeden Słowak. Wszyscy bardzo pilnie interesowali się losem naszych oficerów i żołnierzy, i często, zwłaszcza przy obiedzie lub kolacyi, rozpoczynali na ten temat dyskusję. A usłyszawszy niektóre wyjaśnienia, opowiadali, że u nich w Banacie, kraju zamieszkałym przez Szeklerów — panuje również niesłychany ucisk ze strony Węgrów, którzy pozamykali szkoły niemieckie, nie pozwalają się uczyć języka niemieckiego, sprowadzać i czytać niemieckich książek i dzienników. „Ale u nas naród już od dawna się organizuje“, opowiadali. „Jesteśmy z całych Węgier prowincją najbogatszą. Na kształcenie się uniwersyteckie wyjeżdżają Szeklerzy na uniwersytety zagraniczne, niemieckie, naszymi ludźmi obsadza się ważne stanowiska eko-

nomiczne i polityczne na Węgrzech i już niedługo będziemy gotowi do zrzucenia z siebie niewoli ciążącej na nas“.

Potem wypytywali się z zaciekawieniem, o stosunki w Polsce w dotychczasowej zależności od trzech zaborów, o teraźniejszych dążnościach Polaków do zrzucenia jarzma obcego panowania — a dowiedziawszy się, z jakiego powodu jesteście więzieni: „Toż to nasza sprawa, w najbliższej przyszłości!“ zawołał jeden z nich i uścisnął mi dłoń. „Szanuję Was za to. Teraz dopiero rozumiem, dlaczego to chcieliby Was ukarać i boją się, a ostatecznie nie wiedzą, jak wybrnąć z tej matni. Już nie jednego z naszych oficerów pytałem, za co Was internowali — żaden nie wiedział — tak ukrywają właściwą przyczynę.

Jak widzę odwiedza Was wielu wpływowych ludzi. Że też oni na to pozwalają, chyba są już za słabi, aby nie dopuścić do tego. Ach, prawda, przypominam sobie, przecież i w Austrii wielu Polaków było ministrami i wysokimi dygnitarzami, to zupełnie tak, jak u nas.“ I cieszył się że znalazł kogoś, z kim mógł porozmawiać o swym kraju rodzinnym, o nienawiści do Węgrów, o blizkiej nadziei wyzwolenia się Szeklerów z pod jarzma niewoli i ucisku.

Był to ppor. rezerwy, komendant kompanii 30 p. strzelców, prawnik studujący ekonomię społeczną. Tej gałęzi wiedzy pragnął poświęcić się w przyszłości. Dwudziesto kilkoletni, średniego wzrostu mężczyzna, blondyn, starannie wygolony, żywego temperamentu, na terenie polityki namiętny, aż burzliwy czasem. Z żołnierzami naszymi obchodził się bardzo dobrze, a nawet przekroczeń różnych nie chciał karać.

„Ucieknie — nie ucieknie — aby nie przy mnie — zresztą nic mnie to nie obchodzi; napisze się raport i już niech innego głowa boli. — Ja się wogóle dziwię“, mówił por. Konrad, „że się żołnierze Wasi tak spokojnie i dobrze zachowują“ i w zastępstwie por. Deima masowo wydawał podoficerom i żołnierzom przepustki do miasta, tak, że od przedpołudnia do późnego wieczora mnóstwo naszych żołnierzy snuło się po wsi lub bez żadnej eskorty wychodziło do Dulfalva odwiedzać tam kolegów. W Talaborfalva był to jedyny obóz w którym tyle dozwolono wolności.

Między gośćmi którzy odwiedzili obozy karne, znajdował się poseł Zieleniewski, pierwszy ze sfer politycznych, jaki przybył oglądać warunki wśród których żyjemy i syna swego odwiedzić, poseł Lasocki, hr. Baworowski, inżynier Stanko z Bolechowa, Jenerał Rozwadowski i wielu innych. Przybyła też p. Sołtysowa, żona publicysty z Poznańskiego, który po kilkunastu procesach prasowych za sprawę polską, propagowaną piórem, zmuszony był opuścić Poznańskie, osiadł we Lwowie, i inieszka tam od dłuższego czasu.

Jedni przywozili dobrą wiadomość, drudzy nadzieję, że już blizką jest zmiana naszego losu na lepszy, inni zapewnienia, że Koła polityczne zajmują się gorliwie naszą sprawą, że interwenują w Naczelnej Komendzie armii, że już wyproszono złagodzenie dla nas, że delegaci byli nawet u Monarchy, który przychylnie ich przyjął itd. Przywożono nadto listy, dzienniki i różne dary z różnych miast i miasteczek Galicyi i Królestwa Polskiego, zabierano naszą korespondencję — każdy uważał za swój obowiązek przyczynić się czemkolwiek mógł do złagodzenia naszej doli.

„Moi drodzy“, witała naszych żołnierzy p. Sołtysowa głosem miłym, wdzięcznym i łagodnym, „nie jestem ja zamożna to też na nic nadzwyczajnego zdobyć się nie mogłam, ale nie gardźcie i tem co Wam przywożę, lecz przyjmijcie tak szczerze, jak szczerze Wam jest dane“, i wręczyła mały pakiet z prowiantami. „Spodziewałam się zastać Was złamanych na duchu — to też tem bardziej się ucieszyłam, przekonawszy się, że jesteście silni, wytrzymali i odporni na ciężkie nawet ciosy.

Nie dajcie się złamać przeciwnościami, bo przyszła Wolna Polska... tu w oczach zabłyśł zapał, nadzieja i wiara... potrzebować będzie ludzi o żelaznym harcie i silnej woli.

I ja com miała, to oddałam dla Polski. Poszedł mąż, poszli synowie, w domu pozostałam tylko ze swoją córeczką, która bardzo kocha Polskę, wierzy w jej pomyślną przyszłość, i gdzie tylko może, oddaje swe usługi dla dobra naszej Kochanej Ojczyzny“.

Zamilkła na chwilę, a wzruszenie malowało się na twarzy tej zacnej Matrony, co kochała swój kraj, jak jedyne najdroższe swe dziecię.

„Tak się tu dobrze czuję u Was... nigdy nie zapomnę tych chwil, które tu pośród Was przeżywam. Jestem wzruszoną“ ...

Przyzwyczajiliśmy się codziennie mieć gości u siebie. Gdy przez szereg dni nikt nie zajrzał do Talaborfalva, monotonna ta wywoływała uczucie niepokoju i lęku, jakby przed złą jakąś wróżbą. Ale po niedługiej przerwie znowu ktoś zawitał, zabawił kilka dni lub kilka godzin.

Po długiej nieraz podróży pociągiem i po odbyciu kilkunastu kilometrów końmi, niektórzy goście pierwszy wypoczynek i bliższe informacje u nas znajdowali, przyjmowani herbatą, winem i bułką.

* * *

Po trzech tygodniach zwinięto znowu obóz w Talaborfalva, a naszych odesłano na front włoski. Nie było już teraz tak wzniosłego nastroju przy odmarszu żołnierzy, jak przy transportach dawniejszych.

Przybyli bowiem od razu na dobre warunki, i wiedzieli dokąd odchodzą, gdyż koledzy, którzy najpierw na front włoski odeszli, nadesłali wiadomość, że się znajdują w Udine gdzie umieszczeni na razie w obozie koncentracyjnym, czekają na dalsze zarządzenia.

Po odejściu żołnierzy odesłano i nas z powrotem do Huszt. Serdecznie żegnani przez oficerów węgierskich opuściliśmy Talaborfalva, teraz już na zawsze. Gdy por. Deimowi dziękowałem za względy, którymi nas i żołnierzy naszych otaczał, odrzekł skromnie, że prócz obowiązku służbowego spełniał także obowiązek ogólnie ludzki, „a zresztą“, dodał „nie wiadomo, co kogo jeszcze czeka. I ja się mogę znaleźć w podobnych warunkach“ — urwał i zamyślił się.

On był Szeklerem. Nie mówił jednak o tem wiele, ponieważ karyera wojskowa zamykała mu usta. Chętnie obcował z wolnomyślnymi swymi kolegami, chociaż sam nie zwierzał się ze swych przekonań.

Był to człowiek głębiej myślący, uczuciowy, uczynny. Wszyscy, którzy w bliższą z nim weszli styczność, odnosili wrażenie jak najlepsze, a w dziejach martyrologii naszej na Węgrzech był to jeden z tych niewielu oficerów i Komendantów obozu, który umiał pogodzić rygor władzy wojskowej z uczuciem ludzkości.

Wróciwszy do Huszt za radą naszego Szefa sanitarnego wyszukaliśmy sobie kwatery w mieście na mocy przywileju, że oficerowie uwolnieni od winy i dochodzeń sądowych mają prawo prywatnie mieszkać w mieście, i w jego obrębie poruszać się swobodnie, bez eskorty. Dla uzyskania tego rodzaju zezwolenia należało w Komendzie placu przedłożyć zwolnienie od dochodzeń sądowych, wydane przez kpt. audytora Bartaka, zastanawiające dochodzenia śledcze przeciw danemu oficerowi, wizowane przez Jenerała Schillinga.

Wymijając tę procedurę, której ze względu na to, iż należałem do „współwinnych“, nie mogłem uczynić zadość, przedłożyłem w Komendzie placu dokument podróży, wydany w Taborfalva, w którym zaznaczono, że jadę bez eskorty („ohne Bedeckung“) czyli, że tem samem pozostaję na wolnej stopie. Ten dowód wystarczył i Komenda placu zezwoliła na mieszkanie w mieście. Babecki zaś uzyskał z łaskawością dokument zwolnienia od dochodzeń, wydany mu przez sąd. Wyszukaliśmy sobie pokój niedaleko dworca kolejowego u pewnej szwabki. Izba dość obszerna o 2 okienkach, bez podłogi, miała dwa łóżka, stół, szafę i 3 krzesła. W izbie czuć było stale wyziewy, pochodzące z ubitej gliny w miejsce podłogi i z wapna, którem świeżo izbę wybielono. To też mimo zimnych nocy zmuszeni byliśmy spać przy otwartem oknie.

Nikt nas tu nie strzegł i nikt nie kontrolował, a przynajmniej nie było tego widać.

Oficerów naszych konfinowanych w mieście — oprócz Sztabowych — wciągnięto na listę menażową oficerów internowanych w domkach i otworzono lokal, w którym mieli się schodzić na śniadanie, obiad i kolację. W lokalu tym jadal także węgierscy podoficerowie — jednorocznicy. Zachowywali się wobec nas arogancko i całkiem jawnie faworyzowani byli przez kucharza. Nieraz musieliśmy czekać, aż oni najpierw wszyscy dostaną obiad lub kolację — potem dopiero przychodziła kolej na nas.

Zdarzały się też wypadki, że dla nas nie starczyło obiadu lub kolacyi, lecz i przeciw temu nie było rekursu. „To trzeba było pilnować“ — odpowiadano obojętnie, „ja przecież tam dla was stać nie będę“.

Przykro było znosić te upokorzenia. Niektórzy przychodzili godzinę później, gdy już Węgrów nie było, lub tylko nie-

wielu siedziało przy stole — ale teraz znowu, na inną trafiało się niewygodę: stoły pooblewane i zarzucone resztkami obiadu, podłoga zanieczyszczona, a naczynie stołowe, w którym podawano pokarmy i przybory do jedzenia rażąco brudne. Na stół zaś podawano to, co w kuchni zostało.

Ze względu na to i znaczne oddalenie lokalu menaży od naszej kwatery, przynosił nam obiady i kolacye ordynans ks. Kapelana Gilewicza do jego kwatery i tam na kuchni odgrzewał.

Ogólne przesłuchanie oficerów i żołnierzy już ukończono i tylko niektórych wzywano jeszcze, aby uzupełnić zeznania lub sprzeczności wyjaśnić. Do rozprawy sądowej nie było daleko. Adwokaci, którzy podjęli się naszej obrony, zapowiadali swój przyjazd do Huszt dla odbycia konferencji wstępnych z oskarżonymi i zapoznania się z nagromadzonym przeciw nim materiałem sądowym. Mecenas Ostrowski z Krakowa, kilkakrotnie podawał telegraficznie termin swego przybycia do Huszt. Na dworcu kolejowym oczekiwaliśmy od paru dni codziennie przed i po południu spodziewanych gości. Jenerał Zieliński z ppułk. Rogalskim wychodził także na dworzec kolejowy — lecz Panowie Obrońcy przyjazd swój z dnia na dzień odkładali. Po kilku dniach przysła depesza, że Mecenas Ostrowski zachorował i mimo najlepszych chęci przybyć nie może w określonym czasie.

Wreszcie po długich, beznadziejnych oczekiwaniach zjawił się u nas poseł Dr. Liebermann i tegoż samego dnia złożył wizytę Jenerałowi Zielińskiemu.

Prawdziwy żołnierz i namiętny Polityk po raz pierwszy spotkali się ze sobą. Rozwinęły się dyskusye, trwające kilka kwadransów. Poseł Liebermann opowiadał o charakterze bieżącej polityki austryackiej, o stale zmiennym i niepewnym nastroju we Wiedniu względem Polaków, wspomniał, że Austria chce nas mieć jako zakładników dla swych celów politycznych i że proces przeciw nam, nawet niezależnie od wewnętrznej sytuacji politycznej, potrwa co najmniej dwa do trzech miesięcy, o ile w trakcie rozprawy nie nastąpi jakaś na razie nieprzewidziana dłuższa przerwa.

Późnym wieczorem odszedł Liebermann do hotelu Panonia.

„Nie mogę powiedzieć“ rzekł Jenerał, „że mi się Liebermann nie podobał — oczywiście jako człowiek, bo partya jego mało mnie obchodzi. Mądry, treściwy, orientujący się szybko, prawdziwy wyrobiony parlamentarzysta“. Dnia następnego oddał mu Jenerał wizytę.

Liebermann zabawił w Huszt dwa dni, podczas których odwiedził głównych oskarżonych.

„Trzymają się co prawda dobrze“, opowiadał nam potem, „ale to przeważnie nadrobione miną. Panaś jest wyczerpany, schorowany, a zwłaszcza uderzająco silnie rozstrojony nerwowo. Boję się najwięcej o niego i wątpię, czy w takim stanie długo jeszcze wytrzyma. Górecki to też mizerota; taki biedny i wyczerpany — mury więzienne i samotność wyryły na nim swoje piętno. To wysoce inteligentny człowiek. Miałem prawdziwą przyjemność z nim rozmawiać. Odnoszę wrażenie, że go duchowo nic złamać nie jest w stanie. Żywo się interesuje wszystkim i bystro się orientuje.

Najlepiej znosi niewolę Zagórski.

Wilgoć i brak światła podniszczyła im zdrowie. Cera bledo-żółta, policzki obrzmiałe, oczy zapadłe — żal mi ich bardzo. Ucieszyli się mojami odwiedzinami i prosili mnie, żebym ich jak najrychlej znowu odwiedził.

Inni, w tych małych domkach, także politowania godni. Jak oni się cieszyli, gdym przyszedł do nich! Biedacy, taki przykry widok, gdy się do nich wejdzie! . . .

„Co z nami będzie“, „jak to jeszcze długo potrwa?“ „Kiedy rozprawa?“¹ — pytają — i cóż im odpowiedzieć? . . . Czy my naprawdę coś wiemy pewnego?

„Żołnierze też zmizernieli, i duchowo wyczerpani. Czasby skończyć jak najrychlej . . . Dodawałem im otuchy czem i jak mogłem“.

W miarę jak zbliżał się okres rozprawy sądowej, odwiedzali Jenerała audytorowie częściej, to prosząc go o jakieś wyjaśnienia, to potwierdzenia czyjegoś przydziału, rangi i t. p.

W takich sprawach nie wzywano nigdy Jenerała do sądu, lecz Kierownik Sądu, kpt. Bartak wysyłał do kwatery Jenerała,

kpt. Ustyanowycza lub innego audytora celem poczynienia notatek albo uzyskania potwierdzeń.

Tak przybył dwukrotnie por. Rozdół i kpt. Ustyanowycz. Do tego ostatniego czuł Jenerał taką odrazę, że nawet z daleka nie mógł nań patrzeć, a widok tego przewrotnego człowieka lub krótka z nim rozmowa wyprowadzała Jenerała z równowagi.

Por. Rozdół natomiast pozostawił po sobie korzystne wrażenie. „To musi być porządny człowiek“ — mówił Zieliński, „dobrze mu z oczu patrzy“.

Jenerał posiadał w wysokim stopniu rozwiniętą intuicję przy pomocy której wyczuwał i trafnie określał moralną wartość człowieka, z którym po raz pierwszy się zetknął, a wyrobiwszy sobie o kimś zdanie, nie zmieniał go pod wpływem czyjejsz sofistycznej argumentacji. „Ja czuję, i jestem przekonany, że to zły, a tamten uczciwy, porządny człowiek“, dawał krótką definicyę, i nie chciał dłużej słuchać argumentów.

Z początkiem maja przejechał przez Huszt ostatni transport naszych żołnierzy, odesłanych na front włoski, a w parę dni później przybyli oficerowie z Dulfalwa, jadący również na front południowy. Wszystkich zwolniono od winy i dochodzeń sądowych.

Na dworzec kolejowy w Huszt wyszedł ppułk. Rogalski, kpt. Korolewicz, ks. Gilewicz, ks. Kosma Lenczowski i Panie z Komitetu naszego. Pociąg zatrzymał się na stacyi przez pół godziny. Dulfalwiacy wysiedli z wagonów i rozmawiali z nami. Komendant obozu zawiadomił ich, że pojedą do Udine, gdzie zostaną przemundurowani, podćwiczeni i wcieleni do austriackich pułków. Ci, co w armii austriackiej posiadali stopień oficerski, zatrzymają go nadal, reszta zaś dostanie rangi i pobory sierżantów, względnie wachmistrzów. Dla niektórych była to klęska — z rangi kapitana spadali do rangi sierżanta! Żaden nie zamierzał pozostać długo na froncie włoskim. Spodziewano się, że urlop lub superrewizya wyzwoli ich stamtąd.

Miny były nieszczęśliwe, przygnębienie i rezygnacya oparowała większą część oficerów.

Pożegnaliśmy ich, pociąg ruszył, zostawiając w Huszt tylko tych z Dulfalva, którzy jako poddani państw z Austro-Węgrami sprzymierzonych, odjechać wkrótce mieli do miejsca swej państwowej przynależności.

Ci wrócili wraz z nami do miasta, i po zameldowaniu się w Komendzie placu i u Schillinga, rozlokowali się po prywatnych kwaterach, czekając na owe obiecane im dokumenta podróży.

Na trzeci dzień po odejście Dulfalwiaków wezwał Schilling wszystkich obcych poddanych na godzinę 11-tą przed południem do swej kancelaryi. W dużej sali kazał nam się rozstawić przed biurkiem — od drzwi do okna, a sam, nasadziwszy cwikier na koniec nosa, przewracał jakieś papiery i czegoś w nich szukał. Następnie wsparty obu rękami o biurko i pochylony nad niem rzucił po wszystkich ponurym wzrokiem z ponad szkieł cwikieru i głosem mrukliwym zaczął:

„Ja tu Panów zwołał, aby Wam przeczytać rozporządzenie, co do Was“ — i ściągnąwszy cwikier z nosa mówił dalej: „Ci, których tu przeczytam, nie mają przeciw sobie żadnego zarzutu i są od wszelkich sądowych ścigań zwolnieni. Oni, pójdą sobie, jak przyjdzie czas, do swych domów, a tymczasem mogą tu mieszkać swobodnie w Huszt, bo w razie potrzeby mogą się sądowi przydać jako świadkowie. Do tych należą następujący . . .“ i nasadziwszy cwikier na nos czytał po kolei ich nazwiska. Przeczytał ostatniego. „Czy już wszyscy byli czytani?“ powtórzył z naciskiem. „Wszyscy“, odezwało się kilka pojedynczych głosów.

„No, to ja zaraz inaczej zrobię“ — i pytając każdego po kolei o nazwisko, zaglądał do wykazu i stwierdzał ponownie, czy jest zwolniony, czy też nie.

Stałem mniej więcej w środku szeregu. Wskazał na mnie. „Pan jak się nazywa?“ Wymieniłem nazwisko. Spojrzał do księgi. „A a a, to Pan nie był czytany?! Już jest jeden! Zobaczmy, co tu stoi“ — i poprawiwszy cwikier, spadający mu z nosa, czytał długo. „Tu nic niema o Panu. Ma Pan może kartę zwolnienia?“

„Nie mam, Ekscellencyo“.

„A gdzież Pan dotąd był?“

„W Talaborfalva jako lekarz przy obozach naszych żołnierzy“ — odpowiedziałem.

„I tam był Pan na wolnej stopie?“

„Tak jest“.

„A któż to Panu pozwolił być na wolnej stopie?“

„Ekscellencya sam w czasie gdy był z pułkownikiem Kaniem na inspekcji obozów w Talaborfalva. Zresztą lekarze — pełniący służbę na mocy konwencji genewskiej powinni być na wolnej stopie — inaczej bowiem zwłaszcza przy epidemiach pełnienie służby lekarskiej jest niemożliwe i zasadom sanitarnym przeciwne“.

Patrzył na mnie z zakłopotaniem.

„Ja tam tego nie wiem, ale Pan powinien mieć kartkę ze sądu — to dla mnie jest dopiero dowodem. A gdzie Pana za-
haltowali?“

„Pod Żuczka“.

„Aaa, pod Żuczka?“ i badawczo patrzył mi w oczy. „To Pan razem z tymi był, co to mnie aresztowali?!“

... Nic nie odpowiedziałem.

„Był Pan już w sądzie przesłuchiwany?“

„Tak jest“.

„Zaraz ja się zapytam“, a zwracając się do swego adjutanta, kazał mu czegoś szukać w aktach. Po chwili znalazł adjutanta — i plik papierów podał Schillingowi, który prowadząc wskazującym palcem po piśmie, czytał uważnie, półgłosem i wkońcu zrobił wielkie oczy.

„Pan nie tylko, że nie jest zwolniony, ale Pan jest oskarżony; jakżeż to tak mogło się stać, że Pan swobodnie sobie chodzi? ... Jak dawno Pan na wolności?“

„Od końca lutego“.

„Marzec, kwiecień — to już dwa miesiące“ — i znowu coś czytał.

„Co ja z Wami mam! Zawsze coś musi być tak, jak nie powinno. No, ale ja Pana na razie nie każę zamknąć, bo o Panu

z Talaborfalva tu dobrze piszą, i pracował Pan tam długo — niech Pan na razie tam mieszka, gdzie Pan dotąd mieszkał“.

Następnie, zdjąwszy cwikier wyprostował się i zwrócił do wszystkich: „Co ja z Wami mam zawsze kłopotów, to pojęcie przechodzi! A to wszystko za to, że ja dla Was zawsze taki „dobroduszny“; za tę moją dobroduszność ja mam tyle. No, teraz możecie odejść; a gdyby coś znowu było ważnego, to ja Was tu zawołam“. Zwracając się zaś do mnie, dodał: „Pan tu zostanie“, Gdy wszyscy już wyszli zapytał.

„Jaki Pan poddany?“

„Królestwa Polskiego. Może Ekscellencya pozwoli mi mieszkać w Taraczköz?“

„O! to nie! Pan zostanie w Huszt, a ja się tymczasem muszę porozumieć z Sądem, co oni tam zamierzają z Panem zrobić“. Teraz może Pan odejść“.

Na drodze czekali na mnie koledzy.

„Po co Pan szedł do niego?!“ rzekł por. Dębski. „Mówiłem Panu przecież, idź Pan do domu i nie pokazuj się Pan Schillingowi. Byłby nawet nie wiedział, że Pan istnieje“.

„Ależ nic z tego nie będzie“, odpowiedział drugi, Schilling już jutro zupełnie o Panu zapomni, tylko nie trzeba wchodzić mu w drogę, lecz omijać go jak nieszczęście“.

Miał słuszność, bo minął dzień, drugi, tydzień, a Schilling mnie nie wzywał, i sąd także zostawił mnie w spokoju. Mieszkałem nadal w tej samej kwaterze, lecz już nie z kolegą Babeckim, gdyż ten, jako poddany Królestwa Polskiego i przez sąd od dochodzeń zwolniony, odjechał do Taraczköz, a na jego miejsce przybył do mej kwatery ppor. Kuczkowski, poddany syberyjski, wzgl. rosyjski.

Schilling łamał sobie głowę, co z nim ma zrobić, do jakiej zaliczyć go grupy i dokąd odesłać. Postanowił wkońcu odesłać go do Rosyi.

Wezwawszy Kuczkowskiego do siebie, oznajmił mu, że go odeśle do Rosyi. „A Pan wie, co Pana tam czeka?“ zapytał, patrząc Kuczkowskiemu badawczo w oczy. „Tam tak będzie...“ i ruchem ręki pokazał stryczek. Widząc zaś, że jego

niewinna ofiara nie umie się bronić, pastwił się nad nią dalej. „Mógłby Pan uniknąć tego przez wstąpienie do służby w armii naszej — złoży Pan przysięgę, zostanie Pan oficerem . . .“

„Ja za taką cenę nie będę się wykupywał. Mnie zresztą nie wolno wydawać Rosyi!“ odrzekł Kuczkowski.

„Owszem wolno — i to z Panem zrobię — a tam stry-czek . . . Niech się Pan jeszcze namyśli, a potem przyjdzie i powie mi, a ja wtenczas sprawę szybko załatwię z Naczelną Komendą Armii“.

Zauważywszy, że Kuczkowski słabo się orientuje, poddał mu myśl, aby na jego ręce wniósł podanie do Naczelnej Komendy Armii — on zaś podanie to poprze i sprawa prędko się rozstrzygnie. „Ja ze swej strony zapytam się, jak tę sprawę rozwiązać — a Pan niech od siebie napisze podanie“.

Po tych słowach pozwolił Kuczkowskiemu odejść.

Kuczkowski wrócił do kwatery zirytowany na Schillinga do najwyższego stopnia, i zmartwiony, nie wiedząc, jak wybrnąć z tej zasadzki zastawionej na siebie.

„Pójdziemy jutro do naszego Referenta sprawiedliwości, majora Ganczarskiego“, powiedziałem, Kuczkowskiemu, „on najlepiej Panu w tej sprawie doradzi“.

Major Ganczarski mieszkał w Huszt, od chwili przeniesienia tu sztabu naszego. Obecnie, licząc na to, iż proces nie prędko się skończy, sprowadził żonę i chłopczyka, wynajął przyzwoity pokój i był już poniekąd do warunków tutejszych zaaklimatyzowany, mając nadto dobre powietrze — piękną przyrodę i wiele czasu. Zwykł, był wcześniej wstawać i po nabyciu dzienników, z których o 2, t. j. „Pester Lloyd“ i „Freie Presse“ było w Huszt łatwo, szedł do ogrodu przed mieszkaniem Jenerała, i tam czytał, tam napawał się zapachem jaśminu, bżów i konwalii, tam oddychał czystym, balsamicznym powietrzem — potem szedł na śniadanie, następnie z żoną i synkiem na górę zamkową, skąd na daleką okolicę piękny roztaczał się widok. Major Ganczarski lubił przyrodę, więc czuł się w swym żywiole.

Dnia następnego po owej niemiłej dla Kuczkowskiego wizycie u Schillinga poszliśmy po południu do Majora. Siedział w ogrodzie i książkę jakąś czytał.

„Witam Panów! Cześć! Jak się Panowie macie? Cóż tam słyszeć?”

„Przychodzę do Majora w sprawie mego Kolegi, ppor. Kuczkowskiego. Niech mu Major da dobrą radę“ i prosiłem Kuczkowskiego, aby Majorowi powtórzył treść swej rozmowy wczorajszej z Schillingiem.

„Ach, to jest oburzające! Tak przecież nie można! Napiaszemy podanie, on je musi wysłać; albo będzie pomyślnie załatwione albo przynajmniej przedłuży termin bezprawnego zarządzenia Schillinga — a Pan tymczasem będzie mógł sobie siedzieć spokojnie. Jutro rano niech Pan przyjdzie, panie Kolego, i da mi swoje generalia,¹ a po południu będzie podanie gotowe.

To jest naprawdę niesłychane!

Co, już Panowie uciekają?! zapewne nie macie czasu — do widzenia! Cześć! Cześć! Uszanowanie Panom!“ żegnał nas Major serdecznie, uśmiechnięty, wesoły zawsze zadowolony.

„A więc jutro popołudniu będzie podanie gotowe! Cześć!”

Po jutrze zabrał Kuczkowski dobrze wystylizowane i umotywowane podanie do Naczelnej Komendy Armii, a dnia następnego wręczył je Schillingowi. Schilling przeczytał raz i drugi i zapewnił Kuczkowskiego, że bezzwłocznie podanie odeśle, a po otrzymaniu na nie odpowiedzi, Kuczkowskiego o treści zawiadomi.

Cieśle i stolarze od kilku dni pracowali nad adaptacją sali do rozprawy. Na ten cel przeznaczono salę w hotelu „Korona“, największą, jaka się w Huszt znajdowała. Za kilkanaście dni miała być adaptacja ukończona. Lecz już w połowie robót zastanowiono dalszą pracę, gdyż według obliczeń sala okazała się na wiadomy cel za małą, a przylegające do niej ubikacje niepraktycznie rozmieszczone. Ponieważ zaś innej stosownej sali w całym Huszt nie było, Sąd miał się przenieść do innej miejscowości. Wymieniano Kołomyję, Marmarosz Szigeth, Stanisławów, Czerniowce, lecz były to same domysły, nikt wtenczas jeszcze nie wiedział, gdzie się przeciw nam odbędzie rozprawa. Do powyższej trudności dołączała się i ta, że dla lic-

nego personalu obrońców, dziennikarzy, audytorów i mężów zaufania na czas ich pobytu brakło w Huszt stosownych mieszkań.

Sprawa ta poszła daleko — zapewne znowu do Ministerstwa albo do Naczelnej Komendy Armii, bo przez czas dłuższy nic o niej nie było słychać.

Na razie likwidowano Polski Korpus Posiłkowy — ale powoli, bez przeciążania się pracą. Do likwidacyi powołano por. Dębskiego, ppor. Kusionowicza i chor. Bergera, oraz kilku innych, którzy całymi dniami siedzieli w kancelaryach. Praca jednak żółwim krokiem postępowała naprzód, ponieważ jeszcze nie wszystkie akta nadeszły. Zapowiadała się tu żmudna praca rozłożona na wiele miesięcy.

W Komitecie naszym ruch także się zmniejszył, ograniczony do czynności lokalnych, gdyż inne pozamiejscowe obozy zostały już zwinięte. W pracy korespondencyjnej i sprawozdawczej pomagał Paniom por. Grabowski, który był łącznikiem między Komitetem, a internowanymi oficerami i żołnierzami.

Czasem zeszło się nas więcej w Komitecie, przybył ppułk. Rogalski i kpt. Korolewicz, i jeszcze kilku gości. Przypominano sobie lepsze czasy w Legionach, przeplatano wesołemi anegdotami, wracał humor i serdeczność.

Już i nasz Jenerał nie siedział stałe w domu, lecz wychodził do miasta, niekiedy do cukierni, kawiarni, lub na górę zamkową.

* * *

„Jenerale! Może Jenerał przejdzie się dziś na spacer?“ zapytał pewnego popołudnia adjutant Pomazański, a nie otrzymawszy odpowiedzi, zwrócił się do Rogalskiego, i szepnął mu z cicha: „niech Szef namówi Jenerała na przechadzkę. Dziś taki dzień piękny, że szkoda siedzieć w mieszkaniu“.

„Pomazański zawszeby tylko gdzieś gonił i gonił“, odrzekł głośno Rogalski — „ten nie może usiedzieć na jednym miejscu“.

„Pułkownik też cały dzień gdzieś goni, a czy ja pytam gdzie?“.

„Ja mam zajęcie, ale Ty Pomazański? ...“ a zwracając się do innych obecnych dodał: Jemu tylko dziewczynki w głowie. Tylko wypije śniadanie już goni po mieście za dziewczynkami, zje obiad, znowu goni, i tak cały Boży dzień. Kiedy się ten człowiek ustakuje?”

„A jak niema dziewczynek, to z dziećmi ugania po ogrodzie“, dorzucił Jenerał.

Polemika Rogalskiego z Pomazańskim poprawiła Jenerałowi humor. Obecny podczas tej rozmowy ks. Gilewicz, kapelan L. P. zauważywszy, że Jenerał jest w niezłym humorze, więc łatwiej da się namówić na przechadzkę, poparł propozycję Pomazańskiego.

„To chodźmy“ rzekł Jenerał, „kiedy tak koniecznie chcecie“ — i poszliśmy wszyscy razem na górę zamkową, kilkanaście minut drogi oddaloną od kwatery Jenerała.

Góra pokryta jest wokoło krzewami i drzewami szpilkowymi. Strome ścieżki pną się aż na sam jej szczyt, aż po same baszty i blanki murów zamkowych. Stąd roztacza się wokoło przepiękny widok; liczne drogi i uliczki wiją się pięknymi linjami pomiędzy grupami domów krytych szarą blachą lub czerwoną dachówką, tonących w zieleni i wybiegają poza peryferyę miasta na zieleńjące pola i ogrody. Powietrze tu czyste, przepojone zapachem żywicy z drzew szpilkowych. Wiele nokoło słońca i ciepła.

Na jednym z niższych stoków góry, zwróconym ku południowemu zachodowi, w miejscu zacisznym, zdała od drogi zatrzymaliśmy się.

„O, to jest właśnie miejsce, które się tak bardzo podoba Jenerałowi“, rzekł Pomazański, ale Jenerał nic na to nie odpowiadając, usiadł na bujnym trawniku, otoczonym wokoło młodemi drzewkami szpilkowymi, a potem położywszy się wygodnie na ziemi, podparł dłonią głowę i zamyślony patrzył w dal, aż tam gdzie Cisa z poza niedużych pagórków majestatycznie wypływa na dolinę Huszteńską i modrą wstęgą wije się popod stokami wzgórz i znowu znika z oczu za pasmem gór. Podpułk. Rogalski szukał tymczasem, jakiegoś pręta lub patyka, a znalazłszy, usiadł niedaleko od Jenerała, i ostrym scyzorykiem ciął patyk na drobne wiórki, które obsypywał dookoła miejsce, gdzie siedział. Ks. Gilewicz, kpt. Pomazański i ja usiedliśmy także obok. Rozmowa zesłała na dawniejsze czasy legionowe.

Przypominaliśmy sobie różne epizody z czasów lepszych, które Legionom rokowały świetniejsze nadzieje, a teraz... to wszystko tak marnie się kończy...

„Panie Jenerale“, rzekł Pomazański, „żeby się to wróciły Kozienickie czasy!“...

Jenerał, zapatrzony w cudną przyrodę i zamyślony, leżał nieruchomo; zdawał się nawet nie słyszeć ani naszej rozmowy ani ostatniego pytania...

„Wtenczas żołnierze nasi nie byli jeszcze tak rozpolitykowani“, dodał Rogalski.

Jenerał pokiwał smutnie głową i znowu patrzył w dół przed siebie.

„Najwięcej zdaje mi się, zaszkodziła Warszawa“, dorzucił Pomazański.

„Co to znaczy Warszawa lub nie Warszawa?!... wmieścił się znowu do rozmowy ks. Kapelan. „Rozdwojenie istniało już od dawna, niemal od powstania Legionów. Nie pamiętamyż antagonizmu między pierwszą a drugą Brygadą? A później między Królewiami a Galicyanami? Gdy ten antagonizm z biegiem czasu przygasał, rozdmuchano go ponownie: przysięgą. W tem widzę największą winę, tylko przez to się tak prędko Legiony rozpadły.

Do złożenia przysięgi wezwano w niewłaściwym czasie. Komendanci pułków zmuszali formalnie do przysięgi — co więcej, używano przecież nietaktownych, a nawet gwałtownych sposobów, aby jak największa ilość złożyła przysięgę. I komu?... Nie można było przecież przypuścić, że żołnierz będzie przysięgał Besselerowi dlatego, że mu tak każe Dowództwo“.

Tu ocknął się Jenerał z zadumy, a popatrzawszy na ks. Gilewicza zapytał. „Jak to było Księżę? Jak?“...

Ksiądz Gilewicz gruntowny znawca życia legionowego przypomniał nam różne mniej lub więcej znane epizody z okresu przesilenia w Legionach po nieudanej przysiędze. Nad niektórymi epizodami zatrzymywał się dłużej i opowiadał je z najdrobniejszymi szczegółami, odstawiając wiele ciekawych, mało znanych lub wcale niezmiernych faktów. Wspomniał o rozgoryczeniu w pułkach z powodu zależności od Niemców, za co obwiniano Dowództwo Legionów Polskich.

Jenerał leżąc w tej samej co poprzednio pozycji, patrzył w dal przed siebie i słuchał opowiadania z widocznym zainteresowaniem, ale i z przykrością, że to właśnie w jego armii miało miejsce.

Dowiadywał się teraz wiele szczegółów, o których nigdy dotąd nie słyszał, lub wątpił w ich autentyczność.

„Jak się tego wszystkiego słucha, to się formalnie wierzyć nie chce, że to tak było“, zauważył Jenerał.

„No dziękuję, to było wojsko! Jakżeż mogło takie wojsko dalej istnieć?“ a zwracając się do nas nerwowym ruchem, podniósł się z ziemi i rzekł:

„Chodźmy! nie mogę takich rzeczy słuchać. To mnie denerwuje. Żołnierz ma wypełniać rozkaz, tak mnie uczyli — a nie politykować. Biedna będzie ta nasza Polska z takim wojskiem!“ . . .

Zeszliśmy z góry na główną drogę, prowadzącą do miasta przez betonowy mostek, rozpięty nad głębokim jarem i strumyczkiem, płynącym popod gaik sosnowy, osłaniający od strony góry zamkowej — dwór młodszej generacyi Rakocznych, a obecnie Rezydencyę Schillinga“.

Schilling miał tu swoje kancelarye, mieszkał zaś w mieście naprzeciw naszego Komitetu. Codzień odbywał z tamtąd pieszo przeszło kilometrową drogę do swej kancelaryi, gdzie urzędował od dziesiątej do pierwszej lub drugiej.

Minęliśmy jego kancelaryę, i wązką uliczką podążając ku śródmieściu, odprowadziliśmy Jenerała, Rogalskiego i Pomazańskiego do ich kwatery. „Żal mi Jenerała“, rzekł Gilewicz, gdyśmy szli sami w stronę naszych mieszkań, „nie miał w bezpośrednim swem otoczeniu ludzi życzliwych, szybko i dobrze się orientujących, którzyby go w stosownym czasie o wszystkim informowali — stąd też zaskoczyło go tyle niespodzianek.“

Pęk światła, rzucony na stosunki legionowe po niewczasie, wywołał u Jenerała wątpienie w lepszą przyszłość. Dziś opuszczony przez wszystkich, stojąc przy gasnących zgliszczach rozpoczętego dzieła, dowiaduje się o tem co pierwiej wiedzieć był powinien, a może niejednym inaczej byłby pokierował.

Dręczyły Jenerała te myśli i pod ich ciężarem cierpiał moralnie.

A może społeczeństwo zwali jeszcze na jego barki odpowiedzialność za to, co się niedawno stało? . . .

Wszak on dotrzymał przysięgi swej Władzy Naczelnej, Radzie Regencyjnej — dał z siebie przykład, że żołnierzowi bez rozkazu jego przełożonej Władzy nic na własną rękę czynić nie wolno, że takim właśnie i koniecznie takim powinien być żołnierz i że tylko na takim polegać może Wódz i Ojczyzna.

Ks. Gilewicz bawił w Huszt od dłuższego czasu. Będąc na urlopie dowiedział się o internowaniu naszych. Bezwłocznie pospieszył do Huszt świadczyć im tu swoje usługi.

Od chwili swego przybycia z niemałą ofiarnością pracował bezustannie dla dobra naszych. Był łącznikiem ze szpitalem, w którym umieszczano naszych chorych, doręczał korespondencję, informował przyjezdnych i opinię publiczną o panujących stosunkach w obozach internowanych, pomagał w pracy Komitetowi, a przez bliską znajomość z por. Galikiem, wojskowym komendantem magazynów prowiantowych w Huszt i dobrym Polakiem niejedno ułatwił naszym żołnierzom i odwiedzającym ich krewnym. Jemu też zawdzięczyć należy, że swym wpływem życzliwie dla nas usposobił naczelnika tamtejszej stacji kolejowej z pochodzenia Węgra.

Uroczyściej niż gdziekolwiek indziej zapowiadało się w Huszt święto „tygodnia Karola“ (Király Károly hét).

Od szeregu dni pracują fachowi żołnierze, budują bramy tryumfalne, otwarte olbrzymie werandy przed kawiarniami, estrady, podja, a wszystko to przybiera się w zieleni, oplata wiencami, girlandami, stroi kwiatami. Z boku rynku pobudowano karuzele, strzelnice, poustawiano stoły z różnemi grammi towarzyskimi, loterjami, kołami szczęścia, oraz przygotowano różne inne atrakcje dla młodzieży i dzieci, bo „święto Karola“ święcić mają wszyscy — cały naród, cały kraj, i wszystkie jego warstwy — a wypaść ma przewspaniale!

Prace te pokończono, i uroczystość miała być otwartą wyborem Krowi w wiosny i tego święta, najpiękniejszej z spośród pięknych Huszciełek.

Wybrano sąd, mający rozstrzygać, w konkursie piękności i puszczono w obieg bilety. Ta, co najwięcej na swe imię dostanie biletów, będzie najpiękniejszą, będzie Królową uroczystości. Jest to najwyższy zaszczyt, największy tryumf. A może jakiś dostoyny rycerz uchyli dumną głowę przed mamusią i poprosi o drobną rączkę? . . . Marzą i roją piękne Huszcianki, przeglądają w garderobie najpiękniejsze swe stroje, pieszczą cerę, włosy, kibić, ruchy, gotują się do zwycięskiej walki z rówieśniczkami. Podśłuchują z lękiem, że do Huszt zjechać mają na uroczystość piękne sąsiadki, a więc do rywalizacji trzeba się sposobić. By nie spowodować, nie opuszczają swych mieszkań i na rozstrzygającą, chwilę chowają wdzięki. Ojcowie tymczasem skupują bilety konkursowe, majątni prześcigają się w licytowaniu swych córek; i nim się uroczystość rozpoczęła, nim sąd rozstrzygnął, kogo kreuje królową zabaw, już o tem wiadano: nie najpiękniejsza lecz najbogatsza.

Ale trzeba nagrodzić krzywdę innym, więc rozszerzono skalę konkursową na dalsze trzy piękności.

W pierwszą niedzielę maja, hymnem na cześć Karola i wśród dźwięków czardaszów i cygańskich pieśni otwarto uroczystość. Przy rzęsistem świetle, w którym kąpał się rynek cały, bawiła się publiczność do późnej nocy. Wylalkowani oficerowie, strojne panie i panienki urządzały promenady po Korsie, na którym znawcy piękności, 18 i 20-letni oficerowie, świecący złotem, obserwowali je okiem znawców i arbitrów, pozerając namiętnym wzrokiem uroczę, ogniste, pełne życia i świeżości boginki.

Miejscem, gdzie się gromadziła największa ilość uczestników uroczystości, była obszerna weranda przed kawiarnią na rynku. Spowita zielenią, obwieszona różnokolorowymi lampionami, o fantastycznych kształtach, wyglądała wieczorem czarownie i wspaniale. W jednym jej końcu, na podium ubranem zielenią, palmami i kwiatami, przygrywała muzyka — a gości tu pełno, po brzegi. Leje się szampan i najprzedniejsze węgierskie wino, najwyszukańsze sypią się komplety, młodzież prześciga się w oryginalności i wykwintności, wesołość, śmiechy, słychać już z daleka. Zapomniano o groźnej wojny, o rozlewie krwi ludzkiej, o ginących i cierpiących w imię ojczyzny, —

bawią się zapamiętane, w oszołomieniu, jakby sobie powetować chcieli stracone okazy, jakby to była ostatnia w życiu ich zabawa.

Wstępu na uroczystość pilnowały rozstawione warty żołnierskie, zamykając bramy tryumfalne i każde przejście przez rynek. Przepuszczano przechodnia dopiero po nabyciu biletu. Nawet i ci, co w rynku coś kupić chcieli, gdyż większa część sklepów tam się znajdowała, musieli opłacać należytość za przejście bramy tryumfalnej.

Wszyscy nasi oficerowie, mieszkający w mieście, postanowili przez czas trwania uroczystości usunąć się zupełnie od współudziału, a nawet i w dzień omijać to miejsce publiczne.

Gdy już nabawiono się do syta, gdy już poczęto się nudzić tym samym po kilkakroć powtarzanym programem, gdy wreszcie tydzień schylał się już ku końcowi, przystąpiono do ostatniego punktu programu.

Lud, żyjący tu zdala od grozy wojny, nie mający po większej części właściwego pojęcia o technice i postępach sztuki wojennej, miał ósmego dnia po południu przyjrzeć się umyślnie w tym celu zainscenizowanej nowoczesnej walce.

Już od dwóch dni ćwiczone żołnierzy w atakowaniu nieprzyjaciela i w rzucaniu granatów ręcznych.

W niedzielę o godzinie 3-ciej popołudniu na rozległej równinie, rozprzestrzeniającej się u stóp góry zamkowej, aż hen, daleko do jakiejś małej osady, stanęły naprzeciw siebie dwa wrogie obozy do walki. Okopują się szybko, podsuwają kusobie, już się pokryli w okopach, nie widzisz ich. Komenda! Po niej pałba karabinów ręcznych, potem maszynowych, coraz szybsza, gęstsza, zlewająca się w jednolitą groźną zawieruchę. Po niej trąbka — i cisza krótka, napinająca nerwy, wreszcie przerażliwe detonacje pękających granatów ręcznych, detonacje przechodzące w huragan zniszczenia i trwogi. Umilkło. Okopy pokryły się gęstym dymem.

Węgrzy zwyciężyli!...

Widowcy przypatrywały się tysięczne tłumy publiczności. Po upływie godziny publiczność syta wrażeń wracała do

domów na krótki odpoczynek, ponieważ późnym wieczorem nastąpi dokończenie tej grozy, finał uroczystości.

Znowu zaroił się rynek; muzyka wygrywała aż do późnej nocy dzikie czardasze i smętne, namiętne pieśni cygańskie.

Noc ciepła, pogodna, gwiazdzista. Około jedenastej przegaszono część świateł po bocznych ulicach, a w chwilę później zabłyśły rakiety wysoko na niebie, białe, czerwone, zielone, znowu białe. Tajemnicze kontury zamczyska rysowały się majestatycznie przy ich świetle.

Pogasły rakiety i na dworze, zda się zapanowała jeszcze większa ciemność. Czekają tłumy w napięciu wpatrzone w szczyt góry, bo tam się rozegra ostatnia sensacja.

Na blankach zamkowych murów zabłyśły światełka, przy których widać cienie ludzkie, uwijające się szybko. Za chwilę charczenie i ryk rozdarły powietrze i jakieś niewidzialne potwory, ziejące wokoło kłęby białego — szarego, gęstego dymu, który grubym wałem tocząc i ścieląc się po ziemi, opadał po stromej pochyłości góry aż do jej podnóża, szarpany drzewami, gałęziami i wikliną. Potem znowu ryk, znowu charczenie potworów, buchających masami płomieni i staczanie się na dół ciężkich gazów. To miotacze płomieni i gazów odpierają atak wroga.

Za pół godziny atak odparto. Podniecona grozą fantazyja przedstawia sobie pole zniszczenia, pokryte tysiącami trupów znieprawionego nieprzyjaciela.

Godzina 12 w nocy. Skończono ostatni punkt programu.

Po zabawach, po szale, po spełnionych lub zawiedzionych nadziejach, wracajcie Węgrzy do domu i dośnijcie tam reszty, czego wam jeszcze nie dostało! . . .

Dnia następnego wiozły karawany kilkanaście osób z wczorajszej popołudniowej zabawy. Kilkanaście osób z wczorajszej zabawy i kil-

kanaście rannych. Na miejsce wiecznego spoczynku prócz garstki kolegów — żołnierzy, prawie nikt im nie towarzyszył; kilkanaście innych leży w szpitalu. Lud począł sarkać po cichu, lecz spokojniejsi radzili i to złożyć w ofierze dla Ojczyzny.

Rozbierają bramy tryumfalne, podją i estrady, karuzele, a zmęczone zabawami tłumy wracają do szarego życia. Niedawno szerokim gestem szalejący Huszt stał się monotony, głuchy, wiejski. Nawet i do naszych nie przyjeżdżali w odwiedziny krewni i znajomi. Kto miał kogoś odwiedzić, ten go już dotąd odwiedził.

W następnych dniach ubyło też kilku naszych oficerów. Powołani do Armii austriackiej odjechali z Huszt ppułk. Dr. Rogalski, kpt. Dr. Korolewicz, major Ganczarski, Ks. Kapelan, Dr. Gilewicz, por. Dębski, por. Brzozowski i inni. Jenerał pozostał ze swym adjutantem kpt. Pomazańskim.

Nastał dla naszych czas nudny i denerwujący oczekiwaniem rozprawy sądowej. Wreszcie po upływie kilku tygodni nadszedł z Naczelnej Komendy Armii rozkaz zarządzający przewiezienie oskarżonych i świadków do Marmorosz Szigeth.

Rozpoczęła się tam rozprawa sądowa, trwająca około 5 miesięcy, zakończona abolicją, po której odjechali zwolnieni więźniowie do Warszawy, i wstąpili tam do armii Polskiej. Niewielu brzo.

Służą Odradzającej się Ojczyźnie.

We Lwowie, dnia 5. lutego 1919.



57

1845

Z DRUKARNI ZWIĄZAJĄCZNYCH WŁADZ W SZCZĘSNEGO BEDNASKIEGO WE LWOWIE



31127/
19